www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 19 (905)
8-14.05.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Dr Marek Bachański: Lekarz od dzieci i marihuany

Barbara Piasecka-Johnson: Hojny portfel dla Solidarności

CZY POLSKA PRZEGRAŁA WOJNĘ?

Kapral Antoni Jabłoński z Suraża pod Białymstokiem zatknął biało-czerwoną flagę na Kolumnie Zwycięstwa w Berlinie

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

WYDAWNICTWO Studio Emka

Studio Emka ma już 25 lat

Zapraszamy do naszego stoiska 189/V na Warszawskich Targach Książki, 18-21 maja, PGE Narodowy

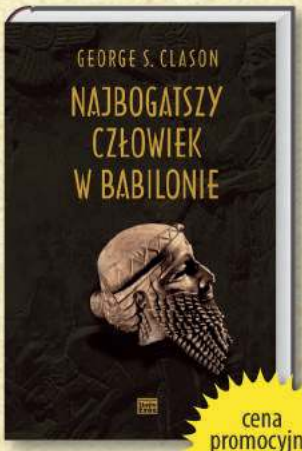

cena promocyjna **28** zł

NAJBOGATSZY CZŁOWIEK W BABILONIE
George S. Clason

PEŁNE WYDANIE!
Najbogatszy człowiek w Babilonie nie dostarcza szybkich rozwiązań, ale znakomicie radzi, jak spłacać długi, zapewnić sobie stały dochód i z powodzeniem budować majątek. Rady te są tak samo skuteczne obecnie, jak skutecznymi były tysiące lat temu w Babilonie. To jedna z najlepszych, najpraktyczniejszych książek motywacyjnych poświęconych finansom osobistym i sztuce inwestowania.

176 str., oprawa twarda, cena 34,90 zł

cena promocyjna **30** zł

SELFIE
Marek Belka
z udziałem Macieja Siembiedy

Motywem przewodnim *Selfie* jest biografia Marka Belki; bogata, niekonwencjonalna, a równocześnie konsekwentna, osnuta wokół dwóch pasji profesora – nauki i polityki. W kolejnych rozdziałach książki mamy relację jej bohatera, niesłychanie osobistą i nadzwyczaj skromną. Autor nie portretuje tylko siebie, ale też wiele osób, które spotkał na swojej rodzinnej, naukowej i politycznej drodze. Jak sam wyznaje, jego pasją jest „kolekcjonowanie ludzi" – znanych i nieznanych, zawsze jednak nietuzinkowych.

280 str., oprawa miękka ze skrzydełkami, cena 39 zł

CZAS TO SKARB. 24 zasady zarządzania czasem
Jim Muncy

Czas jest ograniczony. Wszystko, co robimy, pozbawia nas pewnej jego ilości. Aby zyskać biegłość w jakiejś dziedzinie, trzeba nauczyć się nad nim panować. Codziennie od nowa musimy uświadamiać sobie, że nie wolno nam zmarnować dnia. *Czas to skarb* jest lekturą obowiązkową dla wszystkich, którzy pragną lepiej gospodarować czasem i dzięki temu żyć pełnią życia.

280 str., oprawa miękka, cena 39,90 zł

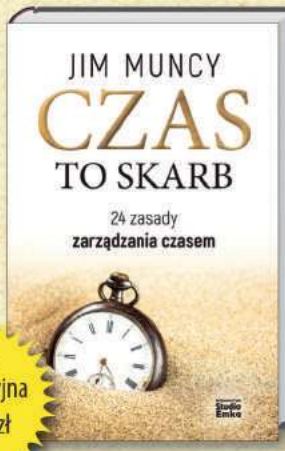

cena promocyjna **30** zł

POMYSŁ NA DOBRE ŻYCIE
Mallika Chopra

Pomysł na dobre życie to kronikarski zapis poszukiwań, jakie podjęła Mallika Chopra, aby odnaleźć więcej sensu, radości i równowagi w życiu. Ze szczerością i pasją kreśli mapę drogi, jaką wszyscy możemy podążać – od myśli, do działań i rezultatów. To mapa użyteczna dla wszystkich, którzy walczą, aby utrzymać się na powierzchni w tym niebywale chaotycznym świecie.

240 str., oprawa twarda, cena 44,90 zł

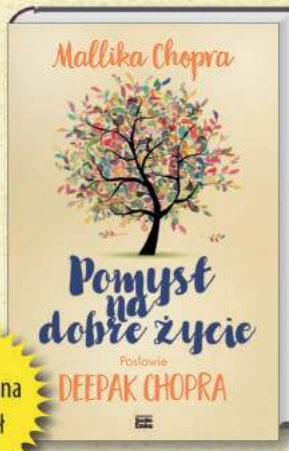

cena promocyjna **35** zł

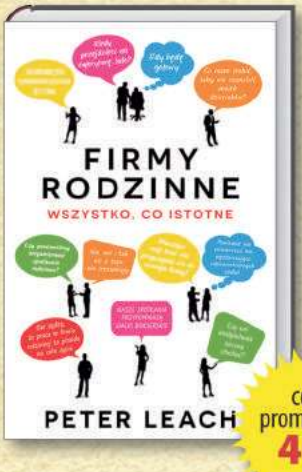

cena promocyjna **40** zł

FIRMY RODZINNE. Wszystko, co istotne
Peter Leach

Prowadzenie udanego rodzinnego biznesu jest zawsze wielkim wyzwaniem. Zaproponowane w tej książce rozwiązania i wskazówki pozwalają zarówno utrzymać firmę, jak i zjednoczyć wokół niej rodzinę. Autor dzieli się z czytelnikami wieloma cennymi spostrzeżeniami, przedstawia też techniki i strategie, które mogą pomóc w skutecznym rozwijaniu rodzinnego przedsiębiorstwa. Książka powstała we współpracy z firmą **Deloitte**.

388 str., oprawa twarda, cena 49 zł

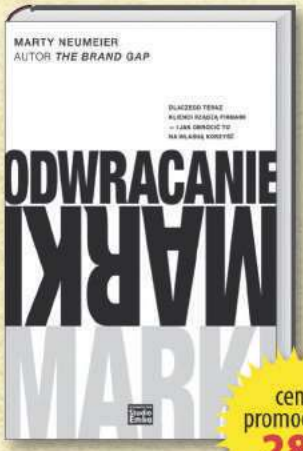

cena promocyjna **28** zł

ODWRACANIE MARKI. Dlaczego teraz klienci rządzą firmami – i jak obrócić to na własną korzyść
Marty Neumeier

Budowanie świadomości marki, które obecnie odbywa się przede wszystkim w mediach społecznościowych, przekazuje losy firm w ręce klientów. Jest to *odwracanie marki*, rzut judo, którego efekty widzi cała branża. Technika, która pogrąża niektóre firmy, a inne podnosi do statusu supergwiazd. Dziś wybór jest prosty: Odwróć się albo sami cię odwrócą. Swoją klarowną opowieść o tym, jak przeskoczyć wprost do przyszłości rządzonej przez konsumentów Neumeier pisze zajmująco i bardzo praktycznie.

160 str., oprawa miękka ze skrzydełkami, cena 34,90 zł

Ceny promocyjne obowiązują do 31 maja 2017 r.

www.studioemka.com.pl • wydawnictwo@studioemka.com.pl • tel. 22 628 08 38 • www.facebook.com/StudioEMKA

eprasa.pl 1cd478a4a0

CYTATY

WOJCIECH SMARZOWSKI,
REŻYSER
Pedofilia i to, że Kościół nie poczuwa się do opieki nad ofiarami, są przerażające i podłe.
„Polska The Times”

JAN PESZEK,
AKTOR
Rzadko spotykam ludzi bezinteresownych. Człowiek jest istotą szalenie zorientowaną na siebie.
„Tygodnik Powszechny”

AUDREY WOLLEN,
ARTYSTKA, FEMINISTKA
Najlepsze, co mężczyźni mogą dziś zrobić dla kobiet, to usunąć się na bok.
„Wysokie Obcasy”

MARK ZUCKERBERG,
ZAŁOŻYCIEL FACEBOOKA
Największym ryzykiem jest niepodejmowanie ryzyka.
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Dudy smalone

Andrzej Duda nie jest moim prezydentem. Jest kimś, kto świadomie, celowo wyklucza z życia publicznego i pozbawia należnego szacunku miliony moich rodaków. Słowa, jakimi opisuje historię Polski do 1989 r., są litanią kłamstw, fałszerstw i pomówień. Sposób, w jaki potraktował Trybunał Konstytucyjny, powinien go zaprowadzić przed Trybunał Stanu. Może jednak czuć się bezkarny, bo ta instytucja jest tworem martwym. Atrapą. Na razie – bo suweren, na którego nieustannie, choć tylko retorycznie, powołują się rządzący, jest chyba coraz bardziej wkurzony. Duda wydaje się więc coraz bliższy rozliczenia za pozorowanie pracy. I za coś znacznie gorszego. Za niszczenie podstaw państwa prawa.

Żyjemy w czasach, gdy najprymitywniejsze kłamstwa nazywa się postprawdą. Widzimy przecież polityków, którzy w żywe oczy kłamią. Produktem takiej postprawdy jest też nasz Machiavelli z Krakowa. Nie ma tu miejsca na wyliczankę popisów patriotycznych uniesień Dudy przy okazji świąt państwowych. Zamiast głębszych treści i faktów serwuje nam napuszone miny. I frazesy.

Brak osiągnięć sprawia, że otoczenie prezydenta koło ratunkowe widzi w przytuleniu się do obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Stąd inicjatywa w sprawie referendum konstytucyjnego w 2018 r. Chyba Duda zapomniał spojrzeć w lustro. Bo kogo by tam zobaczył? Człowieka, który chce debaty nad tą konstytucją, której sam nie szanuje? Człowieka, który z racji funkcji ma być strażnikiem konstytucji, ale jest jej grabarzem.

Andrzej Duda nie ma moralnego prawa powoływać się na tradycję z 1918 r., bo jego postępowanie jest zaprzeczeniem ówczesnej filozofii budowania niepodległego państwa. Duda głęboko dzieli polskie społeczeństwo. Jątrzy. Eliminuje Polaków zgodnie z własnym widzimisię i doraźnym interesem swojego obozu politycznego. Z żołnierzy, którzy wyzwalali Polskę, zrobił nowych okupantów… A nominat obecnej władzy z kierownictwa IPN nazwał ich bandytami. Reakcji Dudy oczywiście nie było.

Referendum konstytucyjne ma być wielkim krokiem do zdobycia pełnej władzy przez PiS. Ale zdobycie jej tą drogą jest mrzonką. Gdyby do referendum rzeczywiście doszło, obszarem konfrontacji wcale nie będzie konstytucja. Będzie to plebiscyt: za czy przeciw PiS? Wynik chyba jest już oczywisty.

POMÓŻMY BIBLIOTEKOM

Dzięki pomocy naszych Czytelników ufundowaliśmy prenumeratę PRZEGLĄDU kilkunastu bibliotekom. Niestety, ta prenumerata już się kończy. A biblioteki, które z niej korzystały, proszą o kontynuację. Prosimy więc i my. Apelujemy o finansowe wsparcie tej pożytecznej akcji. Poszerzy to krąg czytających PRZEGLĄD. Osoby zainteresowane pomocą prosimy o kontakt z redakcją bądź wpłaty z dopiskiem „biblioteka”. Liczy się każda złotówka.

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl 1cd478a4a0

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Czy Polska przegrała wojnę?**
Wygrana Niemców unicestwiłaby naród

KRAJ
14 **Paciorki gietrzwałdzkiego różańca**
Wójtowi już dziękujemy
16 **Związkowe rozgrywki w Biedronce**
Zwolniony za działalność
19 **Dyrektorskie granice**
Wracamy do sprawy mobbingu celniczki
20 **Media narodowe to rezerwat**
– rozmowa z Jackiem Żakowskim

OPNIE
24 **Jarosław Dobrzański**
O co gra Francja?
28 **Włodzimierz Galant**
Konstytucja z bezpiecznikiem
42 **Witold Graboś**
Jak zostałem wrogiem ludu

ZAGRANICA
26 **Więzienie, którego nie ma**
Wstydliwe Guantanamo
30 **Późni przesiedleńcy**
Korespondencja z Berlina

SYLWETKI
34 **Milionerka dobrodziejka**
Jak Barbara Piasecka-Johnson finansowała opozycję
52 **Najtrudniejszy bieg Tomasza Golloba**
Koniec kariery żużlowca

PSYCHOLOGIA
38 **Pamiętajcie o mnie, ja tu jestem!**
– rozmowa z Jakubem Kusiem o Facebooku

KULTURA
44 **Graj, jakbyś był debiutantem**
– rozmowa z Adamem Ferencym
47 **Jubileuszowe tango**
70. urodziny Grażyny Barszczewskiej
48 **Kto zabił Laurę Palmer?**
„Miasteczko Twin Peaks" powraca
50 **Qulturalia**
66 **Cztery pory karykatury**

ZDROWIE
55 **Wszystkie dzieci doktora Bachańskiego**
– rozmowa z dr. Markiem Bachańskim

OBSERWACJE
58 **Emocje bez retuszu**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Dudy smalone
33 **Tomasz Jastrun**
Małe, jasno oświetlone miejsce
41 **Edward Mikołajczyk**
Czereśnie nie doczekały reform

20
WYWIAD

MEDIA NARODOWE TO REZERWAT
– rozmowa z Jackiem Żakowskim

44
KULTURA

GRAJ, JAKBYŚ BYŁ DEBIUTANTEM
– rozmowa z Adamem Ferencym

EMOCJE BEZ RETUSZU

58
OBSERWACJE

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Piotr Męcik/Forum, Wikipedia

eprasa.pl 1cd478a4a0

NIEBEZPIECZNY RUCH NEOBANDEROWSKI

Dziękuję za to, że PRZEGLĄD jako jedyne czasopismo regularnie i solidnie informuje czytelników o zbrodni ludobójstwa dokonanej na Polakach w latach 1943-1947 przez ukraińskie formacje nacjonalistyczne na południowo-wschodnich Kresach RP. Bardzo rzetelny i dobrze udokumentowany był też artykuł Czesława Partacza „Akcja »Wisła«. Banderowcy mordowali, Polacy wysiedlali” (nr 17-18). Cenne jest zaakcentowanie faktu odradzania się w Polsce ruchu neobanderowskiego – aktywnego i szkodliwego dla kraju. Rozwija się on przy bezczynności i życzliwej tolerancji kolejnych rządów RP, mediów i – jak to celnie zaznaczono – pożytecznych idiotów. Dużo mogą dawać do myślenia np. przeszkody stwarzane przy realizacji filmu „Wołyń”. *Tadeusz Nowosielski*

PROGRAM 75+ TO KŁAMSTWO!

Pani premier 7 kwietnia br. powiedziała w Sejmie, że dzięki programowi 75+ emeryci zyskali obniżkę kosztów zakupu leków o 60%. Jestem emerytem, mam 79 lat i często spotykane w tym wieku choroby. Przed wprowadzeniem programu 75+ stosowałem lek Clexane, 30 ampułek kosztowało mnie 5,60 zł. Kiedy program zaczął obowiązywać, za 10 ampułek żona zapłaciła 46 zł i musiałem prosić kardiologa, by przepisał mi coś innego – oczywiście gorszego. Skorzystałem na leku Roswera – kosztował 16 zł, teraz jest dla mnie za darmo. Tylko że Clexane kosztowałby mnie 138 zł. Przed 75+ wydawałem na leki 240-250 zł miesięcznie, teraz wydaję ponad 300 zł z tą bezpłatną Roswerą. Dziękuję pani premier i panu ministrowi za serce okazane mnie i moim rówieśnikom. Zresztą czego Polska i Polacy od wieków mogą się spodziewać po rodzie Radziwiłłów?

Krzysztof Pachla, Małopolska

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

KATARZYNA JANOWSKA
Można protestować i można się modlić, taka jest kultura

JERZY DZIEWULSKI
Kulisy odbijania porwanego samolotu

INDONEZJA – tajemnice piątej płci

Wizyta Eisenhowera zawiodła „wyklętych”

NIE KWĘKAĆ! DZIAŁAĆ!

Z większości wypowiedzi dotyczących lewicy, które zamieściliście w nr. 900. (gratulacje!), a które są owocem zapoznania się z rozmową z dr Materską-Sosnowską, wynika, że w myśleniu na lewicy mamy ugór do przeorania. To także dowód na to, że działania „prawdziwych przyjaciół” lewicy i tych, co wieszczą jej zgon, odnoszą skutek. Zamiast wspólnie walczyć z prawicą, ku jej uciesze lewicowcy skutecznie zwalczają samych siebie! Zamiast szukać tego, co można zrobić razem, szuka się winnych, rzecz jasna „u nich”, nie we własnym gronie.

Nie kwękać! Działać! Miejsca jest aż nadto. Dla każdej lewicy jest coś do zrobienia. Nawet takiej, która uważa się za jedynie słuszną. *Wojciech Misiuk, Zabrze*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Przykład przyszedł z góry – już raz wypędzono kupczących ze świątyni. Kraków, Wawel, maj 2017.

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

★ **Józef Hen,** wybitny pisarz, otrzymał **Kowadło, nagrodę Stowarzyszenia „Kuźnica",** w uznaniu wybitnych osiągnięć literackich i osobistych zasług dla krzewienia humanistycznego i racjonalnego myślenia o Polsce.

★ **Andrzej Kraśnicki** został wybrany na **prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego.** To jego kolejna kadencja od 2010 r., a o poparciu środowiska sportowego świadczy wynik: 137 głosów za, jeden wstrzymujący się.

★ **Krzysztof Pietraszkiewicz** został ponownie wybrany na prezesa Związku Banków Polskich. Funkcję tę pełni już od 2003 r.

★ **Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia** w Katowicach została laureatem **nagrody Towarzystwa Przyjaciół Śląska** za 2017 r.

★ **Arka Gdynia,** wygrywając na Stadionie Narodowym z Lechem Poznań, **zdobyła Puchar Polski.** Piłka jest jednak nieobliczalna.

★ Najniższe bezrobocie jest w **Poznaniu** – 1,9% i w **powiecie kępińskim** (Wielkopolska) – 2,2%.

★ **Żubry** mają większą szansę na przetrwanie gatunku, ponieważ sukcesem zakończył się eksperyment pozyskania zarodka żubra metodą in vitro. Zasili on profesjonalny bank genów żubra, tworzony przez Lasy Państwowe.

★ **Prawie 66 tys. studentów zagranicznych** studiuje na polskich uczelniach. Najwięcej z **Ukrainy** (35,6 tys.), **Białorusi** (5,12 tys.), **Indii** (2,14 tys.), **Hiszpanii** (1,6 tys.) i **Norwegii** (1,53 tys.).

✖ **63% dorosłych Polaków** nie przeczytało w 2016 r. ani jednej książki, a 16% nie przeczytało niczego.

✖ **Ks. Jarosław Wąsowicz,** krajowy duszpasterz kibiców, w czasie spotkania z uczniami w Kielcach zaliczył do katów narodu polskiego m.in. **Tadeusza Mazowieckiego, prof. Leszka Kołakowskiego i prof. Zygmunta Baumana.** Wąsowicz, choć ciągle kłamie, dla Episkopatu jest niewidoczny i bezkarny.

✖ **Fundacja Niezależne Media** Tomasza Sakiewicza, wydawca m.in. „Gazety Polskiej", zachęcała do przekazywania na nią 1% podatku. Szkopuł w tym, że jak wykrył tygodnik „Nie", nie ma jej w rejestrze uprawnionych do otrzymywania tej darowizny. A pod numerem KRS podawanym w ogłoszeniach jest **Pallotyńska Fundacja Misyjna Salvatti.** Z jej sprawozdania zaś wynika, że dzieli się kasą z Sakiewiczem. Mamy więc minisojusz ołtarza z władzą.

✖ Emerytowany **abp Juliusz Paetz z Poznania,** negatywny bohater seksafery w polskim Kościele, nie zważając na zakaz Watykanu **koncelebrował mszę w Wielki Czwartek,** wspólnie z **abp. Gądeckim, metropolitą poznańskim.**

✖ **Prawie 38% polskich menedżerów** uważa, że korupcja w firmach jest powszechnym zjawiskiem (raport firmy doradczej EY). To bardzo dużo, ale i tak mniej niż w 2015 r. (43%) i w 2013 r. (59%).

PRZEBŁYSKI

OD PSYCHIATRY DO PARTYZANTA

Służba w polskim wojsku od lat jest prawdziwą szkołą przeżycia. Fundowaną żołnierzom przez polityków. Za rządów PO Tusk podarował wojsku ministra psychiatrę Bogdana Klicha. Do dziś nie wiadomo, jaki mesydż chciał w ten sposób armii przekazać. Gdy jakoś przeżyła rządy psychiatry, PiS jej przysłało jeszcze bardziej egzotyczną ekipę. Macierewicz nie ma sobie równych. Nawet w światowych rankingach. Troszkę w cieniu Antoniego pozostaje wiceminister Bartosz Kownacki, zwany w wojsku partyzantem. Kownacki jest zwolennikiem wysyłania do boju cywilów wyposażonych w „nowy, ale stosunkowo niedrogi sprzęt". Może myśli o oferowanych na rynku kijach bejsbolowych z wizerunkami „żołnierzy wyklętych"? A może o kosach? Dla jakiegoś tajnego oddziału kosynierów?

TERLIKOWSKI DO WATYKANU

Watykan ma świetną dyplomację, ale tego, niestety, nie dopilnował. Wybory papieża bez akceptacji Tomasza Terlikowskiego sprawiły, że ten ultrakatolicki publicysta nie jest zadowolony ze stanu Kościoła. A już z papieża Franciszka jest bardzo niezadowolony. Nawet coraz bardziej. Sytuacja robi się więc groźna. I to nie tylko dla Watykanu. Bo gdyby spojrzeć na wpływy Terlikowskiego, to pora się lękać o przyszłość papieża z dalekiej Argentyny. Najbardziej Terlikowskiego uwiera doktrynalne zamieszanie w Kościele, np. komunia dla rozwodników czy protestantów. I to, że Franciszek rozchwiał łódeczkę Kościoła. Przecież było tam tak fajnie. A teraz chaos. Jakiś taki prorocki chaos.

ZACZĘŁY SIĘ ODLOTY

Kiedy do Polski przyleciały bociany, ktoś musiał odlecieć. Padło na Wacława Berczyńskiego, ksywa „Caracal". To już drugi emigrant z twardego jądra smoleńskiego. Pierwszym był Cezary Gmyz, ksywa „Trotyl". Nazywany tak z racji znalezienia śladów po materiałach wybuchowych na kadłubie samolotu, który rozbił się pod Smoleńskiem. W nagrodę za epokowe odkrycie „dobra zmiana" rzuciła Gmyza do Berlina. Na bajeczny kontrakt medialny. Płacony oczywiście z naszego abonamentu. A teraz do wylotu szykuje się też ponoć pisowska nadzorczyni prezydenta Dudy, jejmość Małgorzata Sadurska. Może Srebrny Lis wyśle ją do Mongolii? Tam też lubią dobrze zjeść.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3), MEMYTUTAJ.PL

eprasa.pl 1cd478a4a0

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy powinno się wrócić do karty rowerowej?

MAJA WŁOSZCZOWSKA,
mistrzyni świata w kolarstwie górskim

Jestem zdecydowaną zwolenniczką karty rowerowej. Nie mamy jeszcze w Polsce tylu ścieżek rowerowych, aby ten ruch był oddzielony od ruchu samochodowego. Dlatego dla wspólnego bezpieczeństwa wszystkich użytkowników dróg bardzo dobrze by było, gdyby rowerzyści musieli znać przepisy. Wprawdzie większość dorosłych ma prawo jazdy, więc doskonale je zna, ale nie wszyscy. Co więcej, na rowerach jeżdżą też dzieci i młodzież – obowiązkowa karta rowerowa jest gwarancją, że wiedzą, jak należy się poruszać na jezdni.

MARCIN HYŁA,
Stowarzyszenie Miasta dla Rowerów

Postulat obowiązkowej karty rowerowej jest wymysłem pseudoekspertów. Uprawnień do kierowania rowerem nie wymaga żaden cywilizowany kraj świata. Co więcej, konwencja wiedeńska o ruchu drogowym z 1968 r. zabrania wymagać takich uprawnień od kierującego rowerem w ruchu międzynarodowym. W praktyce niemożliwe jest karanie za brak karty rowerowej 15-letniego Niemca lub Czecha podróżującego rowerem przez Polskę. A to oznacza nierówność wobec prawa, bo konsekwencje wobec 15-letniego Polaka kierującego rowerem bez karty rowerowej (obowiązkowej u nas dla dzieci od 10. roku życia) są możliwe. Sama karta rowerowa uzyskiwana dziś w szkole niewiele daje: oprócz znajomości przepisów ruchu drogowego niezbędne są umiejętności praktyczne. A tego zwykle dzieci uczą się albo od rodziców, albo od rówieśników, a nie na kursie.

WOJCIECH MAKOWSKI,
oficer rowerowy w Urzędzie Miasta Poznania

Karta rowerowa wciąż obowiązuje. Niepełnoletni muszą ją posiadać, żeby wyjechać rowerem na drogę publiczną. Natomiast jeżeli chodzi o wymaganie karty rowerowej od dorosłych, to – mówiąc kolokwialnie – „nie ma takiej opcji". Konwencja wiedeńska o ruchu drogowym, której Polska jest stroną, nie pozwala na wprowadzanie jakichś dokumentów czy egzaminów dla dorosłych rowerzystów. Wezwania do wprowadzenia karty rowerowej dla dorosłych nie wytrzymują konfrontacji z faktycznymi przyczynami wypadków. Od lat więcej niż połowę wypadków z udziałem rowerzystów w Polsce powodują nie oni sami, ale kierowcy samochodów, którzy co do zasady mają prawo jazdy, a więc znają przepisy. Prawo jazdy ma też duża część rowerzystów. To nie brak znajomości przepisów jest problemem, ale świadome ich ignorowanie. Poza tym egzamin na kartę w obecnym kształcie nie sprawdza umiejętności praktycznych, bo zwykle odbywa się w sztucznych warunkach, najczęściej na boisku, a więc bez kontaktu z ruchem samochodowym. Równie dobrze można by rozdawać karty pływackie w basenie bez wody. Dopóki kartę rowerową będzie można uzyskać bez wyjazdu na ulicę, będzie miała mały wpływ na poziom bezpieczeństwa.

PAWEŁ MAREK,
czytelnik PRZEGLĄDU

Powiem więcej, powinno się stworzyć kartę pieszego. Bez niej ludzie powinni siedzieć w domu i oglądać w serialach, że warto chodzić po którejś ze stron chodnika, że ścieżka rowerowa to nie spacerniak, że na przejściu warto się rozejrzeć itd. No i trochę życzliwości, a nie od razu wyzwiska i przekleństwa.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 1cd478a4a0

CZY POLSKA PRZEGRAŁA WOJNĘ?

Gdyby Niemcy wygrały wojnę, Polacy jako naród przestaliby istnieć

Bohdan Piętka

Odpowiedź na pytanie postawione w tytule powinna się wydawać oczywista. Polska wyszła zwycięsko z II wojny światowej, ponieważ walczyła z Niemcami hitlerowskimi od pierwszego do ostatniego dnia tej wojny w zwycięskiej Wielkiej Koalicji i to polscy żołnierze z 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki – kpr. Antoni Jabłoński, kan. Aleksander Karpowicz, kan. Eugeniusz Mierzejewski, plut. Kazimierz Otap i ppor. Mikołaj Troicki – zawiesili 2 maja 1945 r. biało-czerwoną flagę na pruskiej Kolumnie Zwycięstwa w parku Grosser Tiergarten w Berlinie. Niestety, żyjemy w czasach coraz powszechniejszego rewizjonizmu historycznego, w których ten oczywisty – wydawałoby się – fakt jest kwestionowany. W prawicowej publicystyce od lat przejawia się tendencja do deprecjonowania zwycięskiego dla Polski zakończenia największej dotąd wojny w historii. Podnosi się, że Polska wyszła z tej wojny jako kraj niesuwerenny, że nastąpiła „zamiana jednej okupacji na drugą" i doszło do utraty Kresów Wschodnich.

STRATY LUDZKIE W II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Polska	17,22%
ZSRR	13,7%
Grecja	11,17%
Jugosławia	10,97%
Czechosłowacja	2,43%
Holandia	2,41%
Francja	1,44%
Belgia	1,05%
Wielka Brytania	0,94%
Norwegia	0,35%
USA	0,32%
Dania	0,16%

Jako jeden z pierwszych taką ocenę wydarzeń roku 1945 przedstawił gen. Władysław Anders w wydanych w 1949 r. wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału". Stwierdził tam m.in.: „Zwycięstwo, do którego przyczyniliśmy się tak wielką ilością przelanej krwi i tyloletnią męką narodu polskiego, nie było naszym udziałem. Dla Polski V-Day jeszcze nie nadszedł". Takie stanowisko gen. Anders uzasadnił tym, że „wschodnia połowa państwa z Lwowem i Wilnem, ziemie od 600 lat związane z Polską, na których w ogóle nie było i nie ma ludności rosyjskiej, mają być zagarnięte przez Rosję; polskie prawo państwowe znikało, prawny rząd polski, który przez całą wojnę współdziałał ze sprzymierzonymi, ma być odsunięty, a rząd, osadzony w Polsce przez Rosję, ma być trzonem nowego rządu, tworzonego w Moskwie". W memoriale do marsz. Harolda Alexandra z 24 sierpnia 1945 r. Anders napisał wprost: „Jeśli chodzi o samą Polskę, to mimo osiągnięcia przez sojuszników pełnego zwycięstwa, znajduje się ona w niewoli, i to w niewoli o wiele gorszej niż za czasów okupacji niemieckiej"[1].

> Z ziem wcielonych do Rzeszy wypędzono ok. 800 tys. Polaków.

Tak tendencyjne oceny – zwłaszcza uznanie powojennej rzeczywistości Polski za gorszą od okupacji niemieckiej – były wówczas udziałem nie tylko gen. Andersa. Wynikały one z niezgody na kształt polityczny powojennej Polski i związanej z tym osobistej frustracji. Można to po ludzku zrozumieć. Trudniej pojąć, że są dzisiaj uważane za obiektywne przez mających się za poważnych historyków i publicystów.

Proces deprecjonowania kształtu ustrojowego Polski po 1945 r. i – co za tym idzie – polskiego zwycięstwa w II wojnie światowej przybiera niejednokrotnie formy skrajne. W tym roku minie pięć lat od publikacji książki, której autor twierdził, że Polska mogła wygrać wojnę, gdyby najpierw w sojuszu z Niemcami hitlerowskimi pokonała ZSRR, a następnie odwróciła sojusze i wspólnie z aliantami zachodnimi pokonała Niemcy[2]. Z oryginalnych tez stawianych przez Piotra Zychowicza (i nie tylko przez niego) wynika zatem, że główną przyczyną tego, że Polska nie wygrała II wojny światowej, jest mocarstwo ze Wschodu i rola, jaką odegrało ono wobec Polski w 1939 r. oraz w latach 1943-1945.

O CO WALCZYŁ NARÓD

Nie ulega wątpliwości, że funkcjonowanie powojennej Polski w orbicie wpływów ZSRR pociągnęło za sobą określone konsekwencje co do jej suwerenności i oblicza ustrojowego. To jednak nie usprawiedliwia wysuwania tez skrajnych, stojących w opozycji do faktów historycznych.

Żeby odpowiedzieć na pytanie, czy Polska wygrała II wojnę światową, trzeba przypomnieć, o co w tej wojnie walczył naród polski. Nie państwo, taki czy inny rząd bądź określone opcje polityczne, ale właśnie naród. Czy Polacy walczyli w tej wojnie o takie czy inne granice, ustrój polityczny i gospodarczy? Czy może jednak o coś bardziej fundamentalnego?

Cel, o który walczył w II wojnie światowej naród polski, został mu narzucony przez Adolfa Hitlera, który podczas narady w Berghofie 22 sierpnia 1939 r. zakomunikował

eprasa.pl 1cd478a4a0

18 grudnia 1939 r. Niemcy dokonali egzekucji 52 mieszkańców Bochni i okolic. Dwa dni wcześniej członkowie lokalnej organizacji konspiracyjnej „Orzeł Biały" zabili podczas ataku na miejscowy posterunek policji dwóch Niemców. Przy egzekucji obecny był jako obserwator gubernator dystryktu krakowskiego Otto von Wächter.

wyższym dowódcom Wehrmachtu, że „zadaniem naszym jest zniszczenie żywych sił nieprzyjaciela, a nie dotarcie do określonej linii (…). Nie miejcie litości, bądźcie brutalni! (…) Dlatego na razie wysłałem na wschód tylko moje »Totenkopfstandarte« z rozkazem zabijania bez litości i pardonu wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiego języka (…). Polska zostanie wyludniona i skolonizowana przez Niemców"[3].

Z tej wypowiedzi Hitlera, która miała miejsce dzień przed zawarciem paktu Ribbentrop-Mołotow i tydzień przed agresją niemiecką na Polskę, wynika, że naród polski walczył w II wojnie światowej o przetrwanie biologiczne. O to, czy dalej będzie fizycznie istniał, czy nie.

Wytyczne Hitlera były realizowane od pierwszego dnia wojny, kiedy to za jednostkami Wehrmachtu wkroczyły do Polski grupy operacyjne policji bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen*). Dysponowały one przygotowanymi już przed wojną listami proskrypcyjnymi (*Sonderfahndungsbuch Polen*) z nazwiskami 61 tys. Polaków aktywnych politycznie, społecznie i naukowo oraz znanych z działalności antyniemieckiej. Ludzi tych rozstrzeliwano podczas kampanii wrześniowej i po jej zakończeniu do końca 1939 r. w ramach operacji „Tannenberg".

Terror niemiecki nie był jednakże skierowany tylko przeciw elitom. Jego ofiarami były wszystkie warstwy ówczesnego społeczeństwa polskiego. Hitlerowcy zamierzali germanizować nie ludzi, ale ziemię. Stąd wysiedlenie, a właściwie wypędzenie ok. 800 tys. Polaków z terenów wcielonych do Rzeszy. Wstępem do depopulacji ziem polskich była też zagłada Żydów.

Niemcy zamierzali po zwycięskiej wojnie zlikwidować 85% etnicznej ludności polskiej.

Rozwinięcie nazistowskiej polityki germanizacyjnej stanowił Generalny Plan Wschodni, który powstał pod kierunkiem Heinricha Himmlera w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy w 1941 r. Z tego, co wiemy na temat Generalnego Planu Wschodniego z dokumentów pośrednich (oryginały się nie zachowały), Niemcy zamierzali przeprowadzić po zwycięskiej dla nich wojnie likwidację – w drodze eksterminacji bezpośredniej, pośredniej i wysiedlenia na zachodnią Syberię – 85% etnicznej ludności polskiej. Pozostałe 15% (ok. 4 mln) Polaków zamierzano zachować w Generalnym Gubernatorstwie jako niewolniczą siłę roboczą lub zgermanizować. Wstępem do realizacji Generalnego Planu Wschodniego były wysiedlenia z Zamojszczyzny, które w latach 1942-1943 objęły ok. 110 tys. Polaków. Nie ma wątpliwości, że gdyby Niemcy wygrały wojnę, Polacy jako naród przestaliby istnieć.

Świadczą o tym straty polskie pod okupacją niemiecką. Według szacunków Instytutu Pamięci Narodowej, będących rezultatem prac nad programem „Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką", z rąk okupanta niemieckiego zginęło ok. 2,77 mln Polaków oraz od 2,7 do 3 mln (najprawdopodobniej 2,9 mln) polskich Żydów. Podana przez IPN liczba ofiar polskich (2,7 mln) nie obejmuje tych Polaków, którzy zginęli z rąk przedwojennych mniejszości narodowych (nacjonalistów ukraińskich i litewskich). Natomiast spośród ofiar żydowskich co najmniej 500 tys. zginęło w gettach i obozach pracy, 200 tys. zamordowały

eprasa.pl 1cd478a4a0

Einsatzgruppen, a 1,86 mln zabito w ośrodkach zagłady bezpośredniej i obozach koncentracyjnych[4]. Dodać do tego należy, że w niemieckich obozach koncentracyjnych zginęło ok. 250 tys. etnicznych Polaków, z czego co najmniej 70 tys. w KL Auschwitz, 30 tys. w KL Ravensbrück i 27 tys. w KL Mauthausen.

Niższe szacunki od ipeenowskich przyjął na początku lat 90. prof. Czesław Łuczak, opierając się na źródłach ze Statistisches Bundesamt w Wiesbaden. Wedle jego obliczeń podczas II wojny światowej zginęło ponad 2 mln etnicznych Polaków, w tym 1,3 mln w Generalnym Gubernatorstwie (bez dystryktu Galicja), 250 tys. na ziemiach wcielonych do Rzeszy i 500 tys. na obszarze byłych Kresów Wschodnich – łącznie z ofiarami okupacji radzieckiej oraz nacjonalistów ukraińskich i litewskich. Straty mniejszości narodowych w II RP (poza Żydami) Łuczak określił na 1 mln, co łącznie ze stratami Żydów (2,9 mln) daje ok. 6 mln obywateli polskich, którzy ponieśli śmierć podczas wojny[5].

Polska straciła największy procent ludności spośród państw biorących udział w II wojnie światowej – ok. 17,22.

IPN oszacował też, że w latach 1939-1941 i 1944-1945 z rąk radzieckich zginęło 150 tys. obywateli polskich, w większości Polaków. Straty, jakie ponieśli Polacy pod okupacją radziecką (1939-1941) i w okresie działań represyjnych NKWD na tyłach frontu (1944-1945), są zatem zbliżone do tych, jakie podczas wojny zadali im łącznie nacjonaliści ukraińscy (według IPN 100 tys., według Ewy Siemaszko 130 tys. ofiar) i litewscy (ok. 25 tys. ofiar). W przypadku represji na Wschodzie historyk z PAN, prof. Wojciech Materski, podkreślił, że „Sowieci nie podejmowali się planowanej eksterminacji całych narodowości (wyjątek zrobiono dla polskich elit), a skala ofiar była spowodowana bardziej warunkami życia będącymi konsekwencjami represji"[6]. Inaczej natomiast wyglądała sytuacja na terenach pod okupacją niemiecką, gdzie skala ofiar – zarówno polskich, jak i żydowskich – była rezultatem bezpośrednich działań eksterminacyjnych, wynikających z celów realizowanej polityki okupacyjnej.

Procentowo Polska straciła największą liczbę ludności spośród państw biorących udział w II wojnie światowej – ok. 17,22%. Jeszcze bardziej niż straty ludzkie o eksterminacyjnym charakterze okupacji niemieckiej świadczą straty materialne. 90% zostało spowodowanych nie działaniami wojennymi, ale polityką okupacyjną Niemiec. Straty majątku narodowego pod okupacją niemiecką oszacowano w 1947 r. na 38% stanu sprzed 1939 r. Był to najwyższy wskaźnik wśród państw okupowanych przez Niemcy. Poza Polską tak barbarzyńską politykę eksterminacyjną hitlerowcy prowadzili tylko na okupowanych ziemiach ZSRR.

90% strat materialnych zostało spowodowanych nie działaniami wojennymi, ale polityką okupacyjną Niemiec.

W świetle tych faktów nie można zatem wątpić, że Polska wygrała II wojnę światową, ponieważ dzięki klęsce Niemiec hitlerowskich została ocalona dalsza egzystencja biologiczna narodu polskiego. Powojenna rzeczywistość – wbrew temu, co twierdzą zwolennicy tezy o drugiej okupacji – takiego zagrożenia już nie stanowiła.

W ROKU 1945 UZYSKANO MAKSIMUM

Rozważając, czy Polska wygrała tę wojnę, nie można pominąć polskiego wkładu w zwycięstwo nad III Rzeszą w ramach koalicji antyhitlerowskiej. We wrześniu 1939 r. kraj zdobył się na ogromny wysiłek, mobilizując prawie 1 mln żołnierzy i wystawiając osiem armii, liczących 39 dywizji

eprasa.pl 1cd478a4a0

Selekcja nowo przybyłych więźniów do obozu w Birkenau. Większość od razu kierowano do komór gazowych.

piechoty, 11 brygad kawalerii i dwie brygady zmotoryzowane. W samotnej walce zginęło 66 tys. żołnierzy polskich, zdradzonych przez sojuszników zachodnich. Straty zadane Niemcom podczas kampanii wrześniowej, zwłaszcza w sprzęcie, uniemożliwiły Wehrmachtowi podjęcie ofensywy na froncie zachodnim do wiosny 1940 r.

Po klęsce wrześniowej w walce z Niemcami uczestniczyły wszystkie nurty polityczne i wojskowe podziemia oraz Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie i Wojsko Polskie sformowane na Wschodzie. Polski wysiłek zbrojny wspierał wszystkie fronty tej wojny i niewątpliwie był znaczący wśród państw koalicji antyhitlerowskiej.

Siły zbrojne podległe rządowi RP na uchodźstwie wzięły udział w kampanii norweskiej i francuskiej, bitwie o Anglię, bitwie o Atlantyk, kampanii północnoafrykańskiej, kampanii włoskiej i walkach na froncie zachodnim.

Z chwilą zakończenia wojny Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie liczyły 210 tys. żołnierzy, a przed rozformowaniem w 1946 r. 240 tys. Do ich legendarnych działań należały udział w bitwach o Narwik i Tobruk oraz w bitwie pod Falaise, przełamanie Linii Gustawa (bitwa o Monte Cassino) oraz tragiczny udział w operacji „Market Garden".

Równie wielki wkład w zwycięstwo nad hitleryzmem wniosło Wojsko Polskie sformowane na Wschodzie w latach 1943-1944. Pod koniec wojny 1. Armia WP liczyła 77 tys., a 2. Armia WP 90 tys. żołnierzy. Najkrwawszymi epizodami 1. Armii WP na szlaku bojowym od Lenino do Berlina i Łaby były udział w pomocy dla powstania warszawskiego, przełamanie Wału Pomorskiego i zdobycie Kołobrzegu. 2. Armia WP – składająca się w większości z byłych żołnierzy AK – zapisała się tragicznym udziałem w operacji łużyckiej, w której straciła 22% stanu wyjściowego.

Polski wysiłek zbrojny to także działania wywiadu PSZ na Zachodzie i wywiadu AK, których największymi sukcesami były złamanie szyfru Enigmy i rozpracowanie niemieckiego projektu broni rakietowej V-1 i V-2.

Zbrojny ruch oporu obejmował Armię Krajową (ok. 400 tys. zaprzysiężonych członków), Bataliony Chłopskie (130 tys.), Narodowe Siły Zbrojne (70 tys.) i Armię Ludową (30 tys.). W sumie formacje te liczyły ponad 600 tys. członków, co plasuje polski ruch oporu w gronie największych w Europie. Ponadto Polacy brali udział w walce podziemnej w innych krajach okupowanych przez Niemcy – najliczniej we Francji i w Jugosławii.

15% (ok. 4 mln) Polaków zamierzano zachować jako niewolniczą siłę roboczą lub zgermanizować.

Straty poniesione w II wojnie światowej przez wszystkie polskie formacje zbrojne, w tym konspiracji wojskowej, są trudne do oszacowania. Najprawdopodobniej to ok. 240 tys. zabitych, z tego 140 tys. żołnierzy regularnego wojska i 100 tys. żołnierzy zbrojnego ruchu oporu[7]. Co oznacza, że wysiłek zbrojny Polski był większy niż np. Francji, która straciła 210 tys. żołnierzy regularnego wojska i ruchu oporu[8]. Ponadto według „Sprawozdania w przedmiocie strat i szkód wojennych Polski w latach 1939-1945", opracowanego przez Biuro Odszkodowań Wojennych w 1947 r., straty polskiej ludności cywilnej na

Niemieccy żołnierze stoją nad zabitymi polskimi rolnikami.

eprasa.pl 1cd478a4a0

Łapanki w większych polskich miastach należały do codzienności. Nz. niemiecka akcja w Warszawie.

skutek bezpośrednich działań wojennych wyniosły 521 tys. zabitych.

Najważniejszym teatrem wojny był od 1941 r. front wschodni. Fakt, że na tym kierunku działań wojennych również nie zabrakło żołnierzy polskich, miał ogromne znaczenie polityczne. Niestety, obecnie coraz mniej się to rozumie. Wojsko Polskie walczące na froncie wschodnim jest coraz częściej marginalizowane, a nawet piętnowane przez historiografię i publicystykę inspirowaną antykomunizmem i antysowietyzmem. Utytułowany historyk, pełniący funkcję dyrektora Centralnego Archiwum Wojskowego, pozwolił sobie nawet na stwierdzenie, że „Wojsko Polskie, które powołał Stalin w maju 1943 r.", nie jest częścią historii oręża polskiego[9]. Tego typu pogląd znajduje dziś odzwierciedlenie w licznych publikacjach. Przykładem mogą być „Janczarzy Berlinga" autorstwa Tadeusza A. Kisielewskiego. Twórców Wojska Polskiego na Wschodzie przedstawiono tam jako „grupę renegatów", a jego pierwszego dowódcę nazwano „modelowym wręcz oportunistą"[10]. Jest to spojrzenie ideologiczne, pozbawione realizmu.

Polska wygrała wojnę, bo dzięki klęsce Niemiec hitlerowskich została ocalona biologiczna egzystencja naszego narodu.

Realizm każe przyznać, że „janczarom Berlinga" – którzy wkroczyli do Berlina – Polska zawdzięcza w niemałej mierze nie tylko powojenną granicę zachodnią, ale i to, że nie stała się 17. republiką radziecką. W sytuacji geopolitycznej 1945 r. nie istniała bowiem alternatywa: Polska Ludowa albo Polska niepodległa. Tą drugą możliwością była jedynie 17. republika. Poza tym „Polska niepodległa" – czyli wyzwolona przez aliantów zachodnich i pozostająca w orbicie wpływów Zachodu – na pewno nie miałaby granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej i nie jest pewne, czy w sytuacji rosnącej agresji nacjonalizmu ukraińskiego i litewskiego utrzymałaby Kresy Wschodnie. A nawet gdyby je utrzymała, po 1989 r. albo wcześniej miałaby tam swoje Kosowo i Bośnię. Powojenne zmiany terytorialne pozwoliły uniknąć konfliktu narodowościowego, zaowocowały też przesunięciem Polski bliżej centrum i zachodu Europy. Twierdzenie, że owe zmiany terytorialne były klęską narodową, jest krótkowzroczne.

Terytorialny i ustrojowy kształt Polski w 1945 r. to maksimum, które w tamtych warunkach geopolitycznych można było osiągnąć. W stanowisku odrzucającym taki punkt widzenia pobrzmiewa infantylne kredo polskiej XIX-wiecznej tradycji romantycznej: wszystko albo nic.

Pisząc o poniżaniu ze względów ideologicznych Wojska Polskiego walczącego na froncie wschodnim, nie sposób nie wspomnieć o stosunku antykomunistycznej i rusofobicznej historiografii do żołnierzy Armii Czerwonej. Przykładem skrajnych i zafałszowanych ocen może być publikacja „Czerwona zaraza" Dariusza Kalińskiego. Z opisu tej książki na portalu Ciekawostki Historyczne można się dowiedzieć, że „żołdacy Stalina" na ziemiach polskich zajmowali się wyłącznie grabieżami i gwałtami. Zamiast wyzwolicieli nadeszli „bezwzględni zbrodniarze i złoczyńcy. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny w zetknięciu z czerwoną szarańczą. Żołdacy Stalina zamordowali dziesiątki tysięcy Polaków (...). Kobiety nie były dla nich ludźmi, ale wyłącznie łupem (...). Sowieci demontowali nasze fabryki, grabili majątek pokoleń, rozebrali tysiące kilometrów torów kolejowych (...). Została po nich tylko spalona ziemia. I bilans strat idący w setki miliardów dolarów"[11].

No proszę, a ja myślałem, że spalona ziemia i straty idące w setki miliardów dolarów zostały po okupacji niemieckiej. Może jestem przewrażliwiony, ale zacytowana wyżej poetyka przypomina mi styl publicystyki na temat Armii Czerwonej na łamach „Nowego Kuriera Warszawskiego" – gazety wydawanej przez Niemców w języku polskim w Generalnym Gubernatorstwie.

Polska wyzwolona przez aliantów zachodnich nie miałaby granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Autorzy skrajnych ocen nie potrafią odróżnić radzieckich żołnierzy frontowych od polityki Stalina oraz

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W RADOMIU, DOMENA PUBLICZNA, WIKIPEDIA, HISTORUM.COM

eprasa.pl 1cd478a4a0

działań NKWD i Smierszu (kontrwywiadu wojskowego – przyp. red.). Jest oczywiste, że ci żołnierze nie mogli przynieść Polsce pełnej wolności, ponieważ sami nie mieli jej w swojej ojczyźnie. Przynieśli jednak – cokolwiek by o nim mówić – wyzwolenie spod okupacji niemieckiej, której trwanie oznaczałoby dla narodu polskiego zagładę biologiczną. I z tego chociażby powodu ich ofiara zasługuje na szacunek.

ZAKOŃCZENIE WOJNY ZAMIAST ZWYCIĘSTWA

Motywowane ideologicznie i politycznie spojrzenie na historię ma określone konsekwencje. W mediach raczej nie można już się spotkać z określeniem 8 maja jako Dnia Zwycięstwa. Najczęściej jest mowa o dniu zakończenia II wojny światowej w Europie. O polityce historycznej III RP w tej kwestii wiele mówią obchody 70. rocznicy – no właśnie, nie zwycięstwa, ale zakończenia II wojny światowej – które władze państwowe zorganizowały w 2015 r. na Westerplatte. Zaproszono na nie przywódców głównie państw drugorzędnych, w tym takich, które kolaborowały z Niemcami hitlerowskimi (Bułgarii, Chorwacji, Estonii, Litwy, Rumunii, Słowacji, Ukrainy). Widać w tym jakąś upiorną chęć – odzwierciedloną w publicystyce m.in. Piotra Zychowicza[12] – wypisania na siłę Polski z koalicji antyhitlerowskiej i włączenia jej do grona kolaborantów i satelitów III Rzeszy.

Jeżeli siły polityczne obecnej Polski nie chcą uznawać faktu polskiego zwycięstwa w II wojnie światowej, mogłyby przynajmniej wykorzystać rocznicę klęski III Rzeszy nie do podbijania bębenka rusofobii, ale do przypomnienia światu ofiary, jaką w tej wojnie poniósł naród polski z ręki hitlerowskich Niemiec. O tyle to ważne, że ofiara ta jest przemilczana na Zachodzie albo niewiele tam o niej się wie. Natomiast coraz bardziej widoczne są tendencje – płynące z różnych stron – do przerzucania odpowiedzialności za wywołanie II wojny światowej i zbrodnie wojenne z Niemiec hitlerowskich na Polskę.

> Powojenna rzeczywistość – wbrew temu, co twierdzą zwolennicy tezy o „drugiej okupacji" – istnieniu narodu nie zagrażała.

Bohdan Piętka

[1] W. Anders, „Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946", Bydgoszcz 1989, s. 308, 332, 350.

[2] P. Zychowicz, „Pakt Ribbentrop-Beck. Czyli jak Polacy mogli u boku III Rzeszy pokonać Związek Sowiecki", Poznań 2012.

[3] Cyt. za: T. Cyprian, J. Sawicki, „Agresja na Polskę w świetle dokumentów", Warszawa 1946, t. II, s. 139-142.

[4] W. Materski, T. Szarota (red.), „Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami", Warszawa 2009.

[5] C. Łuczak, „Szanse i trudności bilansu demograficznego Polski w latach 1939-1945", „Dzieje Najnowsze" nr 2, Warszawa 1994, s. 9-14.

[6] „IPN: Polska poniosła największe straty osobowe w II wojnie światowej", www.wyborcza.pl, 28.08.2014.

[7] M. Gniazdowski, „Losses Inflicted on Poland by Germany during World War II. Assessments and Estimates – an Outline", „The Polish Quarterly of International Affairs" nr 1/2007, s. 94-126.

[8] G. Frumkin, „Population Changes in Europe Since 1939", Genewa 1951, s. 58-59.

[9] „Cenckiewicz: Żołnierze I i II Armii WP nie są częścią polskiego oręża", www.trybuna.eu, 10.03.2016.

[10] T. A. Kisielewski, „Janczarzy Berlinga. 1. Armia Wojska Polskiego 1943-1945", Poznań 2014, s. 35, 37.

[11] D. Kaliński, „Czerwona zaraza. Jak naprawdę wyglądało wyzwolenie Polski?", Warszawa 2017; „Czerwona zaraza. Jak naprawdę wyglądało wyzwolenie Polski?", www.ciekawostkihistoryczne.pl, 3.04.2017.

[12] P. Zychowicz, „Opcja niemiecka. Czyli jak polscy antykomuniści próbowali porozumieć się z Trzecią Rzeszą", Poznań 2014.

TAKIEJ KSIĄŻKI
O STOSUNKACH POLSKO-ROSYJSKICH
JESZCZE NIE BYŁO!

Prof. Łagowski pisze o stereotypach, na które chorują media i politycy

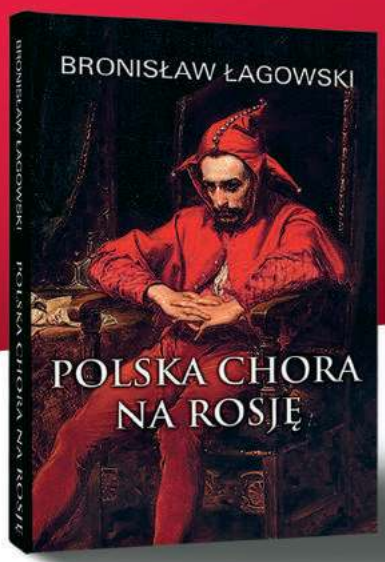

KSIĄŻKĘ MOŻNA KUPIĆ:
- wpłacając 48 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7; oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona.
- przez sklep internetowy: **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**

eprasa.pl 1cd478a4a0

PACIORKI GIETRZWAŁDZKIEGO RÓŻAŃCA

Mieszkańcy warmińskiej gminy odwołali wójta, odsuwając od rządów prawicowo-nacjonalistyczne towarzystwo

Marek Książek

Narodowe odchylenia pojawiły się w „świętym" Gietrzwałdzie rok temu, gdy za sprawą Bogusława Rogalskiego, kiedyś znanego wszechpolaka, byłego eurodeputowanego Ligi Polskich Rodzin i mieszkańca tej gminy, wójt Marcin Sieczkowski odwołał dyrektorkę miejscowej szkoły. Formalnie nie przedłużył jej kontraktu, ale wszyscy wiedzieli, że była to kara za utrzymywanie świeckiego charakteru placówki. Dyrektorka Teresa Kochanowska nie chciała wystawić pocztu sztandarowego szkoły na uroczystość z okazji Narodowego Święta Niepodległości, która zaczynała się w kościele. I to w gminie, w której znajduje się sanktuarium maryjne na okoliczność cudu, jaki wydarzył się w 1877 r. Wtedy na przykościelnym klonie ukazała się Matka Boska i przemówiła do dwóch wiejskich dziewczynek. Po polsku, choć to były Prusy Wschodnie. Wójt ugiął się pod presją narodowców, a w miejsce dotychczasowej dyrektorki powołał Bożenę Reszkę z Olsztyna, nauczycielkę o słusznych poglądach, na dodatek działaczkę Solidarności i PiS, która na dzień dobry urządziła w gabinecie ołtarzyk smoleński. Stało się jasne, że to początek prawicowego wzmożenia.

PANI DYREKTOR I CNOTY ZAPOMNIANE

Już 17 września pani dyrektor kazała przyjść uczniom w galowych, biało-czarnych strojach, by uczcić tragedię spowodowaną napaścią bolszewików na Polskę. Potem zaczęła wprowadzać program wychowawczy, który był owocem jej nawiedzenia podczas jednej z pielgrzymek. Filarami tego programu było pięć prawd Polaków spod znaku Rodła, co na Warmii ma swoje znaczenie, ale także tzw. cnoty zapomniane. Katalog dziesięciu cnót opracowała prof. Maria Braun-Gałkowska z KUL, która obok takich cnót jak usłużność i delikatność najmocniej stawia na wstydliwość, wierność i patriotyzm. Rewolucja edukacyjna w wykonaniu nowej dyrektorki spotkała się ze zdziwieniem, a w końcu ze sprzeciwem rodziców. Zwłaszcza gdy pani Reszka pokazała się jako osoba emocjonalnie rozchwiana, która potrafiła krzyczeć na nauczycieli w obecności dzieci, a na spotkaniach z rodzicami nagle zaczynała płakać. Nauczyciele przekazali wójtowi pismo, w którym cytowali publiczne wypowiedzi dyrektorki, np. takie: „Tylko katolik może być prawdziwym Polakiem" czy „Zadaniem nauczyciela jest budowanie autorytetu księdza".

Wójt Marcin Sieczkowski cieszył się władzą niecałą kadencję.

Zadaniem nauczyciela jest budowanie autorytetu księdza.

Wójt, człowiek młody, nie widział w tym nic zdrożnego. Uważał, że konflikt z nową panią dyrektor został sztucznie wykreowany przez zwolenników jej poprzedniczki. Bożena Reszka wydawała się spełniać oczekiwania nie tyle jego, ile Bogusława Rogalskiego, który w 2014 r. działał w komitecie wyborczym Sieczkowskiego. Gdy tenże kandydował na wójta, pracował jako inspektor w gietrzwałdzkim urzędzie gminy, zajmując się lokalnymi inwestycjami. A kiedy wygrał wybory, wyszło na jaw, że prokuratura zarzuca mu podrabianie dokumentów dotyczących warunków zabudowy i lokalizacji inwestycji publicznych. Miał też przekroczyć uprawnienia w celu osiągnięcia korzyści majątkowej i osobistej. Tych zarzutów zebrało się w sumie 196 i tyle znalazło się w akcie oskarżenia, który trafił już do sądu. Wójt twierdzi, że jest niewinny i wybroni się podczas procesu, który rozpoczyna się 7 czerwca.

WYRZUCONY ZA GAZETĘ

Ale nawet z tymi zarzutami Marcin Sieczkowski mógł dotrwać do końca kadencji (nie ma wyroku, nie ma winy), gdyby nie jego kolejne posunięcia. Przede wszystkim zakazał drukowania w gminnym ośrodku kultury „Gazety Gietrzwałdzkiej", wydawanej od początku transformacji ustrojowej przez grupę mieszkańców. Był wśród jej założycieli pierwszy wójt Wojciech Samulowski, po-

FOT. FB.COM

eprasa.pl 1cd478a4a0

tomek Andrzeja Samulowskiego, polskiego księgarza zasłużonego dla sprawy polskiej, w 1886 r. współtwórcy walczącej z germanizacją „Gazety Olsztyńskiej". Od kilkunastu lat redaktorem naczelnym „GG" była Teresa Samulowska, żona pierwszego wójta, nauczycielka, socjoterapeutka, aktorka Wspaniałego Teatru Bez Nazwy. Po dojściu PiS do władzy dwutygodnik krytykował Marcina Sieczkowskiego, wytykając mu błędne decyzje, w tym tę o zatrudnieniu nowej dyrektorki szkoły. Na dodatek nie spełniał oczekiwań Bogusława Rogalskiego, który w czerwcu zeszłego roku przesłał do redakcji pismo z pretensjami, że nie zamieściła relacji z Dnia Dziecka w sanktuarium maryjnym. Porównał w nim „GG" do „Trybuny Ludu".

Aż pewnego dnia redakcja dowiedziała się, że nie może wydawać „Gazety Gietrzwałdzkiej", bo dwutygodnik ma już nowego właściciela. Okazało się, że choć pismo miało numer ISSN i opatentowany znak graficzny, nie było zarejestrowane w sądzie. Kiedy w 1990 r. grupa społeczników spontanicznie ruszała z gazetą, nikt nie myślał o przepisach prawa prasowego, liczyła się możliwość korzystania z wolności. Nikt też nie spodziewał się, że znajdzie się odważny, który zabierze im tytuł. Tymczasem 1 września 2016 r. niejaki Paweł Kot, sąsiad Rogalskiego ze wsi Woryty, zarejestrował w sądzie „Gazetę Gietrzwałdzką" pod swoim nazwiskiem, a wójt wezwał dyrektora GOK, aby zaprzestał drukowania dwutygodnika.

– Od tej pory pan Kot wydawał swoją „Gazetę Gietrzwałdzką", a my swoją, poza GOK. Co ciekawe, naszą rozdawaliśmy za darmo w nakładzie 500-600 egzemplarzy, a tej drugiej sprzedawano w sklepach dziesięć razy mniej – mówi Teresa Samulowska. Odebranie gazety najbardziej przeżył jej mąż, obecnie dyrektor Parku Technologiczno-Naukowego w Olsztynie. Ale konsekwencje personalne poniósł przede wszystkim Paweł Jarząbek, dyrektor gminnego ośrodka kultury. Były nauczyciel i dziennikarz zajmował to stanowisko pięć i pół roku, dał się poznać jako świetny organizator imprez na wysokim poziomie, a mieszkańcy gminy doceniali jego pracę. Wójt odwołał go pod pretekstem drukowania w GOK „Gazety Gietrzwałdzkiej", choć sam często gościł na jej łamach, również jako rozmówca.

PANU JUŻ DZIĘKUJEMY

Niedawno wojewódzki sąd administracyjny wykazał, że Sieczkowski naruszył prawo przy odwołaniu dyrektora GOK, co nie oznacza jeszcze przywrócenia Jarząbka do pracy, ale świadczy o stylu rządzenia wójta. I to właśnie ta decyzja przepełniła czarę goryczy, zwłaszcza że nowym dyrektorem GOK został Jacek Adamas, plastyk, znany w regionie happener, który walczył np. z budową wiatraków, ale i zatruwał życie prof. Tadeuszowi Iwińskiemu, wywieszając przed jego biurem poselskim transparent z napisem „Komitet Wojewódzki PZPR w Olsztynie / Sekretarz Tow. Iwiński", piętnując posła za to, że był przeciw uchwale potępiającej morderstwo Grzegorza Przemyka. Ostatnio Adamas, już w roli dyrektora GOK, wymyślił instalację największego na świecie różańca, którego każdy paciorek miałby 2 m średnicy! Obok innych różańców z różnych miejsc kultu maryjnego spocznie on w Muzeum Historii Różańca, jakie ma powstać w Gietrzwałdzie z okazji 140. rocznicy objawień Matki Bożej.

Uroczystości zaplanowano na czerwiec, ale jeśli weźmie w nich udział Marcin Sieczkowski, to jako osoba prywatna. Swoimi decyzjami tak wzburzył mieszkańców, że powstał komitet referendalny złożony z młodych działaczy samorządowych. W niedzielę, 23 kwietnia br., Sieczkowski został w referendum odwołany ze stanowiska wójta. Chociaż zachęcał mieszkańców, by pozostali w domu, frekwencja wyniosła ponad 1,5 tys. osób, przy progu 1230 wyborców. Tylko 81 głosujących opowiedziało się za pozostawieniem wójta na stanowisku. Być może za trzy miesiące Sieczkowski wystartuje w wyborach uzupełniających, ale jest bez szans. Inicjatorzy referendum już wcześniej uzyskali deklarację najmocniejszej chyba postaci gietrzwałdzkiej sceny, jaką jest Wojciech Samulowski. Jeśli wygra, stanie przed nim kilka istotnych zadań, w tym remont dziurawych dróg. Ale najważniejsze będzie przywrócenie normalności po rządach gminnej „dobrej zmiany". ■

W referendum wzięło udział ponad 1,5 tys. osób, przy progu 1230 wyborców. Tylko 81 opowiedziało się za wójtem.

eprasa.pl 1cd478a4a0

ZWIĄZKOWE ROZGRYWKI W BIEDRONCE

Kiedy Robert Jacyno założył nowy związek, zarząd Solidarności natychmiast zgodził się na jego zwolnienie

Helena Leman

Tę informację ciągle można znaleźć na stronie Regionu Gdańskiego NSZZ Solidarność: „Obradująca 12 grudnia 2016 r. Komisja Zakładowa Organizacji Zakładowej NSZZ Solidarność w Jeronimo Martins SA przyjęła uchwałę o pozbawieniu członkostwa (wykluczeniu ze Związku) Roberta Jacyny". W uzasadnieniu członkowie władz związku powołują się na paragraf 15 rozdziału „Prawa i obowiązki członków związku", mówiący, że członek jest „zobowiązany nie podejmować czynów, które naruszają dobre imię Związku". Zarzuty wysuwane wobec Roberta Jacyny dotyczyły też działań prowadzących do skłócania członków komisji zakładowej, co wpłynęło na „dezintegrację organizacji oraz trudności we wspólnym reprezentowaniu NSZZ Solidarność wobec pracodawcy".

13 grudnia 2016 r. pismo o wykluczeniu Jacyny otrzymała Katarzyna Strugalska, dyrektor ds. relacji pracowniczych Jeronimo Martins Polska, a dwa dni później Jacyno – oddelegowany do działalności związkowej – został zwolniony dyscyplinarnie z powodu nieusprawiedliwionej nieobecności w pracy.

– Gdyby nie wsparcie bliskich, współpracowników i zwykłych ludzi, nie wiem, jak bym przez to przeszedł. Cały świat mi się zawalił. Chyba bardziej od zwolnienia z pracy zabolało mnie poparcie tej decyzji przez związek. Myślę, że gdybym z kolegami 13 grudnia 2016 r. nie założył Solidarności 80, dalej bym pracował w Biedronce – mówi Robert Jacyno.

Spotykam się z nim w jego dwupokojowym mieszkaniu, oddziedziczonym po rodzinie w Tczewie. W tej chwili jest na zwolnieniu lekarskim. Powód – załamanie psychiczne. Jacyno jest sam, żona i syn nie wrócili jeszcze z zajęć. 11-letni Paweł jest dzieckiem autystycznym i chodzi do ośrodka szkolno-rewalidacyjnego.

NA PIERWSZEJ LINII

W Jeronimo Martins do 13 grudnia 2016 r. działały trzy związki zawodowe: NSZZ Solidarność w JMP, Sierpień 80 i NSZZ Pracowników Biedronka. Jacyno wstąpił do Solidarności w 2012 r., gdy dostał umowę na czas nieokreślony. 7 kwietnia 2013 r. został oddelegowany do działalności związkowej jako przewodniczący komisji oddziałowej regionu gdańskiego i wiceprzewodniczący komisji zakładowej tego związku, obejmującej cały kraj. Funkcje te miał pełnić do końca marca 2018 r.

Przeglądając strony internetowe i galerię zdjęć Solidarności w JMP, trudno nie zauważyć aktywności Roberta Jacyny.

Przewodniczący Adamczak zgodę na zwolnienie związkowca podpisał w ciągu kilku godzin.

29 czerwca 2015 r. razem z Adamem Żbikowskim i Magdaleną Wojtal uczestniczy w IV corocznym spotkaniu przedstawicieli organizacji związkowych w Gdańsku. 13-15 lipca spotyka się z pracownikami Biedronki okręgu łódzkiego. Od 17 sierpnia razem z przewodniczącym NSZZ Solidarność w JMP Piotrem Adamczakiem odwiedzają praktycznie wszystkie sklepy w Częstochowie i okolicach, rozmawiając z pracownikami o ich bolączkach i sposobach rozwiązania problemów. Spotkania przynoszą konkretny efekt – powiększa się grono członków związku. W październiku Jacyno z Adamczakiem i Sylwią Belke – przewodniczącą komisji oddziałowej w Elblągu, prowadzi akcję informacyjną w regionie. 22 października zaś z Piotrem Adamczakiem, Rafałem Wołoszynem – członkiem prezydium Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w JMP, i Katarzyną Machalicą – sekretarzem komisji, biorą udział w pikiecie-happeningu „Order za Order" przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, protestując przeciw uhonorowaniu Pedra Pereiry da Silvy, dyrektora grupy Jeronimo Martins, Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Pol-

eprasa.pl 1cd478a4a0

Robert Jacyno z synem Pawłem.

Robert Jacyno był aktywnym działaczem NSZZ Solidarność. Silny związek jest potrzebny, bo ludzie w Biedronce są przeciążeni pracą.

skiej. Order, a właściwie antyorder, dla premier Ewy Kopacz ma zwrócić uwagę na trudne warunki pracy w sklepach dyskontowych i balansowanie przez pracodawcę na granicy prawa. W listopadzie Jacyno uczestniczy w akcji ulotkowej w obronie zwolnionych członków organizacji w Jarocinie i Poznaniu.

Pod koniec 2015 r. atmosfera na linii pracodawca-związek staje się tak napięta, że w grudniu dochodzi do pikiety pod siedzibą JMP w Warszawie. – Powody to utrudnianie działalności związkowej i odmowa przystąpienia do negocjacji płacowych – tłumaczy Jacyno. – Wtedy z Piotrem Adamczakiem protestowaliśmy ramię w ramię. Rok później zostałem m.in. przez niego wykluczony ze związku i za jego zgodą zwolniony z pracy.

RÓWNIA POCHYŁA

W roku 2016 r. impet działalności związkowej osłabł, zaczęły się swary. – Najpierw wybuchły konflikty między nami, członkami prezydium. Początkowo nie umieliśmy ustalić ich przyczyny. Dopiero potem zrozumieliśmy, że ktoś zastosował wobec nas taktykę „dziel i rządź". Manipulował nami, mówiąc jednemu to, a drugiemu coś przeciwnego. Próbowaliśmy to wytłumaczyć naszemu przewodniczącemu Piotrowi Adamczakowi na zebraniu w czerwcu 2016 r. – opowiada Katarzyna Machalica z Bytomia.

– Kontrowersje budziły także sprawy finansowe – dodaje Rafał Wołoszyn z Zabrza. – Domagaliśmy się przejrzystości finansowej, dostępu do rachunku bankowego związku i do rozliczeń za delegacje. W kwietniu podjęliśmy uchwałę ograniczającą przewodniczącemu korzystanie z karty bankowej. Postulowaliśmy również, by finansowanie związku było transparentne dla każdego członka, przecież ludzie odprowadzali na związek miesięcznie prawie 1% pensji i mieli prawo wiedzieć, na co są wydawane te środki.

Roberta Jacynę raziła też atmosfera. – To dzielenie ludzi na swoich i nie swoich, zamykanie się we własnym kręgu, hierarchia, te pielgrzymki, imprezy. My, jadąc w teren, tłukliśmy się autobusami, podczas gdy szefostwo regionu miało do dyspozycji samochody – wymienia. – Szeregowy członek związku, który zwracał się o pomoc, dostawał z działu prawnego wzór pozwu do napisania, a w najlepszym wypadku pomoc aplikanta, natomiast działacz związkowy – pomoc znanego mecenasa. Wizerunek organizacji podrywało poza tym bronienie członków, którzy mobbingowali swoich podwładnych.

W związku z krytyką przewodniczącego prezydium Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w JMP zostało odcięte od informacji. – Od czerwca przestaliśmy dla nich istnieć, nie odbierali od nas telefonów, korespondencji, nie przyjmowali deklaracji nowych członków – wspomina Rafał Wołoszyn.

7 grudnia 2016 r. Robert Jacyno zrezygnował z funkcji zastępcy przewodniczącego komisji zakładowej. – Tego dnia przekazałem Katarzynie Strugalskiej pismo dotyczące chęci powrotu do pracy w sklepie – mówi. – Dzień wcześniej zrobiłem badania okresowe. 12 grudnia poinformowałem o moich planach kierownik rejonu. Ponieważ nie miałem wymaganych szkoleń BHP, a najbliższe takie szkolenie w regionie gdańskim było przewidziane dopiero na 17 stycznia, zaproponowałem, że do tego czasu pójdę na urlop. Kierownik obiecała, że oddzwoni, ale tego nie

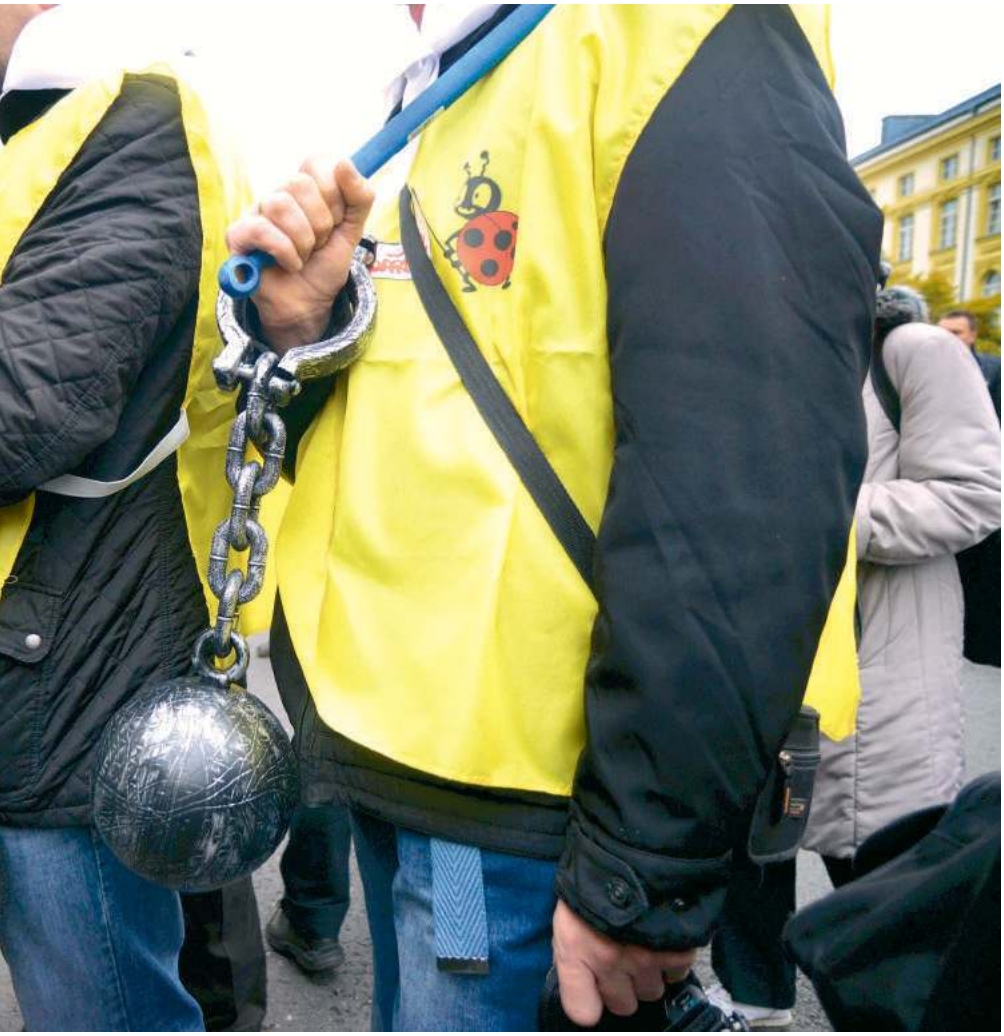

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, JAKUB WOSIK/REPORTER

eprasa.pl 1cd478a4a0

zrobiła. 13 grudnia założyliśmy w Gdańsku NSZZ Solidarność 80 w JMP. Dzień później stawiłem się w sklepie Biedronka, kierownik sklepu nie powiedziała, że mam pracować, to samo powtórzyło się dnia następnego. 15 grudnia podpisała mi wniosek urlopowy. Uspokojony wróciłem do domu. Zapadał już zmrok, gdy przyjechał kurier. Jakiś dziwny, terenowym mercedesem bez napisu DHL, i powiedział, że ma dla mnie korespondencję z firmy, w której pracuję. List otworzyłem dopiero w mieszkaniu i zrobiło mi się ciemno przed oczami.

WYPOWIEDZENIE

Było to wypowiedzenie umowy o pracę z winy pracownika, bez okresu wypowiedzenia. Biuro Prasowe JMP informuje, że powodem była nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy. Nie dostaję odpowiedzi na pytanie, czy między wykluczeniem Jacyny ze związku a jego zwolnieniem była jakaś zależność.

Pismo z JMP SA do związku o wyrażenie zgody na zwolnienie Roberta Jacyny ma datę 15 grudnia 2016 r. Komisja Zakładowa NSZZ Solidarność w JMP jeszcze tego samego dnia ową zgodę wyraża. Pod napisaną odręcznie, jakby na kolanie, odpowiedzią widnieje podpis Piotra Adamczaka. Gdy pytam w mejlu, skąd ten pośpiech, czy nie należało dokładniej przyjrzeć się sprawie, przewodniczący nie udziela odpowiedzi, zasłaniając się tym, że został powołany na świadka w sprawie sądowej z powództwa Roberta Jacyny. Zwolniony związkowiec wystąpił bowiem do Sądu Rejonowego w Malborku z pozwem o przywrócenie do pracy na poprzednim stanowisku – zastępcy kierownika sklepu w Tczewie.

– JMP samo sobie zaprzecza – zwraca uwagę Robert Jacyno. – Skoro 15 grudnia pytało związek o zgodę na moje zwolnienie, to znaczy, że 13, 14 i 15 grudnia byłem jeszcze oddelegowany. Skąd zatem nieusprawiedliwiona nieobecność w tych dniach? Zresztą od decyzji o wykluczeniu przysługiwało mi 30 dni na odwołanie. Nie chciałem zająć miejsca Adamczaka, nie stanąłem też na czele nowego związku. Uważam, że związki powinny być partnerem dla pracodawcy, a nie jego podnóżkiem. Nam potrzeba silnej ustawy o związkach na wzór norweski. W jednym z miast pracownica Biedronki podjęła próbę samobójczą, napisała list wskazujący winnego. Prokuratura umorzyła sprawę, bo pracodawca dowodził, że była ofiarą przemocy domowej. W innym mieście kierownik rejonu mówił do kasjerów, że trzeba im „przyp... w potylicę, by szybciej pracowali". Co z tego, że w Biedronce w 2016 r. były dwie podwyżki, kiedy ludzie są przeciążeni pracą?

WYCIĘCI ZBUNTOWANI

Trzy dni przed zwolnieniem Roberta Jacyny nastąpiły zmiany w składzie prezydium komisji zakładowej Solidarności. Buntowników wycięto. Rafał Wołoszyn z oddelegowania do pracy związkowej wrócił na kasę, dostał trzy dni wolnego na przygotowanie się do pracy. Nadal pracuje w Biedronce, podobnie jak Katarzyna Machalica. Agnieszka Tatarczuk, kolejna członkini zbuntowanego prezydium, odeszła z Biedronki i ze związku.

Za buntownikami do Solidarności 80 przeszli też zwykli członkowie NSZZ Solidarność w JMP. Monika Mądrzak z Borkowa koło Gdańska zmieniła związek ze względu na Roberta Jacynę. – Mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie stracił pracę. Wpadłam w konflikt z kierownikiem rejonu i poprosiłam go o pomoc. Pisał mi odwołania od kar porządkowych, radził, a nawet wspierał przy rozmowach telefonicznych, bo byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam wybrać numeru. Kierownik obwiniał mnie o wszystko, i to zawsze podniesionym tonem. Siadał do komputera i sprawdzał, ile czasu byłam na zwolnieniu, kiedy tłumaczyłam, że naprawdę byłam chora, kpił, że ferie sobie robię w lutym, a nie mam dzieci. Przeniósł mnie na inny sklep i chciał mnie zmusić, żebym się zdegradowała do zastępcy kierownika sklepu. Za radą Roberta nie zgodziłam się. 15 grudnia 2016 r. dostałam naganę, a Robert wypowiedzenie, chciano nas uciszyć i dać ostrzeżenie innym.

Dominika Górska także przeniosła się do nowego związku. – Robert pomagał mi pisać odwołanie od oceny rocznej. Chociaż zgłaszało się do niego wiele osób, nigdy nie przegapił terminów. Według mnie to jego zaangażowanie niektórym się nie podobało – podkreśla.

Ewa nie należała do żadnego związku. Roberta poznała na Facebooku. Szukała pomocy, bo gdy przyniosła zwolnienie z powodu zagrożonej ciąży, przełożona zrobiła jej awanturę i zabrała premię. Dzięki Robertowi Ewa premię odzyskała. Poroniła jednak; jeszcze nie wie, czy po zwolnieniu lekarskim wróci do Biedronki.

Piotr Adamczak twierdzi, że były kolega związkowiec go pomawia i nawet przewodniczący nowego związku dystansuje się od Jacyny. Adam Żbikowski, szef Solidarności 80 w JMP, zaprzecza: – Nie założyłbym z Robertem organizacji, gdybym nie miał do niego absolutnego zaufania. To społecznik, poświęca nawet swój czas prywatny, by pomóc innym. W jego sytuacji też próbowałbym się bronić.

Solidarność 80 w JMP ma 108 członków z różnych stron Polski, najwięcej ze Śląska i Pomorza. W internecie działa zamknięta grupa sympatyków związku, licząca 8 tys. Portugalska firma jednak nie pali się do rozmów z nową organizacją.

W NAROŻNIKU

Robert Jacyno od wykluczenia ze związku się nie odwołał. Nie mógł, bo nie otrzymał żadnego pisma w tej sprawie. Pytam, dlaczego nie pójdzie na skargę wyżej, np. do komisji krajowej. – W Solidarności obowiązuje dwuinstancyjność, mogę się odwołać jedynie do komisji zakładowej, a potem do regionu. A ja nie wierzę w obiektywizm Zarządu Regionu Wielkopolska (komisja zakładowa Solidarności w JMP ma siedzibę we Wrześni – przyp. red.) – wyjaśnia.

Na pierwszej rozprawie firma zaproponowała Jacynie ugodę – wypłacenie odprawy w wysokości trzech pensji. Odmówił, bo bardziej niż na pieniądzach zależy mu na przywróceniu do pracy i zmianie świadectwa pracy. – Nie można mnie kupić, bo mam chore dziecko – podkreśla.

Pozew o przywrócenie do pracy wartość przedmiotu sporu określa na ponad 47 tys. zł. W kwietniu, na drugiej rozprawie, JMP podniosło tę wartość do 97 tys., co dla Jacyny oznacza większe koszty sądowe. Zdaniem reprezentującego go prawnika firma gra na przedłużanie sprawy.

Mężczyzna czeka na decyzję o zwolnieniu z kosztów sądowych, pieniądze na prawnika pożyczył od siostry. Zastanawia się, czy nie wyjechać do pracy do Norwegii. Z czegoś musi żyć.

Helena Leman

Gdybym z kolegami nie założył Solidarności 80, dalej bym pracował w Biedronce.

eprasa.pl 1cd478a4a0

DYREKTORSKIE GRANICE

Dyrektor izby celnej w Olsztynie winny mobbingu został pełnomocnikiem szefa KAS ds. wschodniej granicy

Marek Książek

We wtorek, 25 kwietnia br., nastąpił finał pięcioletniego procesu wytoczonego przez kierowniczkę komórki audytu izby celnej w Olsztynie przełożonemu za naruszenie dóbr osobistych i doprowadzenie do rozstroju zdrowia. Sąd nakazał wypłacić celniczce 20 tys. zł zadośćuczynienia plus odsetki za ostatnie trzy lata. Pieniądze wypłyną jednak z kieszeni podatników, a nie dyrektora Roberta Torenca, teraz figury w administracji centralnej.

ZNIKAJĄCE ANKIETY

To już drugi wyrok w sprawie, o której pisaliśmy w tekstach „(Nie) celne zagrywki dyrektora" (nr 41/2014) oraz „Prokurator w roli adwokata" (nr 38/2015). Przypomnijmy: Monika Podsiad pracowała w olsztyńskiej izbie celnej jako kierownik komórki audytu, awansowała, dostawała nagrody. W 2009 r. przekazała dyrektorowi izby ankiety celników z przejścia granicznego w Bezledach. Znalazły się w nich uwagi o możliwym przemycie i korupcji. Ankiety powinny wrócić do audytu, tymczasem zniknęły w gabinecie dyrektora. Przejęta swoją rolą kierowniczka próbowała je odzyskać, co stało się zarzewiem konfliktu z dyrektorem Torencem. Do tego doszedł konflikt personalny w samej komórce audytu, z podwładną Moniki Podsiad. Ta właśnie pracownica miała być protegowaną dyrektora i podobno doniosła mu, że przełożona z mężem celnikiem mieszka w nowym domu w sąsiedniej gminie, ale nadal pobiera ekwiwalent za brak lokalu służbowego. Izba celna wysłała w tej sprawie zapytanie do gminy z powołaniem się na przepisy o naruszeniu prawa celnego, co sugerowało, że Podsiadowie są o coś podejrzani. Gdy okazało się, że ekwiwalentu nie pobierają, tłumaczono się „pisarską pomyłką".

Decydującym ciosem dla pani Moniki było wystawienie jej okresowej oceny pracowniczej na poziomie przeciętnym, choć wcześniej miała wzorową. Uznała to za przejaw dyskryminacji, a nawet mobbingu ze strony dyrektora. Coraz częściej była na zwolnieniu lekarskim z powodu rozstroju zdrowia psychicznego, a tymczasem dyrektor Torenc wezwał kontrolę z Ministerstwa Finansów i na tej podstawie wszczął postępowanie dyscyplinarne wobec podwładnej. W tej sytuacji Monika Podsiad złożyła wypowiedzenie i w październiku 2012 r. odeszła z izby celnej.

KRAJ

(NIE)CELNE ZAGRYWKI DYREKTORA

Podatnicy zajdzie za mobbing w olsztyńskiej izbie celnej

Nasze dyrektory się nawołują, telewizyjnie rzecz, gry ich podwładne grycie się ze sobą.

WRACAMY DO TEMATU

W tym czasie w sądzie pracy rozpoczął się proces przeciwko dyrektorowi o mobbing. Przepisy o Służbie Celnej nie zawierają jednak takiego paragrafu, więc sprawę przeniesiono do wydziału cywilnego. Sąd przyznał celniczce 30 tys. zł odszkodowania, powołując się m.in. na stanowisko Sądu Najwyższego, że „obowiązek pracodawcy szanowania dóbr osobistych pracownika obejmuje także zapobieganie i przeciwdziałanie naruszaniu tych dóbr przez innych, podległych mu pracowników". Innymi słowy, to dyrektor odpowiada za długotrwały konflikt i to on naruszył prawo Moniki Podsiad do godnych warunków pracy, co spowodowało rozstrój jej zdrowia.

PROKURATOR JAK ADWOKAT

Wydawało się, że sprawiedliwości stało się zadość, gdy uczestnicząca w procesie cywilnym prokurator, mająca śledzić wątek korupcji wśród celników, wychwyciła błąd formalny w pozwie. Niczym adwokat Roberta Torenca wystąpiła z apelacją, zwracając uwagę, że izba celna nie ma zdolności sądowej, bo pełnomocnik dyrektora ustanowiony był tylko do sądu pracy, a nie do postępowania cywilnego.

Sprawę od nowa rozpoznawał już inny skład sędziowski, ale po kolejnych trzech latach wydał wyrok równie korzystny dla Moniki Podsiad. Wprawdzie zasądził nieco niższe odszkodowanie, ale podtrzymał argument, że to dyrektor był winny utrzymywania się długotrwałego konfliktu w izbie. Co więcej, jedna z kontrolerek Ministerstwa Finansów stwierdziła przed sądem, że ocena, na podstawie której dyrektor Torenc chciał zwolnić Monikę Podsiad, była dla niej... pozytywna. „Przecież to paranoja!", skomentowała sytuację sędzia Marta Orłowska.

CELNICY BOJĄ SIĘ O PRACĘ

A co z korupcją? Ankiety się nie odnalazły. Prokuratura wszczęła postępowanie, ale sprawę umorzyła. Wtedy związek zawodowy Celnicy.pl wystąpił z tzw. subsydiarnym aktem oskarżenia przeciw dyrektorowi Torencowi, który został już powołany na wicedyrektora departamentu w Ministerstwie Finansów. Związkowcy zarzucali mu przekroczenie uprawnień, szykanowanie funkcjonariuszy i dyskryminowanie ich za przynależność do związku. Odbyły się nawet dwie rozprawy.

I nagle w grudniu 2016 r. związek Celnicy.pl wycofał akt oskarżenia, uzasadniając to tym, że świadkowie boją się o pracę. „Dobra zmiana" tworzyła akurat ze służb celnych, skarbowych i podatkowych Krajową Administrację Skarbową i składanie zeznań przeciwko wysokiemu urzędnikowi ministerstwa mogło negatywnie wpłynąć na weryfikację ich przydatności do nowej struktury. Dziś, jak mówi szef olsztyńskich związkowców Rafał Markiewicz, celnicy nadal nie mają pewności, co dalej. Nie dotyczy to Roberta Torenca, który został właśnie pełnomocnikiem szefa KAS do spraw wschodniej granicy UE. ■

eprasa.pl 1cd478a4a0

MEDIA NARODOWE TO REZERWAT

Będzie bunt przeciwko mieszaniu prawdy z kłamstwem

Rozmawia Robert Walenciak

JACEK ŻAKOWSKI

Czy czwarta władza jest mocą sprawczą w dzisiejszych czasach?

– Tak, tylko że ta czwarta władza to kto inny niż do tej pory.

Już nie dziennikarze?

– Nie w takim stopniu. Zmienił się miks. Obok tradycyjnych, które dobrze znamy, coraz ważniejsze są nowe media.

Społecznościowe, to, co w internecie.

– One częściowo mają charakter czegoś, co można porównać do plotki w dawnym systemie medialnym. To też była jakaś rola, ale nigdy nie uważaliśmy, że jest czwartą władzą, traktowaliśmy ją jako część społeczeństwa. A teraz to jest część czwartej władzy.

Zmieniło się.

– Wszystkie władze się rozproszyły. Władza sądownicza – dziś to również arbitraże, trybunały międzynarodowe. Władza ustawodawcza – to także konwencje międzynarodowe, Unia Europejska, Światowa Organizacja Handlu… Władza wykonawcza – dużą jej część przejęły samorządy, swoje bierze trzeci sektor. A my wciąż myślimy w kategoriach poprzedniej rzeczywistości – jak generałowie, którzy wygrywają poprzednie wojny. Dlatego jesteśmy bezradni.

DLACZEGO WYBACZAMY KŁAMCOM?

Trudno nie być bezradnym, gdy kłamstwo staje się równe prawdzie. I nie ma wstydu, gdy się kłamie. Pokazała to kampania Trumpa, pokazał Brexit. I nawet dorobiono do tego nazwę – żyjemy w epoce postprawdy.

– To zmiana kulturowa, która moim zdaniem ma charakter trwały. Słowo traci wagę. Kiedy mówił Geremek, każde słowo, każdy przecinek miały znaczenie. Gdy mówi Trump, to może mieć znaczenie albo może nie mieć, a my zgadujemy. Gdy mówi Kaczyński – podobnie.

Nie ma znaczenia?

– Może ma, może nie ma. Bomba termobaryczna – proszę bardzo! Ogłosił, że wybuchła w Tu-154. I co? Nie będzie się upierał. Bardzo trudno coś na to poradzić. Nie powiem, że nie można, ale to wymaga kampanii kulturowej – wielkiej, wieloczynnikowej. Żeby wyplenić, a przynajmniej ograniczyć świadome kłamstwa i beztroskie paplanie polityków.

Którzy potem tym się szczycą, opowiadają, że wywiedli przeciwnika w pole, że blefowali.

– Jest nadzieja, że wytworzy się społeczny mechanizm obronny. Że skończą się czasy, kiedy ludzie nie przywiązują wagi do tego, czy politycy mówią prawdę, czy nie. Bo dziś nie przywiązują wagi, nie karzą za nieprawdę. Dlaczego? Ponieważ ci ludzie, którzy kłamią, jednocześnie reprezentują tak ważne interesy, że kłamstwo jest drobiazgiem.

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

– Można więc zapytać: a wcześniej nie kłamali? No, kłamali. Tylko w sposób bardziej zaawansowany intelektualnie. Na przykład duża część narracji neoliberalnej ewidentnie nie miała potwierdzenia naukowego ani w teorii, ani w doświadczeniu. Ale to bardzo piękna bajka była. Że jedni się bogacą, więc drugim też będzie rosło.

Opisywała ją teoria stawu, że gdy wody przybywa, wszystkie łódki idą do góry.

– Oczywiście jest w tym część prawdy i część nieprawdy, jak w większości narracji propagandowych. Bezdomny w Szwajcarii ma jednak lepiej niż w Rosji. Najbiedniejsi pewnie więc skorzystali. Ale średniacy stracili. I do najbogatszych, i do najbiedniejszych. Klasa średnia musiała za tę ideologię, którą popierała, zapłacić, a nikt jej tego nie mówił. Dlatego czuje się okłamana. I słusznie. Wydaje mi się więc, że będzie bunt ludzi przeciwko mieszaniu prawdy z kłamstwem. Tylko to musi przejść przez ból. Dorosłym ludziom rozum wchodzi nie przez głowę, ale przez dupę, po prostu.

KTO DZIENNIKARZEM, A KTO PR-OWCEM?

W systemie idealnym to media pilnują, by politycy mówili prawdę, dziennikarze ich z tego rozliczają. Dlaczego więc my tu, w Polsce, takie rzeczy sobie odpuściliśmy?

– Coraz mniej lubię słowo dziennikarze. Niedawno w komentarzu, który napisałem do „Gazety Wyborczej", kolega redaktor zamienił mi – przypuszczam, że w dobrej wierze – słowo Karnowski na słowo publicysta. Otóż ja nie uważam, żeby Karnowski był publicystą, czyli dziennikarzem. Karnowski jest zdolnym PR-owcem i przedsiębiorcą medialnym. Robi bardzo dobry PR-owski tygodnik. Mógłby go robić dla linii lotniczych, robi dla partii politycznej. PR jest bardzo podobny do dziennikarstwa, ale ma inny cel.

I Karnowscy, i inni dziennikarze na te słowa odpowiadają w bardzo prosty sposób: wy mówicie na nas „PR-owcy PiS", my na was „PR-owcy Platformy". Być może my pracujemy dla PiS, ale wy pracujecie dla PO. I tak naprawdę się nie różnimy.

– Gdyby tak powiedzieć o mnie kolegom z Platformy, bardzo by się zdziwili, bo uważają, że przeze mnie rządzi PiS. Kilka dni przed wyborami zamieściłem w Wirtualnej tekst pod tytułem „Odpowiedzią jest Zandberg". Do mnie więc zarzut służenia PO nie pasuje. Zresztą mam więcej „grzechów". Kiedy decydowały się losy wyborów prezydenckich, brutalnie skrytykowałem Bronka Komorowskiego za idiotyczny pomysł referendum. Napisałem, że wymyślił głupotę, bo uważałem, że prawda jest ważniejsza. Chciałbym zobaczyć okładkę „wSieci", gdzie piszą: „Kaczyński wymyślił głupotę".

Nie sądzę, by taką okładkę kiedykolwiek pan zobaczył.

eprasa.pl 1cd478a4a0

– Oczywiście są w „ludzie antypisowskim" koledzy, którzy moim zdaniem nie trzymają standardów. I często z nimi polemizuję. Ale wydaje mi się, że po tej stronie łatwiej znaleźć ludzi niezależnych. Bo w prawicowych mediach – bardzo trudno. Tam nie widać dziennikarzy. Dziennikarz to człowiek, który ma wiedzę o rzeczywistości, ma poglądy i wyraża je w interesie odbiorców. A oni?

To, co robią, to propaganda?

– Propaganda służy idei. A oni robią czysty PR dla korporacji, która jest partią polityczną. I co? Mają całą władzę na wyciągnięcie ręki. A „wSieci" sprzedaje 60 tys., czyli dwa razy mniej niż „Polityka", która nie ma żadnego dostępu. Jaka to skala porażki!

Może dla nich ważniejsza jest liczba reklam w numerze niż liczba kupujących? Oni to mówią: „Wyborcza" brała kasę za reklamy, dlaczego więc my teraz nie możemy brać?

– Chyba pierwszą sprawą, którą zajęło się Towarzystwo Dziennikarskie, było właśnie zlecanie reklam przez firmy i instytucje publiczne. Zaapelowaliśmy do ówczesnego ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego, żeby była transparentność zlecania reklam i ogłoszeń przez wszystkie instytucje publiczne.

Jest ich masa – ministerstwa, agencje, spółki skarbu państwa, samorządy…

– Myśmy pierwsi to zauważyli. SDP nie zainteresowało się tą kwestią. A teraz milczy o tym całkowicie. Nie mieliśmy wpływu na władzę. Ale zwracaliśmy uwagę. Mieliśmy w tej sprawie spotkanie ze Zdrojewskim. To pokazuje różnicę. Po naszej stronie jest intencja budowania dobrego państwa i dobrego społeczeństwa, a nie tylko naszego państwa i naszego społeczeństwa. Bo co oznaczała wtedy ta inicjatywa – że to powinno być transparentne. Co za tym idzie, uczciwe i sprawiedliwe. A nie kto bliżej cyca. A dziś jest tylko: kto bliżej cyca! I o to mam do prawicy pretensje. Oni z jednej strony używają różnych patriotycznych sloganów, a z drugiej – doją, jak mogą. Bez zahamowań. W ogóle istota pisowskiej zmiany polega na ekstremalizacji wad III RP. Oni nie wprowadzili niczego nowego, tylko radykalnie pogarszają to, co było słabe.

> Dziś jest tylko: kto bliżej cyca! Prawica z jednej strony używa patriotycznych sloganów, a z drugiej doi bez zahamowań.

CZAS PATRIOTÓW

Tak jak z reklamami dla zaprzyjaźnionej prasy.

– Były układy, a teraz jest katastrofa.

Patriotom się należy.

– Tamta strona ma poczucie, że dopiero teraz Polska została wyzwolona. Może nie wszyscy, ale część z nich w to wierzy. Ich rok 1989 jest dopiero teraz. Ich rok 1980 to katastrofa smoleńska, a rok 1989 był w 2015. Po latach walki. Uważają więc, że to jest usprawiedliwienie, że cel uświęca środki.

Że teraz, k… my?

– Pamiętam lęk w 1989 r. takich ludzi jak Mazowiecki, Kuroń, Geremek, żeby tak się nie stało. To był jeden z przedmiotów sporów z Wałęsą. Jego słynna siekierka. Kiedy w 1992 r. zostałem prezesem Interpressu, powiedziałem na pierwszym zebraniu z zespołem, że tu żadnej siekierki nie będzie. Był przy tym jeden z ministrów od Wałęsy. I gdy wyszliśmy, on do mnie: Nie możesz tak atakować prezydenta, jesteś przecież funkcjonariuszem państwowym! Odpowiedziałem: No właśnie, jestem funkcjonariuszem państwowym, a nie dworskim. To jest różnica. To był etos Mazowieckiego, etos Geremka, że służymy państwu, a nie jakiejś naszej grupie. Zapłaciliśmy za to, bo nas potem wyrżnęli.

Jest jeszcze jeden argument: przez lata byli sekowani, biedowali, nigdzie ich nie wpuszczano, więc nadeszła pora…

– Krzywda jest immanentną tożsamościowo cechą tej formacji. Oni zawsze będą żyli w tym poczuciu. Wzięli większość mediów, ale wciąż powtarzają, że media są przeciw nim. Przejadą cię samochodem na pasach i będą się czuli skrzywdzeni, bo im pobrudziłeś opony. To jest głębokie. Oni naprawdę czują tę swoją krzywdę. Współczuję, ale nie usprawiedliwiam.

I noszą te krzywdy przy sercu.

– Ja może kilka razy w życiu wymieniłem w tekście jakiegoś prawicowego autora. A codziennie rano, gdy uruchamiam komputer, włącza mi się alert, że znów coś o mnie napisali. Mamy kompletnie inne widzenie rzeczywistości. Oni nie zmagają się z problemami, oni się zmagają z osobami. No i co? Czy jakby Karnowski mnie któregoś dnia ukrzyżował, przebił trzema włóczniami, a potem kazał włóczyć moje truchło po bruku, to jego życie byłoby od tego lepsze? Jemu chyba tak się zdaje.

ZBUDUJEMY MEDIA PUBLICZNE

Ważniejszą chyba sprawą, jeśli chodzi o polskie dziennikarstwo, jest upadek mediów publicznych. Powinny przyciągać najlepszych i być miejscem dla wszystkich. A jest ponuro.

eprasa.pl 1cd478a4a0

– Uważam, że żaden system medialny późnej demokracji nie może funkcjonować prawidłowo, jeżeli nie ma silnych mediów publicznych. Musi być jakiś punkt odniesienia! Gdy zaczynaliśmy w wolnej Polsce, tym punktem odniesienia były wysokiej jakości media zachodnie: „The New York Times", „Der Spiegel", „The Economist". Chcieliśmy być tacy jak oni. Jesteśmy coraz dalej od tych wzorców.

W polskich warunkach tym punktem odniesienia powinny być media publiczne?

– Z rynkiem medialnym jest trochę jak z zegarkiem. Musi być ta oś pośrodku, wokół której wszyscy krążą. Jedni bliżej, drudzy dalej. Na końcu wskazówek są tabloidy najgorszego rodzaju. I wiadomo, kto jest jak daleko od jądra pokazującego sensy. Jeżeli tego jądra nie ma, to nic nie trzyma wskazówek, wszystko jest rozsypane i traci sens. Jak nasze debaty. W efekcie dziś najlepsze polskie media są jakościowo zbliżone do ambitniejszych tabloidów zachodnich.

Tam zaszły, szukając czytelnika. Zapominając, że odbiorcę można sobie wychować.

– Oczywiście! Czytelnicy oczekują czegoś lepszego. To nie przypadek, że wielu moich znajomych i ja sam wiedzę o świecie, w tym o Polsce, w dużym stopniu czerpiemy z zagranicznych mediów.

A z mediów publicznych?

– (Śmiech) Włączam może raz w miesiącu, żeby porównać. Tego, co jest, nie da się uratować. W ogóle kiedy rozmawiam z fachowcami z różnych dziedzin, słyszę coraz częściej: trzeba będzie budować od początku. To nie znaczy, że np. trzeba wysłać 100 tys. żołnierzy w kosmos i tworzyć armię od nowa. Ale po PiS trzeba będzie na nowo ustanowić reguły i podzielić role.

PiS nic nowego nie wprowadziło, tylko radykalnie pogorszyło to, co było słabe.

Czy media publiczne da się odbudować?

– Zbudować! Bo nigdy ich nie zbudowaliśmy. To były media państwowe, z kiepskim finansowaniem, z niejasną misją i z fatalną kulturą korporacyjną. A jak tę budowę przeprowadzić? Jest pakt dla mediów publicznych i projekt ustawy o mediach publicznych. Mamy konsensus wszystkich partii opozycyjnych. Obywatelski projekt mediów publicznych swego czasu zyskał poparcie i prezydenta Lecha Kaczyńskiego, i premiera Donalda Tuska. Czy oni wspólnie coś innego poparli? Myślę, że jeżeli społeczeństwo złoży projekt, w którym uwolni polityków od niepotrzebnych im napięć, wyzwoli ich od kontrolowania mediów, to oni to kupią. Bo dostaną gwarancję, że tych mediów nie będzie miał przeciwnik.

Ładnie to brzmi. Rzeczywistość jest inna.

– Owszem, dzisiejsze media narodowe to będzie rezerwat. Nie do uratowania. Ale trzeba będzie pomyśleć, co się stanie z setkami młodych ludzi, którzy teraz dostają tam pracę. To nie zawsze są źli ludzie. Ktoś, kto będzie próbował budować media publiczne w miejsce mediów narodowych, będzie musiał bardzo mądrze postępować, żeby nie tracić talentów, a jedno-

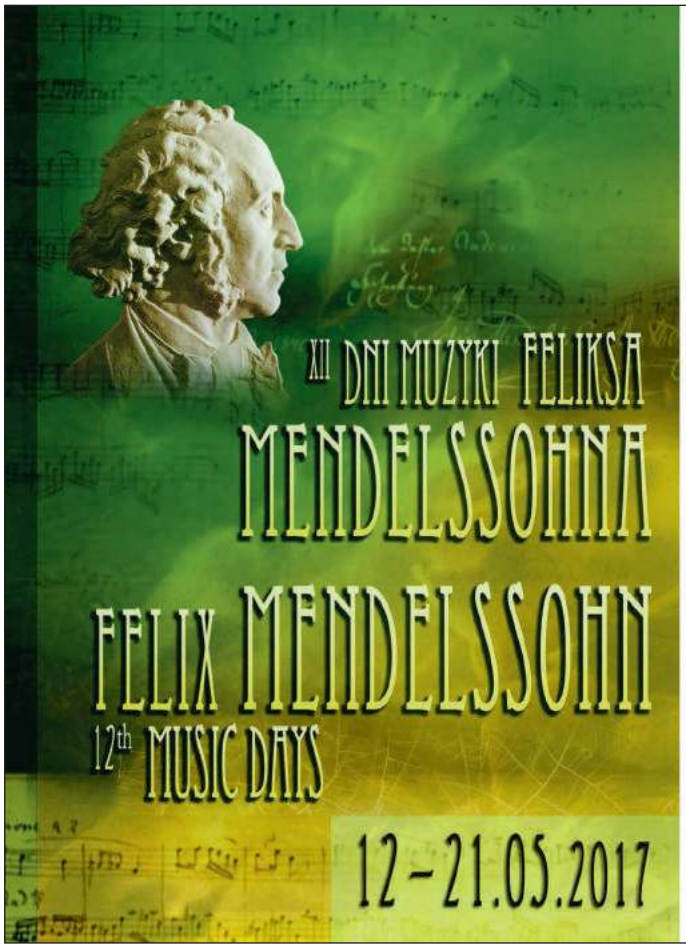

FUNDACJA JUDAICA – CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ

Współorganizacja:

Urząd Miasta Krakowa

krakow CITY OF LITERATURE UNESCO

WYDZIAŁ KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Partnerzy:

Instituto Cervantes Cracovia

yehudi menuhin forum Bern

Amt für Internationale Beziehungen der Stadt Nürnberg

Andrews University

ROBERT BOSCH STIFTUNG

KRAKÓW dominikanie.pl

fundacja pro bono

AMERICAN ASSOCIATION FOR POLISH JEWISH STUDIES

TULSA COMMUNITY FOUNDATION

PIANO CENTRUM GAZDOWICZ. 1975

KÄRCHER

WODOCIĄGI Krakowskie

KLER

Wenecja

Patroni medialni:

DZIENNIK POLSKI

TVP3 KRAKÓW

welcome to Cracow & Małopolska

Przegląd

THE WARSAW VOICE

artpost.pl dwumiesięcznik

Kazimierz.com

miasteczko PISMO KULTURALNE

Współpraca redakcyjna: RMF Classic

Fundacja Judaica – Centrum Kultury Żydowskiej,
ul. Meiselsa 17, Kraków, tel 012 430 64 49, info1@judaica.pl, www.judaica.pl

eprasa.pl 1cd478a4a0

cześnie nie akceptować nieprawości. To nie może być metoda Kurskiego – wypalenia do gołej ziemi.

Nie ma demokracji bez mediów, bez debaty publicznej.

– I to jest chyba najważniejsze. Ale zwróciłbym uwagę na procesy zachodzące w mediach społecznościowych, np. na Facebooku. Tam dokonuje się selekcja. Te 5% ludzi, którzy chcą mieć poważne media – mniej więcej tyle ich jest i liczniejsi nie będą – spontanicznie komponuje swoje kontenty. Uruchomiony został mechanizm, który w tym historycznym procesie ma też dobrą stronę.

ŻUBR SIĘ BUDZI

Ale czy my dożyjemy tych dobrych czasów, czy oni nas wcześniej nie zaduszą? W Polsce, inaczej niż w Szwecji czy w Holandii, nie lubimy czytać.

– A jest co czytać? Ja uważam, że dużą część odpowiedzialności za niski poziom czytelnictwa prasy ponosi prasa.

?

– Mamy dwa grzechy. Jeden to nadęcie i brak starania, aby forma była strawna dla czytelnika. Aby język giętki… A jeżeli publiczność nie chce kupować gniotów, to wtedy goła baba! Zamiast wysiłku. Gdy ktoś pisze w gazecie, to chce, żeby przede wszystkim podobało się szefom i kolegom z gazety, może jeszcze mamie i żonie. Poczucie odpowiedzialności wobec czytelnika jest słabe.

Poczucie więzi z nim…

– Podobnie jest w polskich korporacjach, firmach, biurach. Głównym przedmiotem troski większości Polaków w pracy jest to, czy szef będzie zadowolony. A petent, pacjent, student, klient, nawet wyborca w przypadku szeregowych polityków – to przykra konieczność.

I jak tu się dziwić ludziom PiS, że zgadują, co myśli prezes!

– Nie tak dawno robiłem rozmowę z dr. Maciejem Bartkowskim. Jest ekspertem w jednym z amerykańskich think tanków i mówi, że np. sędziowie, którzy byli w Trybunale Konstytucyjnym, powinni stworzyć takie ciało, które wydawałoby orzeczenia w tych samych sprawach co trybunał pisowski.

Żeby były gotowe, gdy restytuuje się TK?

– Raczej żeby trybunał pisowski wiedział, że jego pracę ocenia ktoś profesjonalny, a nie tylko prezes.

Budujemy alternatywne państwo?

– Wracamy do zasady *checks and balances*. Społeczeństwo musi realnie kontrolować władzę. Na przykład sądowniczą, wywierając presję, żeby robiła mniej zła. Trzeba też bardzo poważnie pomyśleć, jak zbudować państwo wolne od tych wad, które doprowadziły do rządów PiS.

Najlepsze polskie media są jakościowo zbliżone do bardziej ambitnych tabloidów zachodnich.

Myślę, że to najtrudniejsze. Zwłaszcza że Platforma nie rozliczyła się ze swoich grzechów. A Polacy nie chcą, żeby było tak jak wcześniej.

– Boję się, że rosnąca większość woli cokolwiek niż PiS. A jest problemem brak skłonności po naszej stronie – i wśród polityków, i w mediach – do refleksji, do nowych projektów. Z drugiej strony maleje liczba osób skłonnych wierzyć w to, co mówi Kaczyński. Przyjazd Tuska pokazał, że perswazyjność PiS jest już bardzo ograniczona.

Wygląda, jakby wszystko było na szali, i publiczność patrzy, w którą stronę się przechyli…

– Ta rewolucja, którą robi Kaczyński, spóźniła się o epokę. To są ludzie, którzy najpierw spóźnili się na rewolucję, a potem spóźnili się ze swoją rewolucją. Jarosław Marek Rymkiewicz, bliski PiS poeta, twierdził, że Polska jest jak żubr i trzeba go ugryźć w tyłek. Kaczyński ugryzł w tyłek żubra polskiej demokracji. I ten żubr się budzi. Jak to żubr, czyli dzika krowa, odwraca się powoli, rusza się niechętnie, chwyta myśl raczej nie za szybko. Patrzy zdziwiony, co to za dziwadło go gryzie. Chyży ten żubr nie jest. Ale żubr to żubr. Kto ogląda reklamy, ten wie, że lepiej przyhamować. Kaczyński wziął media publiczne, one teraz gniją, wziął Trybunał, wziął spółki, wziął właściwie wszystko i tym wszystkim beztrosko bawi się w rewolucję. Ale żubr już się rusza. Ile ważnych rzeczy powstało przez półtora roku! Ile nowych inicjatyw, środowisk, ile działających grup. Od KOD po czarny protest, ruch w obronie szkoły i ASZdziennik. Postawy w różnych sferach szlachetnieją, nagle sędziowie zaczęli inaczej się zachowywać… Kaczyński jeszcze nas trochę pogryzie, bo jeszcze nie jesteśmy na nogach. Ale jak żubr wreszcie wstanie, to rzuci się do ucieczki.

Robert Walenciak

Odszedł

Zdzisław Pietrasik

dziennikarz, który czynił polską kulturę barwniejszą, a mediom pokazywał, że ważny jest i czyn, i styl

Żegnam mądrego i serdecznego człowieka

Jerzy Domański

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PIOTR KAMIONKA/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

O CO GRA FRANCJA?

Wybory nie zjednoczą Francji rozbitej przez neoliberalizm na dwa wrogie społeczeństwa

Jarosław Dobrzański

Postawmy sobie dwa podstawowe pytania. Po pierwsze, co jest do wygrania w wyborach francuskich? Po drugie, czy wybory we Francji są w pełni demokratyczne, a więc czy o ich wyniku rozstrzygają niezależnie i samodzielnie wyborcy, czy może przesądza zmasowany nacisk sondaży, rankingów, ustawianych medialnych walk wizerunkowych i perswazji telewizji, jakim poddany zostaje odosobniony, bezbronny wyborca?

KANDYDAT Z NICOŚCI

Tradycyjne media głównego nurtu już wybrały. Dla nich zwycięzcą od początku był Emmanuel Macron, bezustannie promowany i narzucany jako właściwy wybór. Co to znaczy? W czyim imieniu mówią media? Kim jest ich kandydat?

Macron to człowiek znikąd, produkt spreparowany na polityczne zamówienie. Mentalnie, wizerunkowo i funkcjonalnie – klon Justina Trudeau, przedstawiciel nowego liberalnego populizmu, za którego kandydaturą stoją kręgi oligarchiczne nowego kapitalizmu zglobalizowanej finansjery. Macron wywodzi się z szeregów korporacyjnej armii tej oligarchii; przez lata był jej karnym żołnierzem. Został wytypowany przez profesjonalnych poszukiwaczy sformatowanych kandydatów – produkt marketingu politycznego – i wrzucony na rynek polityczny. Odpowiednio opakowany, stał się pakietem produktowym, opracowanym i przetestowanym w „grupach fokusowych", a następnie, zgodnie z regułami dopasowywania towaru i jego wizerunku do preferencyjnego „targetu" konsumenckiego, czyli najaktywniejszego i najbardziej podatnego na sugestie marketingowe elektoratu, wystawiony na sprzedaż na rynku.

Zwycięstwo Macrona, którego powołano do politycznego istnienia z nicości (jakże się przydał w obliczu kompromitacji głównego kandydata porządku „konserwatywno-liberalnego" Fillona) w celu przegrupowania elity politycznej reprezentującej panującą oligarchię (dokładnie tak jak w Polsce, wobec kompromitacji PO, powołano do życia Nowoczesną), oznacza dla Francji kontynuację polityki uzależnienia globalistycznego, a więc postępującą prekaryzację coraz szerszych warstw społeczeństwa, pogłębianie dezintegracji społecznej wraz z wypychaniem na margines klasy średniej, kontynuację znoszenia granic przepływu ludzi oraz, w konsekwencji, rozrost zrewoltowanej, pozostającej na obrzeżach obumierającego społeczeństwa „podklasy", składającej się z potomków gastarbeiterów, nowej fali imigrantów i zubożałej ludności europejskiej. Jedyną korzyścią jego zwycięstwa byłoby stałe powiększanie się potęgi wyobcowanej społecznie ukrytej elity finansowej, której powodzenie i losy są związane z losem międzynarodowego systemu gospodarczego, a nie z codziennym życiem zwykłych Francuzów i państwa francuskiego. To efekt krótkoterminowy. W dalszej perspektywie jednak na horyzoncie wyraźnie rysuje się widmo upadku kultury i porządku politycznego republiki. Z pewnością nadal zwiększałoby się natężenie konfliktu społecznego.

Istniejąca konstytucja oraz władza skupiona w rękach dominujących elit, w szczególności w Radzie Konstytucyjnej, pozwoliłyby na odebranie jej owoców ewentualnego zwycięstwa bez sięgania po środki pozakonstytucyjne. W ostateczności pozostaje odwołanie się do demokracji ulicznej, co Francuzi testowali mnóstwo razy i co wystarczy do powtórzenia wyborów. Szybkie wyjście Francji z Unii, osłabienie integracji i odrzucenie euro pozostaną zatem jedynie w sferze nadziei niektórych eurosceptycznych polityków w Polsce, nie materializując się w perspektywie francuskiej polityki.

Emmanuel Macron to człowiek znikąd, produkt spreparowany na polityczne zamówienie.

PORAŻKA ROZBITEJ LEWICY

Scenariusza powyborczego dla wygranej Marine Le Pen nie ma potrzeby rozpisywać w szczegółach, gdyż kandydatka ta, nawet gdyby wygrała wybory, nie zostanie dopuszczona do sprawowania władzy. Nie trzeba będzie przy tym sięgać po metody drastyczne czy pozaprawne.

W telewizyjnym konkursie kandydatów – okrojonym do pięciu uczestników (eliminując przed rozgrywką sześciu spośród 11 kandydatów, TV 1 udowodniła Francuzom, że w wyborach prezydenta republiki komercyjny prywatny nadawca ma większe znaczenie niż ordynacja wyborcza) – najlepiej zaprezentował się Jean-Luc Mélenchon, lewicowy kandydat zbliżony do Partii Komunistycznej. Jego wypowiedzi cechowały się racjonalizmem, porządną argumentacją i pewnym polotem, jakiego najbardziej brakowało Macronowi, który za to świetnie opanował sztukę bełko-

eprasa.pl 1cd478a4a0

Ani Le Pen, ani Macron, jesteśmy warci więcej – uważa wielu Francuzów.

tu postpolitycznego. Jej celem jest mówić dużo, tak by niczego nie powiedzieć. Czas, gdy kandydaci Partii Komunistycznej mieli duże wpływy, należy do odległej przeszłości. Rozbicie lewicy przesądziło o jej kolejnej porażce. Zjednoczona lewica miałaby szansę w II turze przeciwstawić nacjonalizmowi rozsądny program. Stanie się inaczej i o wyniku wyborów rozstrzygnie siła lęku. Który okaże się większy: lęk przed globalizacją czy lęk przed ksenofobią? Ponieważ jest to fałszywa alternatywa, wybory – niezależnie od wyniku – nie zjednoczą Francji rozbitej przez neoliberalizm na dwa wrogie społeczeństwa.

NIEWIARYGODNY FILLON, ŚMIESZNY HAMON

Kandydat mainstreamu liberalnego François Fillon, cokolwiek by powiedział, był w oczach sporej części obywateli zwyczajnie niewiarygodny. Wielu Francuzów widziało w nim pospolitego hipokrytę politycznego, otoczonego nepotami odświętnego katolika, kłamcę i złodzieja. Ten typ neoliberalnego notabla już nieraz zaszedł za skórę Europejczykom i obmierzł im. Pomimo masowego medialnego i szkolnego ogłupiania, jakiemu od lat byli poddawani, wreszcie nauczyli się go rozpoznawać. Wielu obywateli zdołało się zaszczepić na ten typ politycznej grypy. Jego kolejna – oby ostateczna – kompromitacja jest jedną z nielicznych korzyści tych wyborów.

Ta właśnie okoliczność – i wynikająca z niej konieczność przemalowania szyldów, by zmylić opinię publiczną – przesądziła o powołaniu do istnienia takiego niebytu politycznego jak Macron. Najlepiej do inscenizacji teatrzyku wyborczego przygotowała się więc panująca oligarchia. Dysponowała bowiem aż trzema kandydatami (Fillon, Hamon, Macron), którzy łącznie zagospodarowywali co najmniej połowę elektoratu, a dwóch miało realne szanse na zwycięstwo.

Kandydat socjalistów, Benoît Hamon, choć trudno w to uwierzyć, był postacią jeszcze bardziej komiczną niż cieszący się aprobatą 4% społeczeństwa obecnie urzędujący prezydent. Zyskał przydomek „Smerf", co świadczy o tym, z jaką powagą był postrzegany przez wyborców. Karierę zaczynał od „odnowienia" Partii Socjalistycznej przez dodanie do nazwy reprezentowanej przezeń frakcji populistycznego przymiotnika nowa (alternatywna Nowa Lewica, Nowa Partia Socjalistyczna), epatując rzekomą nowoczesnością. Jako urzędujący minister (w rządzie Jeana-Marca Ayraulta) dał się poznać jako propagator rozwiązań legislacyjnych wspierających „wolną konkurencję", co wpływowe pismo „L'Opinion" uznało za dowód „nawracania się na liberalizm".

Wiemy już dobrze z teorii i doświadczenia, że w burżuazyjnym ustroju konkurencji politycznej wybory nie rozstrzygają o sprawach najważniejszych, lecz co najwyżej o drugorzędnych, o ile w ogóle cokolwiek zmieniają. W tym sensie ich wynik jest w zasadzie bez znaczenia. W konflikcie społeczeństwa z elitami przewaga – zasoby polityczne, media, siła zorganizowanych grup nacisku – jest po stronie elit. Szanse na odebranie władzy tym siłom, które dzierżą ją realnie niezależnie od szyldów partyjnych, są nikłe. Kandydaci spoza systemu wygrywają wybory w wyjątkowych sytuacjach, gdy temperatura oburzenia społecznego zbliża się do poziomu buntu. Wbrew obiegowym sądom Macron, choć nie wystawiła go żadna z głównych partii, nie jest kandydatem antysystemowym. Jest kandydatem establishmentu, w trybie szczególnym wyłonionym bezpośrednio. Za najciekawsze w całej kampanii uważam pytanie o los jego kandydatury. Czy społeczeństwo francuskie, które – z historii i literatury oraz własnych obserwacji – znałem i szanowałem za wyjątkową zdolność do racjonalizacji sporu i postrzegania polityki w kategoriach idei, a więc za pewną zasadniczość, zostało już na tyle skutecznie zglajchszaltowane, wyprane z inteligencji, że ulegnie perswazji medialnej i wybierze – po raz pierwszy w historii V Republiki – wydmuszkę, produkt zaawansowanego marketingu politycznego, Emmanuela Macrona? Niewykluczone, że postawione przed fałszywą alternatywą, nie będzie miało wyboru.

Najlepiej zaprezentował się Jean-Luc Mélenchon, lewicowy kandydat zbliżony do Partii Komunistycznej.

Tekst został napisany przed zakończeniem wyborów.

Autor jest filozofem i historykiem idei. Pracował na uczelniach krajowych i w USA oraz jako menedżer w polskich i międzynarodowych spółkach kapitałowych

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

WIĘZIENIE, KTÓREGO NIE MA

W Guantanamo nadal przebywa 41 więźniów, większości nie postawiono zarzutów

Lech Miodek

Hedi Hammami, Tunezyjczyk, który spędził w Guantanamo osiem lat i wrócił do kraju w 2011 r., napisał w liście do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża: „Już dłużej nie mogę. Wolę wrócić do Guantanamo, niż być codziennie gnębiony przez policję. Jestem zdesperowany, w moim kraju nie mam żadnej przyszłości". Prosił o interwencję MCK u władz amerykańskich.

Więzienie, do którego chce znów trafić, znajduje się w bazie morskiej USA w zatoce Guantanamo, na południowym wschodzie Kuby. Baza ma powierzchnię 116 km kw., jej 28-kilometrową granicę wyznaczają dwa rzędy ogrodzenia o trzymetrowej wysokości, między którymi rozmieszczono miny przeciwpiechotne. Terenu strzegą *marines* z ośmiometrowych wież.

WZOROWA WSPÓŁPRACA

Do roku 1959 *marines* mogli swobodnie przekraczać granicę z Kubą. W samej bazie pracowało ok. 3 tys. Kubańczyków. Po zwycięstwie rewolucji zastąpili ich Jamajczycy i Filipińczycy. 350 Kubańczyków poprosiło o azyl, dwaj przeszli na emeryturę. Pozostałych 32 mieszka w kolorowych domkach w strefie specjalnej i pracuje w McDonaldzie. Co miesiąc kilku Kubańczyków, którym uda się przekroczyć granicę, zgłasza się z prośbą o azyl. Od zbudowania bazy w 1903 r. nie doszło do żadnego poważnego incydentu. Guantanamo jest nawet przykładem współpracy wojskowej z nieprzyjacielem. Co miesiąc od początku lat 90. odbywa się tu spotkanie komendanta bazy z szefem kubańskich sił pogranicza, a od siedmiu lat przeprowadzane są doroczne wspólne ćwiczenia mające przygotować obie strony do sytuacji nadzwyczajnych. Rozbrzmiewają wtedy hymny obu krajów, sprzedaje się kubańskie wyroby ludowe. Odeszły już w zapomnienie lata 60., kiedy Kuba wstrzymała bazie dostawy wody pitnej, a kubańscy żołnierze obrzucali kamieniami dachy domów, w których mieszkali Amerykanie, aby uniemożliwić lokatorom sen.

Mimo ponawianych od lat przez Hawanę żądań zwrotu terytorium bazy rząd amerykański wykluczył temat Guantanamo z rozmów o normalizacji stosunków, prowadzonych w latach 2014-2015. Niemniej jednak Kuba nie ustaje w upominaniu się o ten teren. W styczniu 2017 r. Waszyngton powtórzył, że zgodnie z umową zwrot wymaga obopólnej zgody.

KOMU WIĘŹNIA, KOMU?

W tym roku więzienie w bazie Guantanamo obchodzi 15-lecie. Za administracji George'a W. Busha, na początku 2002 r., trafiło do niego 779 więźniów, początkowo z Bliskiego Wschodu, a potem z Afryki Północnej, oskarżanych głównie o współpracę z Al-Kaidą. Wysyłając ich do Guantanamo, rząd amerykański sprawował nad nimi absolutną kontrolę poza terytorium państwowym USA i mógł dowolnie stosować wobec oskarżonych przepisy kodeksu cywilnego lub wojskowego. Barack Obama, obejmując prezydenturę w 2009 r., zastał w Guantanamo

Mimo wieloletnich protestów więzienie w Guantanamo funkcjonuje nadal i nic nie zapowiada jego zamknięcia.

eprasa.pl 1cd478a4a0

Wszystkie zdjęcia z Guantanamo są cenzurowane. To przedstawiające pogawędkę z więźniem dopuszczono do publikacji.

242 więźniów i obiecał likwidację tego więzienia, uważając, że jest ono plamą na wartościach amerykańskich. Siedem lat później, przed opuszczeniem Białego Domu, ponowił starania. Szef jego gabinetu, Denis McDonough, tłumaczył wówczas, że prezydent uważa za swój obowiązek zamknięcie więzienia przed objęciem urzędu przez następcę. Jeszcze w ostatnim orędziu o stanie państwa Obama zapewniał, że to ciągle jego cel, bo więzienie „jest drogie, zbędne i służy tylko za pretekst do rekrutacji naszych wrogów". Faktycznie Guantanamo jest drogie, jego utrzymanie kosztuje rocznie co najmniej 400 mln dol.

Obama nie powiedział jednak, jak zamierza je zamknąć. Kongres blokował każdą inicjatywę zmierzającą do likwidacji. Nie zgodził się na prezydencką propozycję przeniesienia najniebezpieczniejszych osadzonych do więzienia pod szczególnym nadzorem na terenie USA. Także Sąd Najwyższy odpowiedział Obamie negatywnie na propozycję przeniesienia nielicznych już więźniów z Guantanamo do USA i sądzenia ich przed sądami cywilnymi. Doszły do tego napięcia w relacjach między Pentagonem a Białym Domem w kwestiach prawnych (Departament Obrony wyznacza sędziów, prokuratorów i superwizora komisji w Guantanamo). W rezultacie Obama po ośmiu latach opuścił Biały Dom, a więzienie nie zostało zamknięte.

Portal WikiLeaks ujawnił, że gabinet Obamy negocjował sprawę przesiedlenia więźniów z wieloma krajami. Hiszpanii za każdego z pięciu więźniów oskarżonych o terroryzm, do których przyjęcia się zobowiązała, proponowano 85 tys. euro. Za mniej niebezpiecznych oferowano niższe stawki. Pod koniec 2014 r. prezydent Urugwaju José Mujica (chyba jedyny prezydent na świecie, który 95% pensji przeznaczył na pomoc biednym) podjął decyzję o przyjęciu sześciu więźniów z Guantanamo, uznanych przez USA za osoby „o niskim zagrożeniu". Byli to czterej Syryjczycy, Palestyńczyk i Tunezyjczyk. Już po paru dniach pobytu można było ich spotkać spacerujących po Montevideo. Otrzymali 30 ofert pracy. Szybko zdobyli sympatię otoczenia. Ludzie obdarowywali ich odzieżą i prezentami. Dwóch ożeniło się z Urugwajkami, które przeszły na islam. Nazywano ich „Szóstką z Guantanamo". Nowy prezydent, Tabaré Vázquez, zapowiedział jednak, że więcej więźniów Urugwaj nie przyjmie.

USA proponowały Hiszpanii 85 tys. euro za przyjęcie każdego z pięciu więźniów oskarżonych o terroryzm.

Jedną z największych akcji przesiedleńczych było wysłanie w 2009 r. na jedną z wysp Palau na północnym Pacyfiku grupy Ujgurów, pochodzących z autonomicznego regionu Sinkiang w zachodnich Chinach. Ówczesny prezydent Palau Johnson Toribiong uznał to za „gest humanitarny, który pozwoli im na powrót do normalnego życia". Humanitaryzm opłacał się Palau, bo Waszyngton zobowiązał się przekazać 200 mln dol. na rozwój tego dawnego terytorium Stanów Zjednoczonych, mającego 21 tys. mieszkańców. Byli to ostatni Ujgurzy, jacy opuścili Guantanamo. W 2006 r. pięciu Ujgurów wysłano do Albanii. Rząd amerykański nie odesłał ich do Chin, podejrzewając, że mogą się stać ofiarami prześladowań ze strony władz.

HAMBURGER ZA ZEZNANIA

Po ogłoszeniu decyzji o normalizacji stosunków amerykańsko-kubańskich zdaniem rzeczniczki bazy Kelly Wirfel nic w kwestii Guantanamo się nie zmieniło. W bazie nadal przebywa ok. 6 tys. osób. Są to stacjonujące jednostki amerykańskiej straży wybrzeża, dowództwa i personel jednostek marynarki USA, wojskowa obsługa więzienna i więźniowie. Na terenie bazy są też dwa lotniska. Strażnicy pełnią służbę dziewięć miesięcy. W bazie można się poczuć jak w powieści Orwella. Uważnie śledzony jest każdy ruch nie tylko więźniów, ale także dziennikarzy, którzy mogą zwiedzać wyłącznie określone obiekty i zawsze pod eskortą. Większości osób nie można fotografować. Obóz nr 7, w którym przebywają najniebezpieczniejsi więźniowie, oficjalnie nie istnieje. Tym bardziej nie istnieje tajne więzienie CIA. W rzeczywistości w pobliżu biur administracji CIA zbudowała osiem małych bungalo-

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

wów, nazywanych przez osadzonych Marriottami, ze względu na wyposażenie w kuchnię, prysznic i telewizor. Mieszkali w nich więźniowie zakwalifikowani do wdrożonego przez CIA w latach 2003-2006 planu zdobycia podwójnych agentów wśród najniebezpieczniejszych bojowników Al-Kaidy. Po uwolnieniu mieli oni przenikać do komórek terrorystycznych w krajach swojego pochodzenia i pracować na rzecz CIA. W niektórych przypadkach rekrutacja się udała.

Działający od 35 lat lokal McDonalda także wpisuje się w historię bazy. Śledczy proponują więzionym hamburgery w zamian za potwierdzenie prawdziwości interesujących ich danych. Pisze o tym w dzienniku z niewoli Mauretańczyk Mohamedou Ould Slahi, przetrzymywany od 2002 r. i ostatecznie zwolniony. Slahi napisał „Dziennik z Guantanamo" w 2005 r. Opisał w nim m.in. nadużycia seksualne i fizyczne, popełniane przez obsługę więzienia. Niektórych więźniów np. przesłuchiwano 49 dni, po 20 godzin dziennie, zmuszając ich do rozbierania się w zimnym pomieszczeniu, zachowywania się jak pies i słuchania bez przerwy bardzo głośnej muzyki. Laura Pitter z Human Rights Watch, która obserwowała sesje komisji wojskowej sądzącej zatrzymanych w Guantanamo, utrzymuje, że „Stany Zjednoczone w kwestii praw człowieka dają innym krajom straszny przykład".

TRUMPOWI SIĘ PODOBA

Dzisiaj w Guantanamo przebywa 41 więźniów, większości nie postawiono oskarżenia. Czy coś się zmieni w najbliższych latach? Sądząc po wypowiedziach i działaniach prezydenta Trumpa, to mało prawdopodobne. Jeszcze w czasie kampanii pisał on na Twitterze: „Nie powinniśmy więcej zwalniać z Guantanamo. Są to osoby bardzo niebezpieczne i nie wolno im pozwolić na powrót na pole walki". Stawiał problem w kategoriach godności narodowej. Uważał, że więzienie powinno być otwarte, a nawet powinni tam trafiać obywatele Stanów Zjednoczonych. Nie przeszkadzało mu też stosowanie tortur wobec podejrzanych o terroryzm.

Retoryka Trumpa, żywiąca się groźbami ze strony dżihadystów, oznacza powrót do klimatu strachu po ataku na WTC. W czerwcu 2016 r., odnosząc się do stosowanej wobec podejrzanych techniki waterboardingu (symulowanego topienia), przyszły prezydent nie miał żadnych skrupułów, mówiąc: „Bardzo mi się to podoba. Nie uważam, że jest zbyt okrutna". Swoją wypowiedź o potrzebie walki z Państwem Islamskim uzupełnił powiedzeniem, że „w walce z ogniem należy użyć ognia".

Niektórych więźniów przesłuchiwano 49 dni, po 20 godzin dziennie.

Realnie więc w Guantanamo mogłoby się zmienić tyle, że cotygodniowe lotnicze dostawy warzyw i owoców z USA zostaną zastąpione częstszymi dostawami z Kuby (pozostałe towary i produkty są dostarczane statkami co trzy tygodnie). Miałoby to bezpośredni wpływ na różnorodność menu polecanego przez tamtejszy irlandzki pub i McDonalda. Mimo kubańskich starań o zwrot bazy o przyszłości Guantanamo będzie decydował Waszyngton.

Lech Miodek

Koledze
Januszowi Gołąbowi
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Żony Elżbiety
składa
Prezes Zarządu Fundacji WSPARCIE
oraz współpracownicy

Koledze
Januszowi Gołąbowi
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Żony
składa Jan Guz
– Przewodniczący Ogólnopolskiego
Porozumienia Związków Zawodowych
oraz
kierownictwo, organizacje członkowskie
i pracownicy konfederacji

Włodzimierz Galant

Gdy PiS coraz gwałtowniej dąży do wprowadzenia zmian w ustawie zasadniczej, warto sięgnąć do pewnego zapisu w konstytucji Królestwa Danii. Przedostatni, dziesiąty rozdział tego aktu prawnego, składający się z jednego tylko paragrafu, opisuje procedurę zmiany konstytucji lub wprowadzania do niej poprawek. Paragraf 88 konstytucji Królestwa Danii, obowiązującej w jej dzisiejszym kształcie od 1953 r., głosi: „Jeżeli Folketing (duński parlament, odpowiednik naszego Sejmu – przyp. red.) zaproponuje wprowadzenie do konstytucji zmian, a rząd taką inicjatywę podejmie, to należy rozpisać nowe wybory do Folketingu. Jeżeli wyłoniony w takich wyborach nowy parlament przyjmie w całości i w niezmienionej postaci projekt zmian w konstytucji zaproponowany przez poprzedni parlament, to w ciągu pół roku od jego ponownego przyjęcia projekt taki musi zostać poddany pod referendum, które go odrzuci lub zatwierdzi. Dokładne zasady przeprowadzania referendum określa prawo. Jeżeli projekt konstytucji uzyska poparcie większości uczestników referendum, w którym udział wzięło co najmniej 40% wszystkich uprawnionych, to z chwilą potwierdzenia przez króla prawidłowości przeprowadzenia referendum projekt taki staje się nową konstytucją".

Genialność tego zapisu, który ponad półtora wieku temu znalazł się w duńskiej konstytucji, polega na tym, że raz wprowadzony na zawsze zabezpiecza ustawę zasadniczą przed zepsuciem. Można ją tylko poprawiać.

Taki zapis dostosowany do naszych realiów stanowiłby doskonałą ochronę konstytucji przed zepsuciem czy wręcz obaleniem, jeśli na skutek jakiejś politycznej gorączki weszłaby do parlamentu bardzo silna grupa posłów chcących uszczęśliwić całe społeczeństwo. Jednocześnie nikt, kto nie ma nieczystych intencji majstrowania przy konstytucji, nie mógłby się sprzeciwić jego wprowadzeniu.

Gdyby poddać go pod głosowanie jako propozycję uzupełnienia odpowiedniego paragrafu polskiej konstytucji, zamiary PiS zostałyby sprawdzone już na etapie przedreferendalnej dyskusji. Jeżeli partia ta chciałaby grać uczciwie, nie ma powodu protestować przeciw roz-

eprasa.pl 1cd478a4a0

2 kwietnia w Krakowie z okazji 20. rocznicy uchwalenia Konstytucji RP czytano ustawę zasadniczą.

KONSTYTUCJA Z BEZPIECZNIKIEM

W Danii przed wprowadzeniem zmian do ustawy zasadniczej trzeba rozpisać nowe wybory

wiązaniu przyjętemu w Danii. Jeżeli natomiast zaprotestuje, pokaże czarno na białym, że chce swoje pomysły narzucać siłą, korzystając z chwilowej przewagi. Jest bowiem świadoma, że nie miałaby szansy na przeforsowanie swojego rozwiązania uczciwie, z poszanowaniem zasad demokracji i praworządności, czyli tak, jak przeprowadzono by podobną zmianę w Danii.

Dlatego każda siła polityczna, która prowadzi uczciwą grę i wierzy, że proponowane przez nią zmiany konstytucji są korzystne i mają służyć dobru obywateli, powinna bez wahań poprzeć duńskie rozwiązanie. Taki zapis nie utrudni bowiem wprowadzenia zmian pożądanych, korzystnych i cieszących się poparciem społecznym. Bez problemu uzyskają one akceptację zarówno kolejnego, wyłonionego w demokratycznych wyborach składu parlamentu, jak i wyborców w powszechnym referendum. A na dodatek nie będzie obawy, że gdy znów zapanuje polityczna gorączka lub kryzys, ktoś zacznie kombinować i przymierzać się do zmiany konstytucji w trakcie np. jednego nocnego głosowania.

Każdy poseł będzie zdawał sobie sprawę, że złego, głupiego i ideologicznie motywowanego pomysłu zmiany ustawy zasadniczej nie da się przeforsować z zaskoczenia. A to dlatego, że o proponowanych poprawkach będzie się publicznie dyskutowało do czasu – a zwłaszcza podczas – kolejnej kampanii wyborczej do parlamentu. Następnie zostaną one poddane obróbce w nowym parlamencie, który może je w całości lub częściowo odrzucić, a wtedy wszelkie propozycje zmian automatycznie przepadną. Można też sobie wyobrazić sytuację, w której nowo wybrany parlament akceptuje zmiany, ale nie uzyskują one niezbędnego poparcia społecznego w referendum. Wtedy także projekt upada. Jaki poseł i partia przy tak rozbudowanym torze przeszkód którzy zaryzykują zgłoszenie projektu poprawek niemających szans realizacji? Konieczność przedterminowego rozwiązania parlamentu to czynnik przywracający rozum i zniechęcający do proponowania głupich zmian.

Warto o tym mówić w sytuacji, gdy PiS, chcąc zrealizować doraźne cele, zwiększa tempo przymiarek do zmiany obecnej ustawy zasadniczej. Byłoby cudem, gdyby przy tej okazji udało się wprowadzić do polskiej konstytucji duński bezpiecznik. Ale może politycy uważający się za uczciwych – nie tylko z opozycji – spróbują ten pomysł urzeczywistnić? Jeżeli bowiem się nie uda, nastąpi koniec demokracji i państwa prawa w Polsce. Już teraz – jeszcze przed zamierzonym „poprawieniem" przez PiS konstytucji – nasz kraj szybko staje się chorym człowiekiem Europy. Jeszcze trochę i PiS, by utrzymać swój (nie)porządek, będzie musiało przeciwników politycznych masowo aresztować, a w końcu zacząć do nich strzelać. Czy Beata Szydło, Andrzej Duda i Jarosław Kaczyński nie zdają sobie sprawy z tego, że za kilka miesięcy mogą nie mieć innego wyjścia? I że majstrowanie przy konstytucji tę katastrofę przyśpiesza?

To, że prezydent Duda wykrzyczał 3 maja pomysł (zapewne jest to pomysł prezesa) zmiany konstytucji, oznacza, że PiS oszalało. Odpowiedź na pytanie, czy to już dobra zmiana, czy będzie jeszcze gorzej, jest więc oczywista: będzie znacznie gorzej, „najlepsze" jeszcze przed nami. I niech potem nikt z PiS nie mówi, że nie wiedział, do czego to wszystko prowadzi, że winni są jedynie Kaczyński, Macierewicz i Rydzyk. Nie, panie i panowie z PiS. Już teraz widać wyraźnie, co w Polsce i z Polską się dzieje. I to także wasza wina, gdyż nie macie odwagi powiedzieć dość.

Stare chińskie przysłowie mówi: „Jeżeli nie zmienicie kierunku, dojdziecie tam, dokąd zmierzacie". Jeżeli Polska definitywnie spisieje, na długie lata skończą się żarty. A Polacy będą mogli znów – jak za „komuny" – ubiegać się o uzyskanie azylu politycznego w krajach demokratycznych, takich jak Białoruś, Bułgaria, Rumunia i inne, nie tylko w Europie, ale i w Afryce lub Ameryce Południowej. Siła szaleństwa jest potężna, więc i jego skutki mogą być bardzo dotkliwe. Na szczęście jesteśmy w Unii Europejskiej i klasyczna dyktatura czarnych pułkowników nam nie grozi. Chociaż widać już w tej chwili, że wesoło nie będzie… ■

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

PÓŹNI PRZESIEDLEŃCY

Coraz więcej niemieckich emerytów spędza jesień życia w Europie Środkowo-Wschodniej

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Kiedy w programie telewizyjnym minister zdrowia Hermann Gröhe rozwodził się na temat reformy ustawy o pielęgniarstwie, niespełna tysiąc kilometrów dalej biznesmen Artur Frank przeciągał się na krześle. Tutaj, w węgierskiej wiosce Vörs, przyszłość niemieckiego pielęgniarstwa już dawno się zaczęła. Na biurku Franka piętrzą się listy od starszych Niemców bądź ich krewnych, mających nadzieję, że Frank do nich oddzwoni. 59-letni Niemiec prowadzi firmę SeniorPalace, która pomaga emerytom potrzebującym opieki znaleźć miejsca w domach starców w Europie Środkowo-Wschodniej.

– Ośrodki dla seniorów w Niemczech są coraz droższe, więc wiele osób ubiega się o miejsca na Węgrzech, Słowacji, w Polsce czy Czechach, które są o wiele tańsze i wcale nie gorsze – tłumaczy Frank. Za jego pośrednictwem Niemcy spędzają jesień życia w miejscowościach, których nazw często nie potrafią wymówić: Dziwnówek, Vacov, Stražný, Nemesbük.

Artur Frank założył firmę 11 lat temu i nieźle na niej zarabia. Jego okazały dom w liczącej ok. 500 mieszkańców miejscowości Vörs (i zarazem centrala SeniorPalace) znajduje się zaledwie 2 km od brzegu Balatonu. Frank pomaga rodakom chorującym na demencję, ale też zdrowym umysłowo, którzy mają przed sobą wiele lat w miarę jasnego życia, choć nie chcą już być obciążeniem dla krewnych (albo ci ostatni chcą się swojego „obciążenia" pozbyć). A kiedy umierają, firma Franka wysyła ich zwłoki do Niemiec. – Nasze usługi trwają dłużej niż do śmierci – zaznacza.

NISZA RYNKOWA

„Tak, słucham, Artur Frank. Rozumiem. Zaraz, zaraz, a ile lat ma pana mama? 84? OK. Nie słyszy, pierwsze stadium demencji... Z tarasem? Nie, w porządku. Bez mebli? Zapisałem. W następnym tygodniu podeślę panu ofertę i kosztorys". Takie rozmowy Niemiec z Ulm przeprowadza prawie codziennie, jakby jego klienci byli towarem, który ma zostać gdzieś zdeponowany. Frank jest rozwodnikiem, jego była żona, z którą ma dorosłą córkę, jest Słowaczką. Ma jeszcze 81-letnią matkę, która mieszka w rodzinnym mieście w Badenii-Wirtembergii. – Na szczęście jest samodzielna, sprawna i umysłowo aktywna. Rozgląda się już jednak za ośrodkiem na Węgrzech. Kiedy wysłałem jej broszurki, była zachwycona – mówi Frank.

Trzeba przyznać, że Frank jest spełnionym człowiekiem, czerpie z życia pełną garścią. Odkrył niszę rynkową, którą umiejętnie wypełnił, zwłaszcza że przez wiele lat nie miał konkurencji. – Na początku była to bardzo przyjemna praca, nikt nie wchodził mi w paradę – wspomina. Europa Wschodnia stała przed Niemcem otworem. Frank zakasał rękawy i zaczął szukać partnerów – właścicieli oraz zarządców domów opieki, z którymi mógłby współpracować. Albo działek, na których miały dopiero powstać nowe budynki. – Nie musiałem długo czekać na pierwszych klientów – mówi dziś. Nic dziwnego – Niemcy są po Japonii drugim krajem na świecie, w którym żyje najwięcej emerytów. Co piąty Niemiec ma ponad 65 lat. 2,6 mln ludzi potrzebuje dodatkowej opieki. Do 2030 r. liczba ta ma wzrosnąć o 800 tys. Jednocześnie niemiecki system opieki pielęgnacyjnej w wielu miejscach jest niewydolny, ok. 400 tys. osób wymagających pomocy nie jest w stanie sprostać comiesięcznym opłatom za miejsce w domu seniora. Emerytura i zasiłek opiekuńczy nie wystarczają na pokrycie kosztów, które w Niemczech są wysokie.

Ośrodki dla seniorów w Niemczech są drogie, dlatego wiele osób ubiega się o miejsca na Węgrzech, Słowacji i w Polsce.

– Miałem niedawno klienta, który za miejsca swoich rodziców w domu starców musiał dopłacać co miesiąc 6 tys. euro. Prawie by zbankrutował, ale usłyszał o mojej firmie – śmieje się Frank. Szef SeniorPalace zapropono-

eprasa.pl 1cd478a4a0

wał mu ośrodek w czeskim Stražným, tylko kilka kilometrów od bawarskiego Deggendorfu. Jak się okazuje, tu klient płaci za oboje rodziców jedną trzecią sumy, którą płacił w Niemczech.

NIEMIECKIE SZLAGIERY

Artur Frank codziennie jeździ do ośrodków, z którymi współpracuje, aby doglądać sytuacji i stanu zdrowia klientów. Najczęściej zagląda do domu starców w węgierskim Nemesbük. Ośrodek robi wrażenie, tutejsi lokatorzy mieszkają w odremontowanej willi z balkonami, z których mają widok na Balaton. Okazały budynek kontrastuje z sąsiednimi domami.

– Dzień dobry, kochane – mówi Frank, witając się z paniami siedzącymi przy kominku. Te z entuzjazmem odwzajemniają pozdrowienia i obejmują prezesa niczym zagorzałe fanki. Na stołach leżą niemieckie tabloidy dla starszych czytelników, a z głośników płyną szlagiery. Frank podaje każdej osobie rękę, nie tylko z miłości bliźniego. – Zawsze naciskam lekko kciukiem na grzbiet dłoni. Kiedy na skórze klientki pozostaje małe wgniecenie, to znaczy, że jest odwodniona. Wtedy muszę pogadać z pielęgniarzami – opowiada.

Ośrodek w Nemesbük jest wzorcem dla wszystkich pozostałych domów współpracujących z SeniorPalace. – Byłoby idealnie, gdyby wszędzie wszystko funkcjonowało tak sprawnie jak tu. Chodzi o sumienność, z jaką węgierscy pielęgniarze opiekują się pensjonariuszami. Są bardzo dobrze wykształceni, pod tym względem dorównują im tylko polscy opiekunowie – uważa Frank. A program w Nemesbük jest napięty: wycieczki, kurs węgierskiego, gimnastyka, odczyty. Najistotniejsza jest organizacja wolnego czasu, ponieważ nuda i demotywacja to dla mieszkańców domów seniora wrogowie nr 1 i 2.

– Jeśli starszy człowiek poza siedzeniem przed telewizorem nic nie robi, to koniec jest blisko. Zadaniem pielęgniarzy jest codziennie na nowo wzbudzać u podopiecznych motywację i chęć do życia – wyjaśnia Frank. Zresztą, nie okłamujmy się, od tego zależy jego biznes. Im dłużej klienci żyją, tym więcej na nich zarabia. W ośrodku w Nemesbük mieszka 23 Niemców, 13 Austriaków i pięciu Szwajcarów. Za każdego seniora Frank otrzymuje na początku prowizję 1 tys. euro i do końca jego życia comiesięcznie część z opłaty, którą klient lub jego krewny wnosi za miejsce w ośrodku. Od 2006 r., od początku istnienia firmy SeniorPalace, w Nemesbük zmarło 25 osób, ale te miejsca znów są zajęte.

Artur Frank odkrył niszę rynkową, którą dynamicznie rozwija.

Wzorcowy ośrodek nad Balatonem.

DRUGIE ŻYCIE

Zanim Artur Frank odnalazł się w nowej branży i zakotwiczył w państwach Grupy Wyszehradzkiej, prowadził spółkę farmaceutyczną, zatrudniając ok. 30 pracowników. Miał dom, atrakcyjną żonę, basen. Kiedy w Stanach Zjednoczonych po 2001 r. zaczęły pękać pierwsze bańki spekulacyjne, infekując także gospodarki europejskie, w ciągu kilku miesięcy stracił wszystko, łącznie z małżonką. Przeprowadził się więc na Słowację, gdzie próbował zacząć drugie życie zawodowe w branży farmaceutycznej. Któregoś dnia zadzwonił do niego przyjaciel z dawnych czasów i poprosił o pomoc w znalezieniu w Bratysławie miejsca dla matki. Sam kilka dni wcześniej stracił majątek i nie było go stać na finansowanie domu opieki w Niemczech. Frank od razu coś znalazł. – Trafiłem na luksusowe miejsce za stosunkowo małe pieniądze. Wtedy zrozumiałem, że będzie z tego chleb – wspomina.

Dziś Artur Frank współpracuje z ośmioma ośrodkami w czterech krajach i właśnie realizuje projekt w Chorwacji. Jednym z partnerów jest także Słoneczny Dom w Dziwnówku nad Bałtykiem.

Zarządcy ośrodków też dość szybko wyczuli, że niemiecki mediator jest kurą znoszącą złote jaja. – Czesi i Polacy często do mnie dzwonią i pytają, czy mogę załatwić im niemieckich klientów, tak jakby to był towar. Najczęściej odmawiam. Jeżeli ktoś w ten sposób mówi o starszych osobach, to z góry przegrał – oburza się Frank.

Zresztą nie każdemu w Niemczech jego praca się podoba. Pewna dziennikarka pisała, jakoby Frank „deportował starych Niemców do nowych państw członkowskich Unii Europejskiej". On kwituje to wzruszeniem ramion. – Po prostu załatwiam miejsca w domach starców, co to za różnica, gdzie. Muszę z czegoś żyć, a zarazem tym ludziom pomagam. Są gorsze prace.

W styczniu weszła w Niemczech w życie reforma ustawy o pielęgniarstwie (*Pflegereform*), która zapewnia

FOT. FOTOLIA, ARTUR FRANK (2)

eprasa.pl 1cd478a4a0

emerytom wymagającym opieki nieco wyższy zasiłek opiekuńczy. – Emeryci otrzymują trochę więcej kasy, ale właściwie nic się nie zmieniło. Nadal wielu nie stać na miejsca w niemieckich domach starców – wzdycha Frank.

Niemieccy koledzy zarzucają Frankowi, że „odprowadzając" emerytów do biedniejszych krajów europejskich, działa na niekorzyść niemieckiej gospodarki. – A czy zatrudnianie w Niemczech tańszych pielęgniarzy z Europy Środkowo-Wschodniej to coś lepszego? Czy gospodarki tych biedniejszych krajów na tym nie korzystają? – pyta nie bez ironii. Wtóruje mu Stefan Görres, profesor na kierunku zdrowie publiczne Uniwersytetu w Bremie. – Pielęgniarstwo stało się już dawno produktem rynkowym. Nie rozumiem uszczypliwych komentarzy pod adresem pana Franka – dziwi się.

CIEPŁO I TROSKA

SeniorPalace współpracuje także z ośrodkiem w czeskim Vacovie, któremu daleko jeszcze do standardów w Nemesbük czy Dziwnówku. Codzienność jest tu bardziej monotonna. Brakuje entuzjazmu starszych pań z Nemesbük, które z zapałem uczą się języka węgierskiego. W Vacovie wszyscy siedzą apatycznie w świetlicy i oglądają filmy dokumentalne w niemieckiej telewizji. – Tutaj mamy problem nie tyle z klientami, ile z personelem, który nie potrafi dodać tym ludziom otuchy – mówi Frank i dorzuca: – Tak między nami – nie mógłbym przywieźć tutaj klientów z Nemesbük, boby zwariowali. Według Franka obchody kontrolne w czeskich ośrodkach nie odbywają się tak często i na takim poziomie jak gdzie indziej. Czasem niemieccy emeryci się skarżą, że nikt się nimi nie zajmuje, ponadto dom opieki w Vacovie jest od miesięcy remontowany. Klienci żyją na placu budowy, w ciągłym hałasie wiertarek i młotów.

Z drugiej strony należy przyznać, że takie przypadki zdarzają się również w Niemczech, tyle że za niewspółmiernie wyższą cenę. W Vacovie brakuje ciepła i troski, którymi otaczani są starsi Niemcy nad Balatonem. Tam właśnie starsi panowie opalają się w kwietniowym słońcu, pogrywając w karty. Obok siedzą dwaj sympatyczni emeryci: Karl Trümper, lat 76, oraz Jürgen Steininger, lat 84. Pan Trümper popija wino i wspomina: – Jeszcze niedawno miałem żonę, która mną się opiekowała. Z czasem coraz więcej rzeczy zapominałem, a ona się z tym męczyła. Postanowiłem z tym skończyć i poprosiłem ją – zdrową i młodszą ode mnie kobietę – żeby na nowo ułożyła sobie życie. Zadzwoniłem do pana Franka i się spakowałem. Nadal wiele zapominam, ale już nie mam wyrzutów sumienia.

Siedzący obok Jürgen Steininger na pytanie, jak długo już przebywa w Nemesbük, odpowiada: – Bardzo długo, tak ze dwie godziny.

Starsi Niemcy żyją w miejscowościach, których nazw często nie potrafią wymówić: Dziwnówek, Strażný…

Wojciech Osiński

eprasa.pl 1cd478a4a0

Oko w oko

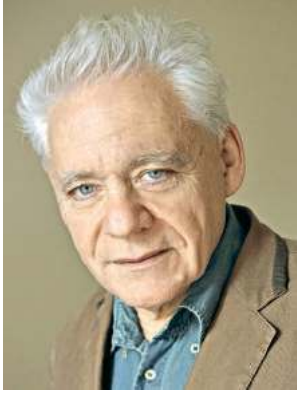

Tomasz Jastrun

MAŁE, JASNO OŚWIETLONE MIEJSCE

Wracam obsesyjnie do myśli, dlaczego tak mnie denerwują liderzy naszych partii opozycyjnych i lider KOD. Bo są tak niewystarczający w obecnych warunkach. Sytuacja wymaga polityków z klasą, jest zbyt poważna, by się kłócić o to, kto ma więcej zabawek w piaskownicy. I kto ważniejszy. Polska została zapaskudzona, dramat jest na dziesięciolecia, trzeba PiS jak najszybciej odsunąć od władzy. A przecież nawet jeśli się uda, co nie będzie łatwe, ten wrzód będzie ropiał i psuł to, co pozostało jeszcze do zepsucia. Media prawicowe, fabryki obłędu, głupoty i podłości, będą przecież pracowały z jeszcze większą mocą. Ktoś napisał na Facebooku, jakie są niezbędne kroki do usunięcia rządów PiS: 1. Usunięcie Mateusza Kijowskiego z bycia szefem KOD. 2. Usunięcie Ryszarda Petru z szefowania Nowoczesnej. 3. Usunięcie Grzegorza Schetyny z kierowania Platformą Obywatelską. To byłby może dobry pomysł, gdyby za plecami tych polityków stali politycy z klasą, ale jakoś ich nie widać. Może są w Nowoczesnej, ale Petru wydaje się nie mniej przywiązany do swojej funkcji niż Schetyna i Kijowski. Na pytanie, co dla nich ważniejsze, „ja" czy Polska, odpowiedzą Polska, ale ja im nie uwierzę.

Polska została zapaskudzona, dramat jest na dziesięciolecia.

•

Dwa dni w Krakowie i w Katowicach, sesja poświęcona szwedzkiemu poecie, nobliście Tomasowi Tranströmerowi. Panele, wykłady, dyskusje, koncerty. Jest żona pisarza Monika. Tylu poetów bliskich, a od tak dawna niewidzianych: Zagajewski, Krynicki, Maj. To, że tak rzadko się spotykamy, też jest znakiem czasu. Mówiąc o Tranströmerze, wspominam poetę, którego znałem w dwóch postaciach, był przed wylewem i po, ale obaj byli niezwykli. Opowiadam, jak dwa razy czułem się z Tranströmerem tożsamy, jak „podszyłem się" pod niego.

Jest rok 1990, w podziemiach Akademii Szwedzkiej czytam przekłady jego wierszy po polsku, on swoje po szwedzku. Tłum ludzi, półmrok. Już po spotkaniu stoimy na małym rynku Starego Miasta, przed Akademią. Jest pisarka Agneta Pleijel, Tranströmer i ja. Żegnamy się, odchodzą oboje i nikną za rogiem średniowiecznej kamienicy. Pomyślałem wtedy, że każde rozstanie jest na zawsze, bo nawet jeśli jeszcze się spotkamy, to już jakoś odmienieni. Dwa tygodnie potem dowiaduję się, że Tomas miał wylew, sparaliżowany może ruszać tylko lewą ręką. Rok 2011, jestem w studiu TVP Info, za chwilę wchodzimy na wizję. Czekamy, aż zostanie ogłoszony werdykt Akademii Szwedzkiej.

Przez tyle lat dzwoniły do mnie media: „Jeśli Tranströmer dostanie Nobla, czy pan coś o nim powie?". Ale uparcie nagrody nie dostawał. Uznano w końcu, że Akademia Szwedzka uważa, że nie wypada dać Nobla Szwedowi. A jednak mam w telewizji ze sobą tomik wierszy Tranströmera. Zbliża się chwila ogłoszenia werdyktu. Widzę w studiu poruszenie za szybą. Tranströmer! Pokazuję książkę… Prowadzący zakończył program słowami: „Mówił przyjaciel Tranströmera". Gdybym zaprzeczył, zabrzmiałoby to niegrzecznie, więc tak poszło. Od południa do nocy paradowałem po mediach jako przyjaciel poety, im dalej w las, tym trudniej było mi to sprostować. Po kilku godzinach wywiadów i komentarzy czułem, że nie tylko wyczerpałem Tranströmera, ale też sam jestem zupełnie wyczerpany. I że to ja dostałem Nobla. Ale nie mogę przyjąć, nie zasłużyłem.

Wracając do tych tranströmerowskich dni – to, że udało się w obecnych czasach je zorganizować, że było tyle ludzi, a to trudny poeta, jest cudem. Szwedzi mówili mi potem, że w ich kraju byłoby to niemożliwe. Coś więc ocalało z tej dawnej Polski, gdzie poezja była taka ważna. I jest to tworzenie małych, jasno oświetlonych miejsc w ciemniejącym współczesnym polskim krajobrazie.

•

W czasie tych dni rozmawiałem długo z Maćkiem Zarembą. Znamy się do dawna, jedna z największych „polskich karier intelektualnych" w świecie. Jest obecnie najbardziej cenionym szwedzkim eseistą i publicystą, autorem niezwykłych książek o Szwecji. Opowiada mi, jak kolejni szwedzcy premierzy, którzy bynajmniej nie kojarzą się nam z drapieżnością, nawet Olof Palme, wycinali ze swojego otoczenia wszystkie większe osobowości. To jak widać żelazny mechanizm polityki. Jest jakby bezpieczniej i przyjemniej rządzić bez czyjegoś oddechu na plecach. Może więc mniej powinniśmy się gniewać na Tuska, że oczyścił teren wokół siebie. Chociaż szkoda.

•

Ryszard Przybylski pisał w „Sardanapalu. Opowieści o tyranii": „We wspólnotach takich jak państwo, może to być tyrania lub republika parlamentarna, władza dość szybko wyobcowuje się ze społeczeństwa, zaczyna je traktować jako instrument i w mniejszym lub w większym stopniu staje się bezkarna. Nabiera cech potwora. Jawnego lub obłudnego".

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1cd478a4a0

Ewa Winnicka

Barbara Piasecka-Johnson w swojej rezydencji Jasna Polana, 2002 r.

MILIONERKA DOBR

Chyba nie ma w Polsce działaczy opozycyjnych, których Barbara Piasecka-Johnson nie finansowała. Ale nie miała szczęścia do ludzi podziemia

NA OPOZYCJĘ

Warszawa-Nowy Jork, 1985

W sprawie pomocy dla Zofii Romaszewskiej, działaczki opozycji z Warszawy, członkini Komitetu Obrony Robotników, która wybiera się do Nowego Jorku, żeby zbierać fundusze na konspirację, do Barbary dzwoni Felicja Kranc (o tym, jak należy zbierać pieniądze, Zofia dowiaduje się od Ireny Lasoty, emigrantki zaangażowanej w komitet Solidarity with Solidarity. Irena tłumaczy Zofii, że zwracanie się do fundacji charytatywnych jest w Ameryce powszechne i mniej krępujące).

Wkrótce Zofia Romaszewska może przyjechać do Jasnej Polany. Kilka miesięcy później przyjeżdża na stypendium jej córka Agnieszka.

ZOFIA ROMASZEWSKA:

– Kiedy przyjechałam, dni gospodyni upływały na przygotowaniach do procesu o majątek, spotykała się z adwokatami. Zachwycała się Niną Zagat, która była jej opoką. Przychodzili do niej również masażystka, fryzjerka i wróżka. Była ładnie ubraną, nauczoną wiedzy o sztuce osobą, chociaż z tego, jak się wyrażała, wnioskowałam, że jest kobietą prostą.

Chodziłyśmy na spacer po jej ogrodach. Podziwiałyśmy szopy prace, które mieszkały na terenie jej posiadłości w ogromnej liczbie.

Opowiadała mi głównie o tym, jak kochała pana Johnsona. Mówiła, że nikt jej nie wierzy, a to prawda. Byłam doskonałym słuchaczem, bo nic o sprawie nie wiedziałam, nie miałam zdania. Dziś myślę, że podtrzymywała mit, w który sama uwierzyła.

Żeby się uwiarygodnić, opowiadała, że przyjaźni się z homoseksualistami: lekarzem z Nowego Jorku oraz jednym doradcą od sztuki. Dbała, żeby nie można jej było posądzić o romans. W Jasnej Polanie nie było śladu innego faceta. Nawet śladu po śladzie.

W moim przekonaniu była wciąż zakochana w Witoldzie Małcużyńskim. Kiedy o nim mówiła, zmieniał jej się wyraz twarzy. Jeden z najlepszych pokoi gościnnych nosił jego imię.

Mnóstwo ludzi z Polski próbowało się do niej dostać. Dzwonili, pisali listy, czekali pod drzwiami.

Chciała, żebym opowiedziała jej o Polsce. Słuchała z dużym zainteresowaniem. Mówiłam, że potrzebujemy pieniędzy na Solidarność, bo inaczej ruch zamrze. Myślę, że to ją fascynowało.

Nigdy nie przeszłyśmy na „ty". Byłam dość nastroszona, nie chciałam się zaprzyjaźniać, tylko zdobyć pieniądze na Solidarność.

Powiedziałam jej, czego potrzebujemy, a ona słuchała uważnie. Już podczas pierwszego spaceru oświadczyła mi, że da pieniądze. Na początek 100 tys. dol. Pieniądze dotarły w 1986 r. przez fundację Ginetty Sagan. Filantropka Sagan mogła wywieźć większe pieniądze z USA. Te pieniądze pozwoliły nam pomóc bardzo wielu ludziom i prowadzić Komisję do spraw Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność. Na moją prośbę pani Basia kupiła nam kilka samochodów: toyotę, duże renault, hyundaia i nissana. Wszystkie na ropę, o takie prosiliśmy. Mogliśmy wozić adwokatów na sprawy. Auta zostały przywiezione, gdy już byłam w Polsce.

Bez niej nas by nie było. Była najważniejszym fundatorem Komisji. Mogliśmy płacić ludziom za strajki, broniliśmy ich w sądzie. Wszyscy w opozycji zazdrościli nam, że udało nam się zdobyć pieniądze. O tym, że są to środki od Barbary, nie mówiliśmy głośno. Miałyśmy niepisaną

eprasa.pl 1cd478a4a0

ODZIEJKA

umowę, że w kontekście pieniędzy jej nazwisko nie padnie.

Zwłaszcza że kiedy u niej mieszkałam, mnóstwo ludzi z Polski próbowało się do niej dostać. Dzwonili, pisali listy, czekali pod drzwiami.

Na koniec pani Barbara zapytała, co bym chciała dla siebie, a ja powiedziałam, że chciałabym nie mieszkać ze swoją córką. Byłyśmy z Agnieszką w dobrych relacjach, ale nie chciałam z nią mieszkać. Gdy wyszłam z więzienia, Agnieszka była już mężatką. Wszyscy mieszkaliśmy w jednym trzypokojowym mieszkaniu. Potrzebowałam przestrzeni, źle się czułam z tyloma osobami. A nie było żadnych szans na mieszkanie dla Agnieszki.

I ona to mieszkanie dla Agnieszki ufundowała. Przysłała 20 tys. dol., co wystarczyło na mieszkanie i urządzenie go. Opłaciła też stypendium w Yale. Pożegnałyśmy się bardzo serdecznie, a mnie bezpieka już mocno pilnowała, żebym więcej nie dostała paszportu.

NA UBOGĄ SIOSTRZENICĘ

Jasna Polana, grudzień 1985

Na stypendystkę Agnieszkę Romaszewską czeka na lotnisku długa, czarna limuzyna z barkiem i fantazyjnym oświetleniem. Zawozi ją do Princeton.

Barbara udostępnia bajkowy pokój Małcużyńskiego. Jest w nim fortepian, na ścianach Grottger, Wyczółkowski i portret pianisty. Na łóżku wielkie poduszki, batystowa pościel i puchowa kołdra.

Marmurowa łazienka ma podgrzewaną podłogę i pachnie w niej orchideami, które rosną w podłużnej donicy. Agnieszka chce kupić kosmetyki, których nie można dostać w Polsce, więc następnego dnia gospodyni wzywa ochroniarza i we troje jadą na zakupy do taniego marketu, co Basi sprawia dużą radość. Idą, a za nimi ochroniarz pcha wózek.

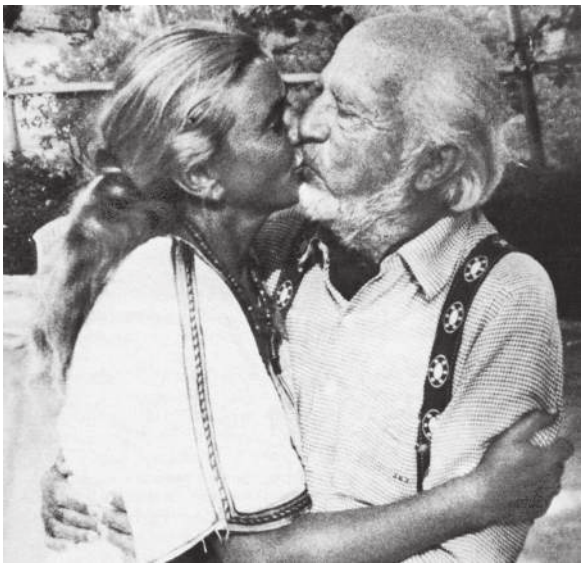

Barbara Piasecka i Seward Johnson, lata 70.

AGNIESZKA ROMASZEWSKA:

– Mówiłam, że nie mam tuszu do rzęs. Ona na to: „Który chcesz?". Ja: „Ten". „A ten może?", wskazywała inny, po czym wrzucała do koszyka oba. Następnie: „A może weź to i tamto, przyda ci się", mówiła. Gdy chciałam cienie do powiek: „Tak, oczywiście. Bierzemy. Cztery". Sięgała po kremy nawilżające, mydła, szampony, odżywki, tuzin majtek bawełnianych i gumowy termofor.

Spacerowałyśmy z ochroniarzem, aż napełniła po brzegi wielki wózek. Widać było, że nie była w sklepie od wielu lat. Czułam się nieco skrępowana, bo wyglądało to dość śmiesznie.

Część z tych rzeczy zapakowałam później do dużego pudła i wysłałam szwagierce. Pani Basia była wyrozumiała: „Tak, do paczek i wysyłamy".

PAKOWANIE

Jasna Polana, marzec 1986

AGNIESZKA ROMASZEWSKA:

– Kiedy miałam wyjechać na uczelnię [New Haven], pani Basia zaczęła kompletować dla mnie wyprawkę. Wyciągnęła ogromne kufry, te, z którymi podróżowała do Europy. Zdejmowała z wieszaków ciuchy i ładowała do kufrów. Wśród nich m.in. szary kostium Ungaro z czarnym aksamitnym kołnierzem, czarna sukienka Chanel z białym kołnierzykiem, jakieś kaszmirowe szale tak cienkie, że dawały się przepleść przez pierścionek. Co widziała, to mi dawała. Do tej pory mam aksamitne futerały na kapcie i buty po panu Johnsonie i ich używam. Część sprzedałam, gdy pani Basia mnie „wyklęła" i brakowało mi pieniędzy.

Byłam tym pakowaniem przejęta i zażenowana. Myślałam: z tymi kuframi będę wyglądać w akademiku jak kompletna idiotka. Usiłowałam ją przekonać, żeby mi tyle nie dawała. „E tam, postawisz sobie w pokoju. Nie ma problemu", ucięła rozmowę.

Traktowała mnie coraz bardziej jak ostra ciotka. Na koniec sprawdzała, czy mam ciepłe majtki. „Musisz", mówiła i zaglądała mi pod spódnicę. No i pojechałam.

(…) Zaczęłam nowy etap życia. Nie wiedziałam, że wkrótce już bez pani Barbary. (…)

NA OPOZYCYJNĄ LEGENDĘ

Princeton, 1987

Opozycjonista Leszek Moczulski, założyciel Konfederacji Polski Niepodległej, powstałej w 1979 r. pierwszej niekomunistycznej partii politycznej, wychodzi z więzienia w 1986 r. z ciężką chorobą serca. Wyleczony, z paszportem (jesienią tego roku władze rozluźniają politykę wyjazdową), rusza wraz z żoną na Zachód na zaproszenie działaczy rządu emigracyjnego. Spotyka się z Polakami w Paryżu i Londynie. Witają go spragnieni wiadomości emigranci. Moczulski jest

eprasa.pl 1cd478a4a0

legendą podziemia, pierwszą osobą, która przedstawia się jako emisariusz z walczącego kraju, z otwartą przyłbicą przemawia w polskich klubach i świetlicach i nie boi się powiedzieć publicznie, że przewiduje szybki upadek ZSRR. Tournée Moczulskiego to pasmo frekwencyjnych sukcesów, ale większość słuchaczy uważa, że słowa Moczulskiego o upadku ZSRR są nieodpowiedzialne i szalone.

LESZEK MOCZULSKI:

– O tym, że pani Johnson pomaga opozycji, dowiedziałem się w Londynie od prezydenta RP na uchodźstwie Kazimierza Sabbata. Podczas obiadu prezydent poprosił mnie na chwilę do osobnego pokoju i powiedział szeptem, że w Princeton urzęduje Polka mająca kontakty, pomagająca opozycji incognito ze względu na zagrożenie ze strony KGB, o którym jest przekonana.

Następnym etapem podróży Moczulskich jest Ameryka. Informację o tajemniczej Polce potwierdza szef Kongresu Polonii Amerykańskiej i pyta, czy chcą tę panią odwiedzić. Oczywiście chcą. Moczulscy są zachwyceni rezydencją, a kiedy Leszek opowiada pani Johnson o rychłym upadku ZSRR, Barbara nie puka się w głowę. Jest zachwycona ogładą i manierami Moczulskiego i jego żony. Różnią się od lokalnych, skrajnych i skłonnych podpalać wszystko nowojorskich polonijnych działaczy KPN, których strach by było wpuścić do pałacu.

Z podróży po Stanach Moczulscy przywożą kilka tysięcy dolarów. Nie pytają o innych beneficjentów, ponieważ gospodyni podkreśla, że musi konspirować.

Zofia Romaszewska jest zdania, że w połowie lat 80. Barbara nie panuje nad swoim majątkiem. Wydaje, wydaje, wydaje. Wszystko osnute mgłą tajemnicy, ponieważ ma obsesję na punkcie KGB. Ale w 1987 r. zatrudnia asystentkę, która ma pomóc zorientować się w potrzebach ojczyzny. (…)

ZDRADA

Maj 1986

AGNIESZKA ROMASZEWSKA:

– Ktoś doniósł, że jednak spotykam się z Martyną [bliska przyjaciółka, jej mąż, John Fox, i Barbara Piasecka-Johnson pokłócili się]. Pani Basia uznała mnie za zdrajczynię. Okazało się to dość nagle. Kończyłam pierwszy rok, chciałam z nią uzgodnić, co robić w czasie wakacji. Kiedy zadzwoniłam, powiedziała: „Nie masz już stypendium. Wracaj do Polski". Nie było żadnej rozmowy. „Wszystko skończone. Nie chcę cię znać", dodała. Zasugerowała jeszcze, że Marek, gdy mnie odwoził [do New Haven], za późno wrócił. To były żenujące insynuacje. Nigdy więcej nie rozmawiałyśmy.

ZIELONY KUFER

Warszawa, 2016

Po 1989 r. Zofia Romaszewska zostaje dyrektorem Biura Interwencji Kancelarii Senatu, potem sędzią Trybunału Stanu. Jej mąż Zbigniew bierze udział w obradach Okrągłego Stołu, jest wieloletnim senatorem, przez cztery lata wicemarszałkiem Senatu. Umiera w 2014 r.

Zofia nie rozumie, dlaczego po 1989 r. Barbara nigdy się nie skontaktowała z jej rodziną.

ZOFIA ROMASZEWSKA:

– Nie odpowiedziała na list mojego męża Zbyszka, w którym napisał, że bardzo jest jej wdzięczny i żeby się nie przejmowała tym, co zrobiła naszej córce. Może miała wyrzuty sumienia? W latach 90. starałam się o przyznanie jej odznaczenia państwowego za pomoc opozycji. Nie udało się. Widocznie posiadano na jej temat wiedzę, mnie niedostępną, z której wynikało, że jest niegodna.

> Dbała, żeby nie można jej było posądzić o romans. W Jasnej Polanie nie było śladu innego faceta.

Zofia docenia, że prócz gotówki, samochodu, mieszkania i stypendium dla córki Barbara ubrała ją od stóp do głów.

ZOFIA ROMASZEWSKA:

– Gdy wyjeżdżałam do Polski, dostałam od niej kożuch po jej matce. Nigdy nie miałam takiego wspaniałego, długo w nim chodziłam. Potem dałam go jeszcze mojej sprzątającej pani. Przepiękny, hiszpański, w najlepszym gatunku. Dostałam stosy ubrań, głównie jej własnych, i wspaniałą skórzaną walizeczkę, której do niedawna używałam. Do tej pory mam też worek od niej, w który zapakowałam część ubrań. Noszę w nim rzeczy do pralni.

Potem przysyłała nam jeszcze paczki z przedziwnymi rzeczami. Raz trzy pary białych, skórzanych, ocieplanych rękawiczek, nie wiedzieliśmy, do czego ich używać. Mam wciąż po niej bransoletkę, srebrną z niebieskimi kamieniami. Ładna, ponadczasowa, można by dziś założyć. Ale trudno o stosowną okazję.

Agnieszka Romaszewska jest szefową kanału Biełsat TV w Telewizji Polskiej. Też przechowuje prezenty. O Barbarze przypomina jej zielony okuty kufer, który stoi w przedpokoju. (...)

– Dzięki pani Basi zrozumiałam, że świat jest o wiele dziwniejszy, niż to może się wydawać na pierwszy rzut oka. A najbardziej zdumiewające i pasjonujące opowieści o ludziach są prawdziwe – mówi. (…)

NA RYMPAŁ

Nowy Jork, 1991

W marcu 1991 r. Lech Majewski, reżyser, od dziesięciu lat przebywający w Stanach Zjednoczonych, odbiera zaproszenie na przyjęcie w polskim konsulacie przy Madison Avenue. Okazją jest uroczyste spotkanie z nowym prezydentem Polski Lechem Wałęsą. W przyjęciu uczestniczą ważni nowojorscy Polacy. Między innymi Barbara. Spotkanie robi wrażenie na Lechu Majewskim, więc po powrocie pisze o nim felieton.

„Pełno chłopskich twarzy. Ponad muszkami i żabotami, które wylewają się spod ciasnych fraków. (…) Tłum. Mało żon. Zamawiam drinka w barze i siadam w bocznej sali. Za chwilę bar oblega spora grupa księży bratających się z ortodoksyjnymi Żydami. Bratają się w westybulu przy dekoracyjnej klatce schodowej. Ponieważ nie cierpię tłoku, wracam do baru, zamawiam drinka i czekam.

Głośniki chrząknęły, mikrofon zaskowyczał i słyszę głos konsula Jerzego Surdykowskiego zapowiadający prezydenta Wałęsę, który wręczy

> W połowie lat 80. Barbara nie panuje nad swoim majątkiem. Wydaje, wydaje, wydaje.

eprasa.pl 1cd478a4a0

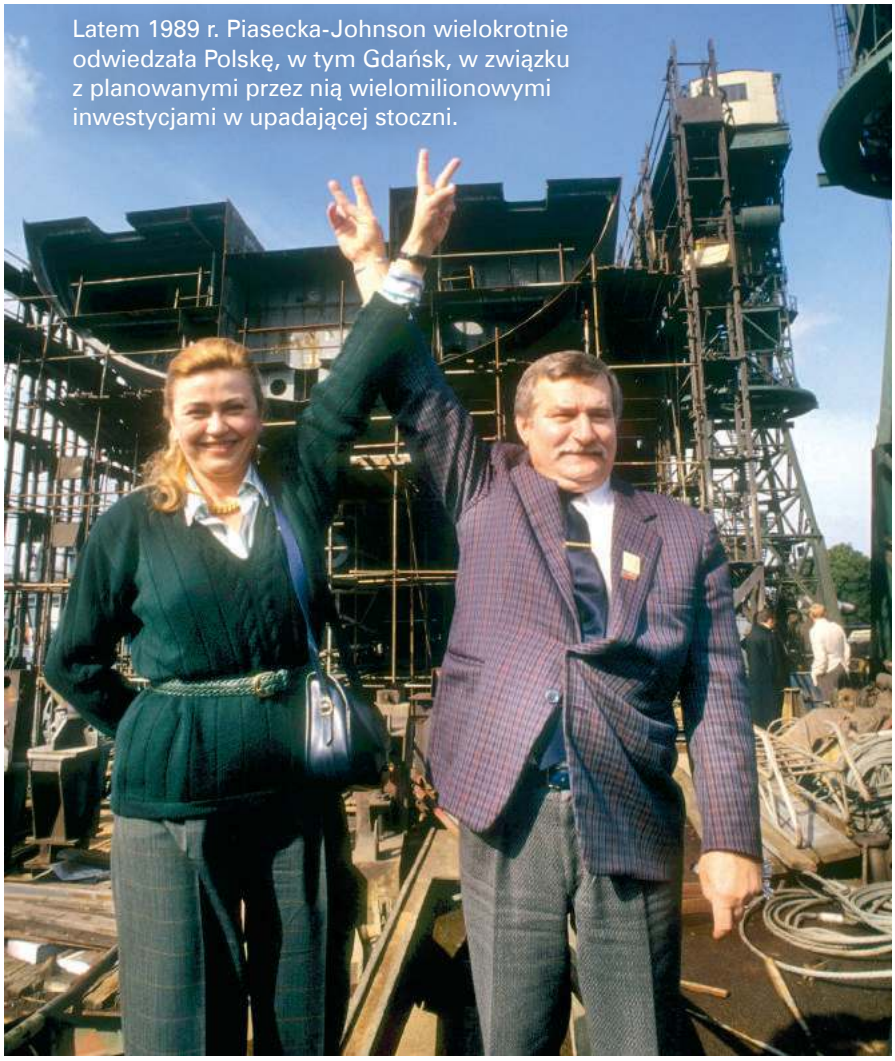

Latem 1989 r. Piasecka-Johnson wielokrotnie odwiedzała Polskę, w tym Gdańsk, w związku z planowanymi przez nią wielomilionowymi inwestycjami w upadającej stoczni.

Krzyż Virtuti Militari kardynałowi Królowi. Plecy ścieśniają się. Swojski, przaśny głos prezydenta rozlega się pod rokokowym sufitem konsulatu. Zachwala »Polskie«, po czym zwraca się do kardynała w te słowa: »Wręczam panu ten medal za wszystkie zasługi, jakie pan poniósł dla naszego ukochanego kraju«. Po chwili ciszy Lech się poprawia: »Przepraszam, że zwracam się do pana per pan, ja, taki katolik, powinienem lepiej wiedzieć, ale sądzę, że zostanie mi to wybaczone«. Starczy, drżący głos kardynała szepcze do mikrofonu: »Dziękuję, panie prezesie«, i – jak na komendę – ściana zbitych wyfraczonych pleców pęka i kilku najmniej cierpliwych rzuca się przez salę do suto zastawionego stołu, orlim wzrokiem wypatrując kawioru.

Tłum się rozstępuje i zza niego wyłania się prezydent, który energicznie zalicza las ściskających jego dłoń dłoni, przesuwając się w kierunku stołu. Niektórzy próbują przewidzieć jego następny ruch i ustawić się tak, by kiedy prezydent podejdzie, załapać się na zdjęcie, by już po wszystkim, powiększone, powiesić na ścianie biura lub domu. Wkrótce nic już nie mogę dostrzec, bowiem kurtyna wyfraczonych pleców zamyka się tuż przede mną. Wstaję więc i ruszam do przeciwległej sali. Mijając westybul, zauważam starca w wózku inwalidzkim. Drzemie zgarbiony, a jego podbródek spoczywa na błękitnej wstędze.

To kardynał Król.

W końcu Wałęsa znika, a rozentuzjazmowani fotografowie robią zdjęcia wszystkim i wszystkiemu. Rozmawiam z polskim astronomem z Princeton, poznaję szefa Dywizjonu 303, po czym Janusz Kapusta, na niezłym gazie, przedstawia mnie Barbarze Piaseckiej-Johnson. »Basiu – krzyczy – to jest jedyny człowiek w tym towarzystwie, który nie chce od ciebie pieniędzy«. Pani Basia chichocze, ściska Janusza i odkrzykuje: »Ja pana tak lubię, panie Kapusta«, po czym bierze mnie pod rękę i siadamy razem w rzędzie rokokowych krzeseł pod ścianą.

Zaczynamy rozmowę o niczym, lecz nie upływają dwie minuty, gdy u jej nóg wyrasta nowa ściana, tym razem czerwonych, zapijaczonych gęb w wieku podeszłym i z worami pod oczami. Rozbawieni panowie klęczą, wywalają zbielałe jęzory, oblizują się lubieżnie i jęczą: »Pani Basieńko, Basieńko cudowna, pani jest najlepszą kobietą na świecie. O cudowna, dziewuszko, Basieńko, opowiedzieć ci kawał? Znasz ten o doktorze i żabie na głowie. Nie? To słuchaj…«. I cha, cha, chi, girlandy śmiechu, i buty Basieńki wylizane do połysku, i Janusz z drinkami krzyczący: »Co się tak płaszczycie na kolanach przed forsą?«. I znowu dowcipy, wciąż na kolanach, i pański głos Basieńki przerywający figle i igraszki: »A czytaliście wstęp, który napisałam do ekspozycji moich zbiorów malarstwa w Warszawie?«.

Cisza. Jak makiem zasiał. Panika. Nikt nie czytał. »A na temat polskiej sytuacji w grudniu 1990 r.?« – dobija już pokonanych. Cisza staje się nie do zniesienia. »No to g… wiecie« – krzyczy tryumfalnie. Panowie protestują i zapewniają, że owszem, to świństwo, iż nie znają wstępu do katalogu wystawy jej zbiorów ani tekstu o sytuacji w Polsce, ale niemniej jednak to i owo wiedzą. Na przykład, że trzeba by się jeszcze napić. I leją się drinki za zdrowie i pomyślność cudownej, jedynej, najwspanialszej, najrówniejszej, najlepszej, najbliższej, najukochańszej i najpiękniejszej Basieńki".

MARIUSZ HAMERA:

– Chyba nie ma w Polsce opozycyjnych bohaterów, których nie finansowała. Ale nie miała wielkiego szczęścia do ludzi podziemia. Wybór osób, które w Polsce wspomagała, nie zawsze był właściwy, ale wtedy skąd było można wiedzieć? O tym, kto był agentem, dowiedzieliśmy się dużo później.

Fragmenty książki Ewy Winnickiej *Milionerka. Zagadka Barbary Piaseckiej-Johnson*, Znak, Kraków 2017

FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS, WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

PAMIĘTAJCIE O MNIE, JA TU JESTEM!

Facebook jest sceną, na której niekiedy toczy się alternatywne życie

Rozmawia Barbara Jagas

Porozmawiajmy o jasnych i ciemnych stronach Facebooka. Ja na nim się nie udzielam, to może nawet lepiej dla naszych rozważań.

– Z Facebookiem jest trochę tak jak z antybiotykiem – na niektórych działa, na innych nie. Teza, że to medium, które doprowadzi do diametralnej zmiany funkcjonowania społeczeństwa, jest trochę przesadzona. To tylko strona internetowa, aplikacja, która wstrzeliła się w odpowiedni czas. Ma zaledwie 13 lat, a masowo korzysta się z niego może od ośmiu, czyli od momentu upowszechnienia internetu mobilnego. W związku z tym możemy mieć aplikację w telefonie, która będzie nas trzymała na krótkiej smyczy.

Dzięki książce „Sfejsowani" amerykańskiej psycholożki Suzany Flores odkryłam, że Facebook tworzy nowy świat, alternatywny.

– Facebook może nie tworzy tego świata, ale jest sceną, na której niekiedy toczy się alternatywne życie.

I nie można go opuścić. Bo facebookowicz zrósł się z tamtą rzeczywistością, ma tam znajomych, przyjaciół, wrogów, punkty odniesienia.

– To prawda, trudno opuścić FB. Jest to szczególnie trudny krok dla nastolatków. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem FOMO – od angielskiego *fear of missing out*, lęku przed wypadnięciem z obiegu, przed przeoczeniem czegoś. Dla nastolatków obecność na FB jest obowiązkowa. Gdyby ich tam nie było, nie wiedzieliby, co się dzieje w życiu ich znajomych, nie obejrzeliby zdjęć, wpisów, być może nie byliby zapraszani na imprezy, urodziny. A na pewno znacznie trudniej byłoby im zdobyć te informacje.

JAKUB KUŚ

– psycholog internetu z Uniwersytetu SWPS i badacz oddziaływania mediów społecznościowych na psychikę

Mówimy o ponoszeniu konsekwencji.

– Owszem. I taki młody człowiek, który może nawet sam z siebie nie chciałby tak funkcjonować, ma dylemat – żyć w zgodzie ze sobą i nie zakładać konta na FB, ale w konsekwencji być wyobcowanym społecznie i potraktowanym jako „niedorozwinięty cyfrowo i wirtualnie", czy jednak stworzyć profil, jak wszyscy.

> Nie dajmy się wciągać w gonitwę za popularnością, za lajkami.

Znam młodych ludzi, którzy jako prekursorzy nowych trendów ignorują FB.

– Rzeczywiście, jest to pewna nowość, tworzy się ruch antyfacebookowy. Sam także znam wiele takich osób, ale rzadko dotyczy to nastolatków.

Czyli to choroba, którą wszyscy się zarazili, a najbardziej najmłodsi.

– Czytałem już o tzw. cyfrowych detoksach, wyjazdach, gdzie zabiera się ludzi bez komórek i gdzie pozbawieni są internetu. Jeśli osoby, które kompulsywnie korzystają z Facebooka, kilkadziesiąt razy dziennie sprawdzając, co tam się dzieje, nie mogą tego robić, mają wręcz objawy odstawienne, jak inni uzależnieni. Pojawia się lęk, nerwowość, problemy z koncentracją. Paliwem uzależnienia od FB jest dążenie do popularności, chęć bycia nawet w mikroskali osobą znaną, docenianą, kimś, kogo znajomi uważają za interesującego człowieka.

Taką potrzebę łatwiej zrealizować w wirtualnej rzeczywistości niż w realu.

– Staje się to dużo prostsze. Mamy młodego chłopaka, który jest nieśmiały i nie ma dużo znajomych, ale ma naturalną ludzką potrzebę bycia akceptowanym społecznie. I może on poświęcić dziennie dwie-trzy godziny, aby zrobić fajne zdjęcie w atrakcyjnym miejscu. Jeśli umie je jeszcze obrobić w programie graficznym i wymyślić inteligentny podpis, a potem wrzuci na FB, ma zapewniony wizerunek, oddźwięk w postaci lajków i komentarzy. Ten mechanizm jest mocno uzależniający.

Czy każdy to ma?

– Nie. Jest to pewna cecha osobowości, zwana przez psychologię samoświadomością publiczną, kiedy często myślimy o sobie jako obiekcie społecznym, zastanawiamy się nad tym, jak często ludzie nas obserwują, co o nas myślą, jak nas oceniają. Facebook pozwala uzyskać tę ocenę od razu i nie na podstawie tego, jacy jesteśmy naprawdę, ale na podstawie naszej kreacji. I tutaj zaczynają się problemy, jak taki człowiek zaczyna naprawdę siebie postrzegać.

Czyli?

– Wyobraźmy sobie, że ktoś stworzył na Facebooku wizerunek osoby

eprasa.pl 1cd478a4a0

bardzo kompetentnej, dowcipnej, spotykającej się z ciekawymi ludźmi. Może i częściowo jest to prawda, ale on tworzy swój cyfrowy portret. A w rzeczywistości w ogóle może nie być szczęśliwy.

Ludzie, którzy mu kibicują, niekoniecznie muszą znać o nim prawdę.

– Bywa i tak, co prowadzi do problemów z tożsamością. Ale powiedzmy, że znajdzie się grupa ludzi, którzy znają prawdę, i dojdzie do konfrontacji wizerunku wirtualnego z rzeczywistym.

Może to delikwenta zdołować.

– Nawet wywołać depresję. Są badania, które pokazują, że na zaburzenia depresyjne narażone są zwłaszcza osoby, które lubią tylko biernie przeglądać Facebooka. Pooglądać, co robi jeden, drugi znajomy, a sami nic nie umieszczają, uznając niekiedy, że ich życie jest mniej ciekawe.

Ludzie za bardzo wierzą, że to, co widzą na FB, jest prawdą.

Ciągłe interesowanie się tylko innymi, zwłaszcza w przypadku młodego człowieka, może doprowadzić do obniżenia samooceny.

Na skutek porównywania się z innymi.

– Tak. Ale ci inni nie pokazują porażek, tylko same sukcesy, piszą o bardziej lub mniej podrasowanych osiągnięciach.

A nie ma takiego miejsca na FB, gdzie ludzie dzielą się także porażkami?

– Są, ale to margines. Wracając jednak do użytkownika, który tylko obserwuje sukcesy innych, można powiedzieć, że on obrywa „pasmem szczęścia" innych ludzi. I kiedy sam przychodzi do domu zmęczony, nie wyszło mu w pracy, ma problemy osobiste, a potem otwiera Facebooka i widzi, że innym wszystko się udaje – myśli, że z nim coś jest nie tak. A to iluzja. Ludzie za bardzo wierzą, że to, co widzą na FB, jest prawdą.

Ale chyba FB ma też pozytywną stronę. Można dzięki niemu czegoś się nauczyć, opanować nowe umiejętności, np. kontaktowania się z innymi.

– Nie chcę demonizować Facebooka. Bo sposób podchodzenia do zamieszczanych tam treści i negatywne konsekwencje to jedno. Ale znam sporo badań pokazujących drugą stronę medalu – jak korzystanie z FB pomaga np. w wyjściu z samotności, daje mniej lub bardziej iluzoryczne, ale wsparcie społeczne. Jeżeli ktoś się zdecyduje napisać na FB, że coś złego mu się przydarzyło, spotkała go tragedia, źle się czuje, ma kłopot i podzieli się tym, zawsze dostanie jakąś odpowiedź. Choćby: „jesteśmy z tobą", „jest nam przykro", „jesteśmy z tobą myślami". To daje wsparcie.

Opuszczenie FB to trudny krok, zwłaszcza dla nastolatków.

Bo panuje niepisana zasada, aby się wspierać.

– Tak. Jeśli 50 osób napisze: „Trzymaj się, jesteśmy z tobą", dla niektórych będzie to większe poczucie wsparcia niż telefon od jednej bliskiej osoby. Rozmawianie o FB jest więc wchodzeniem na grząski grunt, bo każda jego wada może być przekuta w zaletę i odwrotnie.

Z jednej strony, mówi się, że nadmierne korzystanie z FB i innych portali społecznościowych wpędza w samotność, bo oducza prawdziwych kontaktów. Z drugiej – dla niektórych takie miejsce to lek na ich izolację społeczną. Gdyby pan chciał mnie zachęcić do korzystania z FB, jakich argumentów by użył?

– Kiedyś z moim kolegą Marcinem Szulżyckim zrobiliśmy dwukrotnie badanie, w którym sprawdzaliśmy typy użytkowników Facebooka. Udało nam się wyróżnić grupy ludzi na podstawie konkretnych zachowań. Jedną nazwaliśmy facebookowymi celebrytami, drugą świadomymi autoprezenterami, była też grupa graczy, którzy mają zainstalowane różne gry na FB. Odkryliśmy również pokaźną grupę poszukiwaczy informacji. Dla tych ostatnich Facebook nie jest przestrzenią, w której ludzie muszą opowiadać znajomym pięć razy dziennie, co robią, jaką kawę piją i gdzie siedzą. Mogą go natomiast potraktować jako zbiór wiedzy o pewnej grupie ludzi lub wydarzeniach, które się dzieją na świecie. Tak bym panią zachęcił do aktywności na FB.

To propozycja dla kogoś, kto nie ma ochoty wiązać się emocjonalnie z tym miejscem.

– Kto traktuje je po prostu jako jedną ze stron internetowych z różnymi informacjami. I to jest zdrowe podej-

FOT. CENTRUM PRASOWE UNIWERSYTETU SWPS, EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

ście. Nie dajmy się wciągać w gonitwę za popularnością, za lajkami.

Nie rozumiem tego informowania non stop, jaką ktoś pije kawę. Zastanawia mnie, kim są ci, którzy codziennie na FB fotografują kawę, swoją codzienność i pokazują ją innym. Jaka potrzeba za tym stoi? A może to ekshibicjonizm?

– Może trochę... Andrzej Stasiuk napisał kiedyś w felietonie, co robimy w internecie, o kompulsywnym wysyłaniu zdjęć z codzienności, i nazwał to „wysyłaniem dowodów na istnienie". Bardzo trafne ujęcie. To może trochę neurotyczne zachowanie, ale w wielu sytuacjach prawdziwe. Widzę od razu zalęknionego człowieka, który się boi bardzo wielu rzeczy: samotności, braku akceptacji, depresji. Z jednej strony, są to przesycone lękiem mechanizmy zwracania na siebie uwagi. Ale z drugiej – dla człowieka w tym konkretnym momencie uzyskanie aprobaty może być ratunkiem.

I paliwem do życia.

– Właśnie. Powiedzenie takim ludziom, że to jest złe, bo nie należy w ten sposób się komunikować, byłoby nieodpowiedzialne. Bo oznaczałoby to pozbawienie ich szansy na wejście w jakieś relacje, ponieważ oni nie wyjdą z domu do pubu i nie podejdą tam do nieznajomych. Są zbyt nieśmiali, a komunikacja na Facebooku pozwala osłonić się wirtualnym parasolem bezpieczeństwa.

Co pan myśli o ogromnej liczbie znajomych u niektórych facebookowiczów?

– Brytyjski psycholog i antropolog Robin Dunbar z Oksfordu wykazał w badaniach, że człowiek może utrzymywać stały kontakt maksymalnie ze 150 osobami. Kilkuset znajomych na FB, czy tysiąc, to zazwyczaj tylko przypadkowe kontakty. W moim przekonaniu dużym niebezpieczeństwem dla dzieci, które dorastają z portalami społecznościowymi, będzie zmiana pojęcia znajomy. Ludziom zacznie się mylić, kto jest przyjacielem, a kto przypadkowym znajomym. Właściwie już obserwujemy początki tego zjawiska. Najgorzej mają nastolatki, kompletnie nieprzygotowane do relacji w wirtualnej rzeczywistości, którą niby znają od urodzenia. Na lekcjach informatyki uczą się bowiem tylko obsługi komputera, a nie dostają żadnej wiedzy o internecie jako przestrzeni społecznej. Sama specyfika komunikacji internetowej oraz to, że komunikujemy się przez ekran komputera, przez smartfona, sprawia, że myślimy o drugiej osobie w sposób bardziej powierzchowny i w ogóle nie traktujemy jej serio.

Łatwiej wtedy kogoś skrzywdzić, zranić.

– Albo przejść obok. Nawet jeśli zaobserwujemy na forum internetowym, że jakiś internauta pada ofiarą agresji – np. widzimy obelżywy komentarz skierowany do kogoś, niewiele osób zareaguje, choćby pisząc wspierający komentarz typu „nie przejmuj się tym".

Dlaczego tak się dzieje?

– Wynika to z badań nad tzw. rozproszeniem odpowiedzialności. To jeden z bardziej przygnębiających obszarów badań psychologii społecznej, gdzie okazuje się, że im więcej osób obserwuje jakiś wypadek, krzywdę, tym mniej zareaguje. Bo każdy myśli, że ktoś inny to zrobi, a „ja się śpieszę".

Tak jak w realnym świecie.

– Jeśli wchodzimy na stronę i widzimy chamski komentarz, to mając świadomość, że widzi go jednocześnie kilka tysięcy ludzi, opuszczamy to miejsce, nie chcąc sobie zawracać tym głowy. Agresywnych hejterów w internecie nie jest dużo, maksymalnie kilka procent, a mówi się, że agresja jest wszechobecna. Nie jest wszechobecna – jest dopuszczalna. To, że inni nie reagują, sprawia, że będzie nam się wydawało, iż hejtu jest masa.

Czego więc powinno się uczyć dzieci?

– Na pewno czegoś takiego, że cyfrowa krzywda boli tak samo jak ta doznana w rzeczywistości, poza komputerem, czyli naprawdę. Jeśli kogoś obrazimy w internecie, to tak, jakbyśmy mu to powiedzieli w oczy. Poza tym powinno się uczyć zasad korzystania z internetu, bo na razie panuje tam anarchia – każdy może robić to, co chce. Jeśli nie przyjmiemy jakichś norm zachowania, to się w przyszłości zemści.

Kim są ludzie, którzy robią karierę dzięki internetowi, bez którego nic by nie osiągnęli? Mam na myśli twórców blogów, na których się zarabia niesłychane pieniądze, albo pojawiające się nagle gwiazdy piosenki. Na czym polega ten fenomen?

– To jest kwestia ostatnich 15 lat, od kiedy mamy tzw. Web 2.0, portale społecznościowe, blogi itp. Odtąd każdy może stać się twórcą, nadawcą, producentem treści, autorem. Żeby zaistnieć w internecie, mógłbym tylko wyjąć telefon, nakręcić filmik i zamieścić go na YouTube. Jeżeli byłyby sprzyjające okoliczności, obejrzałoby go kilka milionów. Prawda, że to nietrudne? A dawniej musiałbym pójść do telewizji, wygrać jakiś casting na własny program, a i tak obejrzałoby mnie może kilkanaście tysięcy widzów. Dzięki internetowi możemy docierać do ludzi bez telewizji, i to do większej liczby odbiorców. Pytanie, czy ludzie z jakiegoś powodu sławni będą potem umieli udźwignąć tę sławę, co z nią zrobią. Znam przykłady osób, które pogubiły się w pogoni za kolejnym tysiącem wyświetleń.

Czy osoby robiące karierę dzięki sieci mają jakąś szczególną cechę, która współgra z internetem?

– Na pewno trzeba być otwartym na innych, mieć poczucie, że ma się coś do powiedzenia. A potem to szybka sprawa – kręcimy filmik i wrzucamy do sieci. Nie trzeba nad tym pracować, poświęcać czasu na montaż. Dlaczego jedni to robią, a drudzy nie – jednoznacznej odpowiedzi nie mam. Tak czy inaczej, teraz wszyscy mają równe szanse.

Barbara Jagas

Hejt nie jest wszechobecny – jest dopuszczalny.

Cyfrowa krzywda boli tak jak ta w rzeczywistości.

Teraz w internecie wszyscy mają równe szanse na karierę.

eprasa.pl 1cd478a4a0

Czereśnie nie doczekały reformy

Edward Mikołajczyk

Uwiodła mnie Sławka pyszną anegdotą o swoim przełożonym z czasów „Wielkiej gry". Otóż postanowiła kiedyś zarządzić eliminacje do programu, to znaczy egzamin połączony z castingiem, na temat „Gady dawniej a dziś". A było to przed jakimiś wyborami. „Zmień ten temat – zaordynował przytomnie jej kierownik – bo gady będą się kojarzyć".

Stanisława Ryster, dla koleżanek i kolegów z korytarza TVP Sławka – od początku kariery telewizyjnej życzyła sobie, by tak się do niej zwracać. I do dziś nie zmieniła zdania, choć z latami ze Sławki zrobiła się prawdziwa Sława. Nawet z TVPiS dzwonili do niej, czy nie podjęłaby się reaktywacji głośnego programu z ostatniej ćwierci XX w., ale odpowiedziała im, że nie.

Nie jest powiedziane, że w TVPiS nie ma „Wielkiej gry", dlatego że Sławka odmówiła. Potraktujmy jednak ten domysł raczej jako komplement należny gospodyni kultowego *show*. Z rzeczywistością nie musi mieć nadmiernego związku, bo nie po to PiS runęło na telewizję jak na Pałac Zimowy, żeby kogokolwiek bądź cokolwiek uszanować z dziedzictwa kulturowego, obciążonego grzechem pierworodnym.

Domyślam się, dlaczego nie ma „Wielkiej gry", czyli poważnego turnieju wiedzowego w telewizji publicznej, ale co tydzień odkładam ten temat z powodu nadmiaru innych pokus, jeszcze poważniejszych od gadów dawniej a dziś. Tak też postąpię tym razem, bo właśnie się dowiedziałem, że nie będzie w tym roku czereśni – na deszczu i mrozie zmarniały kwiaty i cicho się zrobiło w ulach. Czyż nie jest to sprawa pilniejsza?!

Był na początku transformacji ustrojowej w Polsce tak suchy rok, że w Sejmie modlono się o deszcz. Nie pamiętam, z jakim skutkiem, ale chyba wymodlonym, bo jako naród przeżyliśmy i nikt nie ruszył ze stadami na soczyste trawy Ukrainy. Sława naszego parlamentu rozniosła się wtedy po całej Europie szybciej niż za króla Stasia po uchwaleniu Konstytucji 3 maja.

Teraz, przy tych czereśniach, najwyraźniej zabrakło nabożeństwa. Być może z jakąś supliką udał się do kościoła nasz prezydent. Gorzej, że zaniedbał inny obowiązek. Podpisał ustawę o ubezpieczaniu sadów w ostatnim regulaminowym terminie, kiedy już było po pszczołach. A co będzie, jeśli zdarzy się np. (w tym momencie spluwam za siebie trzy razy przez lewe ramię) powódź?

Zanim nasz samodzierżca ogłosi, że to wina Tuska, przypomnę tu pewne doświadczenie z „Mostu na Drinie", powieści jugosłowiańskiego laureata Nagrody Nobla, Ivona Andricia. Otóż pop Jovan w bośniackim Wišegradzie (nie mylić z węgierskim Wyszehradem) miał takiego pecha, że ilekroć modlił się o deszcz, przychodziła jeszcze większa spiekota, a kiedy błagał niebo, żeby ustały ulewy, Drina występowała z koryta. Aż kiedyś, podczas powodzi, jakiś odważny, bo zamroczony rakiją, wierny poprosił go o modlitwę o deszcz, skoro Pan Bóg wysłuchuje go na odwrót.

Podczas największej powodzi w roku 1696, kiedy Drina, podniesiona o prawie 10 m, przelała się przez słynny, wtedy mający już dobrze ponad 100 lat, kamienny most, trzej przywódcy religijni miejscowej społeczności „odprawili" tak ekumeniczne, że aż świętokradcze nabożeństwo. Usiedli w jednej izbie, razem ze starszyzną turecką, chrześcijańską i żydowską, z mocnym postanowieniem, że nikt nie powie słowa o nieszczęściu za oknami, w dolinie rzeki. Przez całą noc, popalając przy kawie i podgrzewanej rakii, opowiadali zabawne historie, owszem, związane z jakimiś powodziami, ale jakże nieważnymi w porównaniu z obecną.

Stanisława Ryster: Kiedyś trafiłam na „Wiadomości". I jakbym była w innym świecie.

Ismet efendi wspominał, jak kiedyś dwóch wišegradzkich hodżów odprawiało modły nad rozlaną rzeką. Zaczął ten, który mieszkał na górze, w bezpiecznej części miasteczka, ale ponieważ woda w dalszym ciągu nie ustępowała, jakiś biedny Cygan, którego dom stał w wodzie, zażądał, aby dopuścić do głosu drugiego hodżę, który także ma już wodę w domu. „Nie widzicie – krzyknął do ludzi – że ten z góry modli się półgębkiem?!".

„Nie wspominajcie zanadto modlitw związanych z powodzią – odezwał się na to rabin Eliasz Lewi – bo jeszcze coś może wiernym strzelić do głowy i każą nam w taką pogodę wyjść z izby i zawrócić nurt".

Wody Driny opadły po dwóch dniach i nie zabrały mostu. A ten nocny dramat, który zamknął mądrych i pięknych ludzi, że użyję terminu pożyczonego od Andricia, w fantastycznym kręgu, nabrał mocy jakiejś nieistniejącej świętej księgi.

I już wiem, co mnie dzisiaj pognało z telewizji do kazby nad Driną. Stanisława Ryster powiedziała Małgorzacie I. Niemczyńskiej w „Dużym Formacie", że denerwuje się Polską i nie ma nerwów do TVP. „Kiedyś trafiłam na »Wiadomości« – powiedziała Sławka. – I jakbym była w innym świecie. Nie dość, że oni wszyscy kłamią, to jeszcze są brzydcy". ■

FOT. ADAM JAGIELAK/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

JAK ZOSTAŁEM WROGIEM LUDU

Awantura o zakłócenia w emisji sygnału TVP

Witold Graboś

Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany. (Franz Kafka, „Proces")

Wrogiem ludu zostałem dokładnie 19 grudnia 2016 r. Jechałem tramwajem, odebrać wnuka z przedszkola, gdy zadzwonił telefon: – Przeczytaj – mówił kolega – piszą o tobie. Trochę mnie to zdziwiło, bo przed kilkoma miesiącami skończyłem kadencję w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji i nie uczestniczyłem w żadnych politycznych ani publicznych imprezach, nie wypowiadałem się na żaden temat, nie rozmawiałem z dziennikarzami. Zawodowo byłem bezczynny. Co prawda, jeden z portali we wrześniu podał, że „do niedawna wiceprzewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, wraca do pracy w firmie EmiTel", ale nie wróciłem! Co więcej, nie byłem tam od sześciu lat i kilku miesięcy. Wieczorem otworzyłem portal wPolityce.pl, by zobaczyć moje kolorowe zdjęcie sprzed kilku lat, oficjalne, „prezesowskie". Tytuł zaczynał się sensacyjnie: „UJAWNIAMY"! A dalej: „Kluczowym rozgrywającym w spółce EMITEL, która (nie) nadaje sygnał TVP, jest Witold Graboś, człowiek bliski SLD i PO. (…) Jak informuje TVP Info, od momentu rozpoczęcia siłowej próby przejęcia władzy przez opozycję do milionów Polaków nie dociera, albo dociera z zakłóceniami, sygnał Telewizji Polskiej". Potem następowało wskazanie winnego: „Nasi rozmówcy podkreślają, że wedle ich opinii i doświadczenia słowo Grabosia jest w Emitelu i wokół niego rozstrzygające".

Utrzymując się w konwencji publikacji, żartowałem w korespondencji mejlowej z kolegą inżynierem, że ponoć widziano mnie podczas telewizyjnego wystąpienia pani premier, jak biegałem po masztach nadawczych z obcęgami. On zrewanżował się informacją, że w tym czasie wycinał nożycami część fali nośnej. Ale sprawa wyglądała poważnie. Nic nie robiąc i nie wiedząc, stałem się sabotażystą!

Nasza władza, o ile ją znam, a znam tylko najniższe służbowe stopnie, nie szuka winy wśród ludności, raczej wina sama przyciąga organa sądów, które je wówczas ścigają, jak mówi ustawa, i wysyłają nas, strażników. (…) Gdzie więc może tu zajść jakaś pomyłka?. (Franz Kafka, „Proces")

Dżin wypuszczony z butelki zaczął żyć własnym życiem. Prezes TVP Jacek Kurski poinformował, że zawiadomił o sprawie ABW i Rządowe Centrum Bezpieczeństwa. Zakłócenia sygnału telewizji publicznej zdarzyły się w dniach 17-19 grudnia 2016 r. Ale nieco wcześniej, 16 grudnia, miała miejsce awantura sejmowa połączona z blokowaniem mównicy. „To początek ataku zielonych ludzików. Zaatakowano krytyczną infrastrukturę i Sejm", informował Tomasz Sakiewicz na Twitterze. Maciej Pawlicki na portalu wPolityce.pl donosił: „Awaria zdarzyła się akurat wtedy, gdy występowała premier Beata Szydło. Nadająca sygnał TVP amerykańska spółka EmiTel roi się od pracowników komunistycznych służb. Mamy nadzieję, że polskie służby już wkroczyły do akcji, bo wygląda to na klasyczną operację ataku na państwo".

Wątpliwości nie pozostawiał też dokument Ewy Świecińskiej „Pucz" wyemitowany w połowie stycznia w telewizji publicznej: zakłócanie sygnału podczas wystąpienia pani premier to jeden z elementów zaplanowanego ataku na państwo z zamiarem przejęcia władzy.

Gdyby uparcie trzymać się tej logiki, to nie można wykluczyć mojego udziału w puczu. Nic nie robiąc i nie wiedząc, mogłem być puczystą?

W powieści George'a Orwella „Rok 1984" funkcjonuje Policja Myśli – organ podporządkowany Ministerstwu Miłości. Kontroluje ona także „myślozbrodnie".

W zacietrzewieniu sporu politycznego nie ma miary. TVP Info publikuje skargę Tomasza z Podkarpacia, w istocie Rafała Madajczaka, szefa satyrycznego portalu ASZdziennik.pl, który wypomina, „że sygnał TVP zanika zawsze przy końcu wypowiedzi przedstawiciela rządu". Jak wyjaśnia, testował, „jakie głupstwo telewizja Samuela Pereiry przyjmie".

Nowością w sporze jest publikacja Agnieszki Kublik „Pucz zaczął się na Woronicza 17" w „Gazecie Wyborczej". Autorka przytacza wypowiedź członka Rady Mediów Narodowych Juliusza Brauna, który informuje, że już następnego dnia po wystąpieniu zakłóceń okazało się, że do awarii doszło w budynku TVP, w obiekcie, do którego dostęp mieli nie tylko pracownicy operatora, ale także telewizji publicznej!

W tej wersji to nie ja uszkodziłem urządzenia nadawcze, ale prezes Kurski lub jego ludzie. Po to, by ujawnić wraże siły zagrażające porządkowi państwa, który w ogóle nie jest możliwy bez telewizji publicznej pod jego kierownictwem.

FOT. PUDELEKX.PL

eprasa.pl 1cd478a4a0

Na tym nie koniec. Andrzej Gajcy na Onecie w publikacji „Oni stoją za narracją o puczu. Powrót starych spin doktorów PiS" wskazuje twórców medialnej koncepcji przewrotu. A są nimi Jacek Kurski i Adam Bielan. Adam Bielan dementuje te rewelacje dość przekonująco, nie ma to jednak większego znaczenia. Zasada, że można wskazać każdego, bazując na domysłach lub złej woli, działa. Głupota ściga głupotę!

Dla młodych hunwejbinów wystarczającym grzechem była zachowawcza przyzwoitość ich nauczycieli. A że „dni wrogów były policzone", wszelkie metody walki z nimi były dopuszczalne: kampanie publicznych oszczerstw, bicie, tortury, grabieże.

W całej tej awanturze związanej z zakłóceniami w emisji sygnału telewizji publicznej zapotrzebowanie na prawdę było nikłe czy wręcz żadne, bo mogła zburzyć misternie tkaną intrygę. Już 20 stycznia, kilka dni po zdarzeniu, dyrektor Jarosław Niechcielski z EmiTela wyjaśniał, że „w toku awarii wykluczono możliwość działania osób trzecich, w tym ataku cybernetycznego oraz fizycznej ingerencji w urządzenia nadawcze – zarówno w obiektach należących do TVP, jak i infrastruktury nadawczej EmiTela".

Z nieoficjalnych informacji wynika, że zawiodły kilkuletnie urządzenia renomowanego dostawcy sprzętu. Takie ponoć są ustalenia grupy ekspertów badających przyczynę zaniku sygnału w kilku rejonach kraju. By je poznać, zwróciłem się do stojącego na czele zespołu doc. Jacka Cichockiego o udostępnienie ekspertyzy. Wyjaśniałem, że jako ofiara obrzydliwej intrygi chciałbym znać prawdę, z której skorzystam tylko w zakresie niezbędnym, w przypadku potrzeby ochrony mojego dobrego imienia. Doc. Cichocki z przykrością wyjaśnił, że właścicielem raportu jest operator, który zdecydował się udostępnić go jedynie organom państwa.

Prawda jest już znana organom państwa. Nie znają jej jednak obywatele tego państwa, karmieni przez długi czas bzdurami. Im pozostaje mgła niedomówień, pomówień, intryg.

Pawlik Morozow, który na początku lat 30. zadenuncjował swojego ojca, bo miał on fałszować dokumenty i „sprzedawać bandytom i wrogom państwa radzieckiego", przeszedł do historii jako ikona moralności radzieckiej. O jego tragicznym ojcu wiemy niewiele.

Radziecki kodeks karny z tamtych czasów kodyfikował obrzydliwą praktykę donosów. Niedoniesienie w sprawie czynów kontrrewolucyjnych, pomocy międzynarodowej burżuazji, antysowieckiej propagandy było przestępstwem.

Sensacyjną informację wPolityce.pl ujawniającą mój rzekomy udział w sabotażu – i chyba puczu – podała za portalem Polska Agencja Prasowa, powołało się też na nią kilka innych mediów, czasami z nutą dystansu lub ironii. Sensacja była chyba zbyt niedorzeczna, ale…

W mediach funkcjonuje mechanizm uprawdopodobniania nawet najbardziej niedorzecznej informacji. Wraz z liczbą jej przytoczeń przez różne stacje, portale, tytuły zamazuje się pierwotne jej źródło, gubią niecne intencje i następuje rzekoma obiektywizacja. Nawet krytyczni odbiorcy dopuszczają, że coś może być na rzeczy.

Ofiary medialnych pomówień muszą się liczyć z ostracyzmem instytucjonalnym, społecznym i towarzyskim. To rodzaj społecznej stygmatyzacji – właściwy cel wielu intryg i pomówień.

Jako dziecko zastanawiałem się, dlaczego stado antylop gnu zaatakowane przez lwy ucieka do chwili, gdy jedna z nich pada ofiarą napastników, i nie próbuje jej pomóc. Być może wynika to z prostej kalkulacji, że taka jest cena za chwilę spokoju, do czasu, gdy inna antylopa podzieli los poprzedniczki. Teraz doświadczam tego atawistycznego zachowania w życiu społecznym. Tyle że akceptacja medialnych nagonek i łowów bez zasad sprawia, że nikt nie może się czuć bezpieczny!

Autorzy intrygi mają się – jak dotąd – chyba dobrze. Być może w czas wielkanocny uzyskali rozgrzeszenie i w duchu pojednania przystąpili do komunii świętej.

W szukaniu winnych zakłóceń emisji sygnału TVP prawda była niepotrzebna. Mogła zburzyć misternie tkaną intrygę.

Autor był senatorem III kadencji, dwukrotnie wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

NAGRODA SAMORZĄDOWA im. NORBERTA BARLICKIEGO za rok 2017

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- **Samorząd miejski.**
- **Samorząd powiatowy.**
- **Samorząd województwa.**
- **Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.**

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- **Jednostka samorządu terytorialnego.**
- **Organizacja pozarządowa.**
- **Firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.**

Zgłoszenia kandydatur można składać do 30 czerwca 2017 r., pocztą, na adres: Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 WARSZAWA lub elektronicznie na adres: zarzad@stowarzyszeniero.pl
Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego w poszczególnych kategoriach zostanie przyznana przez Kapitułę Nagrody pod przewodnictwem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.
Więcej informacji można znaleźć na stronie: www.stowarzyszeniero.pl.

Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska

Jan Kazimierz Czubak
Sekretarz Zarządu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

eprasa.pl 1cd478a4a0

Rozmawia Tomasz Miłkowski

GRAJ, JAKBYŚ BYŁ DEBIUTANTEM

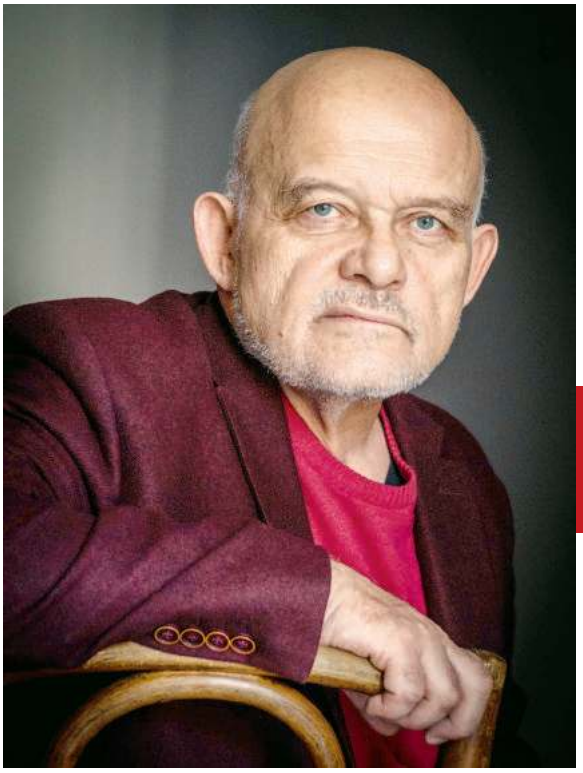

Żyjemy w czasach, w jakich żyjemy. Niczego dziś nie jestem pewien

ADAM FERENCY

– aktor filmowy i teatralny, reżyser spektakli, od lat związany z warszawskim Teatrem Dramatycznym.

Jest pan przed premierą spektaklu opartego na „Dzienniku" i „Drugim dzienniku" Jerzego Pilcha, w którym nie tylko pan gra, ale i występuje w roli reżysera. To rzecz dość wyjątkowa u pana. Reżyseruje pan od święta.

– Rzeczywiście reżyseruję bardzo rzadko, bo to mnie strasznie dużo kosztuje. Widzę, że teraz też tak będzie, chociaż reżyseria jest w tym przypadku mocnym słowem, bo spektakl, o którym pan mówi, to skromna, dwuosobowa forma. Bez rekwizytów, z niczego… Chcemy zrobić taki czysty teatr słowa Pilchowego na dwoje aktorów i dwa stołki. Jeszcze na ekran wideo i z dużą ilością muzyki, którą specjalnie do tego pisze Piotr Łabonarski.

Reżyseruje pan dlatego, że to Pilch?

– Fascynuję się Pilchem od dawna. Lubię jego frazę, poczucie humoru, w dodatku to mój rówieśnik, no, może trochę ode mnie młodszy. Jego ojciec miał na imię Władysław i mój też, on i ja mamy mocną skłonność do napojów wyskokowych i pewne zainteresowanie płcią odmienną. Tak więc dużo jest wątków wspólnych, ale ja tylko tak się podwiązuję pod niego. Pilch, kiedy czytałem fragmenty jego pierwszego „Dziennika", był zadowolony z tego czytania. Już po pierwszym „Dzienniku" chciałem zrobić scenariusz, ale nie mam do tego drygu, nie umiałem tego napisać. Po „Drugim dzienniku" byłem już pewien, że powinien powstać jakiś scenariusz. Najpierw myślałem o czytaniu fragmentów, ale potem pomyślałem o przedstawieniu. Udało mi się zarazić pomysłem młodą autorkę Magdę Kupryjanowicz, która napisała scenariusz. Spodobał się Pilchowi, no i teraz przekuwamy go w skromne przedstawienie na dwie osoby.

To kolejny dowód na to, że lubi pan podejmować jakieś próby poza macierzystym teatrem. W gruncie rzeczy jest pan bardzo wierny, prawie całe życie w jednym teatrze! Teatr na Woli, w którym pan zaczynał, za pierwszej dyrekcji Tadeusza Łomnickiego, jest teraz Sceną na Woli Teatru Dramatycznego, z którym jest pan związany od lat.

– 23 lata jestem już w firmie Dramatyczny. Rzeczywiście mało skaczę, ale kiedy tak się dzisiaj popatrzy… Co jakiś czas nachodzi mnie refleksja: może powinienem gdzieś się ruszyć? I zaraz pytam: ale gdzie? To nie jest tak, że są oczywiste adresy, gdzie chce się pójść. Choruję na taką psychiczną chorobę, nie wiem, jak ona się nazywa, ale ja nie lubię podróży. To może rzadkie, ludzie na ogół lubią podróżować, ale ja nie bardzo.

Tak jak i ja. To znaczy bardzo lubię podróże, pod warunkiem że one do mnie przyjeżdżają.

– Jestem tym samym typem. I pewnie z tej choroby bierze się brak przenosin z teatru do teatru. Na stałe byłem zaledwie w trzech teatrach w swoim życiu, ale też z kilkoma teatrami trochę zadzierałem. Pracowałem i w Gdyni, i w Białymstoku, i we Wrocławiu, i w Krakowie, a więc czasami się ruszałem…

Wyskakiwał pan na chwilę.

– Wyskakiwałem, żeby wracać. Z Pilchem to też jest taki „wyskok", niezależna produkcja. Wszystko oczywiście w rękach publiczności. Liczę bardzo na to, choć może się przeliczę, że z tym moim Pilchem trafię pod strzechy. Marzenie mam nieskomplikowane: wkładam to moje przedstawionko do samochodu i jadę, gdzie mnie zaproszą. Mam za sobą takie doświadczenia. Jeździłem po Polsce z przedstawieniem „Blackbird" z Julią Kijowską i bardzo mnie to wciągało. Lubię tę formę – gdzieś się jedzie, ustawia na miejscu te swoje graciki i po prostu się gra. Chciałbym bardzo tego Pilcha grać po Polsce, ale to wszystko w rękach ludzi, którzy mnie zaproszą.

Skoro tak, nasuwa się pytanie o publiczność. Od ponad 40 lat widujemy pana na scenie. Nie pytam, jak się w tych latach zmieniła sztuka aktorska, bo to widzimy, ale o widzów. Bardzo się zmienili? To cztery dekady, nawet inne ustroje, czy to się odczuwa na scenie?

– To ciekawe, o co pan pyta. Ludzie bardzo się zmienili, ale ja to widzę głównie na ulicy, w jakichś społecznych zachowaniach. W teatrze

eprasa.pl 1cd478a4a0

– raczej nie. Teatr pozostaje prawdopodobnie takim magnesem, który przyciąga specyficzną grupę ludzi. Powiedzmy, że ci, którzy przychodzą do teatru, to są jacyś wybrańcy. Bo inni siedzą przed telewizorem. Jednak coś się zmienia. Najwyraźniej to widać po młodych ludziach – oni są wychowani mniej na literaturze, a bardziej na obrazach, to znaczy na telewizji, filmach itd. Inaczej odbierają czas, potrzebują teatru innego niż my. Nie interesuje ich taka opowieść jak w XIX-wiecznej literaturze, w której musi być początek, rozwinięcie...

Jakaś historia...

– Jakaś historia jest opowiedziana. A oni bardziej potrzebują takich rzeczy czy przeżyć, które się tworzą z mozaik. Sami je sobie lepią, montują te fragmenty, łączą to, co jest roztrzepane, rozchwiane. Takie są teraz czasy i teatr idzie w tym kierunku, czyli w stronę teatru postdramatycznego, jak go czasami nazywają. Teatr postdramatyczny taki właśnie jest: żywi się kontekstami, nie opowiada historii wprost, choć zawsze jakąś historię z tego można wyłuskać, ale to nie jest taka opowieść, jak dawniej opowiadało się dziecku. Bajkę mu się mówiło od a do zet. Sam lubię takie historie od a do zet, w jakimś sensie moja opowieść na podstawie tekstów Pilcha też będzie od a do zet. Bo jednak ma pewną fabułę.

Mimo że jest zbudowana z materiału niefabularnego?

– Nawet bardzo niefabularnego, bo to przecież dzienniki, a więc jakieś skrawki, strzępy, ale Magdzie Kupryjanowicz udało się stworzyć z tego pewną historię. Choćby dlatego, że występują w niej dwie osoby, że jest stary mężczyzna, jak ja, i młoda kobieta, jak Joasia Kosierkiewicz, z którą to gram, i to już jest zaczątek jakiejś fabuły…

Możemy się domyślać jakiej i jakich emocji.

– Też tak myślę, ale nie będę jej opowiadać.

Wobec tego może pan opowie o swoich związkach z reżyserami? Łatwo zauważyć, że powstają u pana takie szczególne relacje, pewni reżyserzy za panem „chodzą". Ostatnio zauważyłem nowy związek tego rodzaju. Myślę o Wawrzyńcu Kostrzewskim. Czy to przypadek, czy was do siebie ciągnie? W Dramatycznym zagrał pan u niego kilka ważnych ról.

– Startowaliśmy „Cudotwórcą" Briana Friela na małej scenie Dramatycznego, to był początek naszego „romansu". Zawsze lubiłem pracę z młodymi reżyserami. Interesuje mnie, jak młodzi ludzie myślą, jak patrzą na świat. To też ucieczka od własnej starości, która tak człowieka męczy. Od samego początku okazało się, że Wawrzyniec jest człowiekiem, reżyserem w typie, który ja lubię. Przede wszystkim jest ugodowy, taki do rozmowy, można z nim wspólnie dochodzić do różnych rzeczy. Nie potrzeba się kłócić ani strasznie emocjonować. On jest spokojnym człowiekiem i ja jestem spokojnym człowiekiem – i udaje nam się dobrze dogadywać. Chociaż mieliśmy taki moment, może po drugiej wspólnej sztuce, chyba po „Rzeczy o banalności miłości" Savyon Liebrecht w roku 2014…

Lubię tę formę: gdzieś się jedzie, ustawia na miejscu swoje graciki i po prostu się gra.

Grał pan Martina Heideggera.

– Wtedy powiedzieliśmy sobie: nie, nie, dość. Robimy teraz przerwę.

Dlaczego? Przedstawienie było bardzo udane.

– No właśnie. Za przewidywalnie nam szło. Już tak się poznaliśmy, że wszystko wiemy. Ale okazało się, że bardzo trudno wziąć taki rozwód, dlatego że on mi proponuje zadania dla mnie interesujące, a jednocześnie myśli o mnie, że mu się do tych rzeczy nadam. Nie wykluczam, że to będzie związek na jakiś czas. Jego telewizyjne „Listy z Rosji", w których zagrałem cara, potwierdziły moją intuicję (to było nasze drugie przedstawienie telewizyjne, przedtem była „Walizka"), że Wawrzyniec jest szalenie utalentowanym reżyserem teatru telewizji. Doskonale czuje materię telewizji. Jako reżyser telewizyjny ma wielką przyszłość, o ile tam w ogóle jest jakaś przyszłość.

Co ja będę myślał, nikogo nie obchodzi.

Miejmy nadzieję, że jest.

– Nie jestem tego pewien.

„Listy z Rosji" przypomniały, jakie możliwości kryje forma teatru telewizyjnego, może to jednak na nowo stworzy apetyt na teatr małego ekranu.

– Adaptacja listów Astolphe'a de Custine'a to pokazała. Ale żyjemy w czasach, w jakich żyjemy. Niczego dziś nie jestem pewien.

Skoro mówi pan o pewnej słabości do młodych reżyserów, warto przypomnieć pańską więź z Krzysztofem Warlikowskim, która zaczęła się od Szekspirowskiego „Poskromienia złośnicy" (1998), potem potwierdziła pańskim wejściem do obsady jego „Burzy" miesiąc przed premierą, co graniczyło z szaleństwem. I ostatnio aż trzema rolami w jednym przedstawieniu, czyli „Opowieściami afrykańskimi" (2011), w których zdążył pan być jednego wieczoru Otellem, Shylockiem i Learem… Czyli trzech Szekspirów przerobionych „po warlikowskiemu". Pan się nie boi ryzyka, jak widać.

– Ryzyko z Warlikowskim może było przy „Poskromieniu złośnicy", bośmy się nie znali, ale dzisiaj to już jest światowy klasyk. Trochę żartuję, bo przecież zawsze jest ryzyko artystyczne. Nie ukrywam, że język teatru Krzysztofa Warlikowskiego to nie mój język. Ja jestem bardziej staromodny.

Właśnie to chyba pana do niego przyciąga.

– To jest zawsze bardzo ciekawe spotkanie, poza tym mam do niego wielką sympatię. Jeśli on mnie wzywa, nawet w trybie tak nagłym jak w przypadku „Burzy", to idę, choć to rzeczywiście było szaleństwo.

A czy nie była szaleństwem pańska współpraca z Antonim Liberą, reżyserem uważanym przez niektórych za potwora? W tym sensie, że jako ochotniczy strażnik spuścizny Becketta nie pozostawia aktorowi żadnego pola manewru. Wszystko ma być zrobione dokładnie tak, jak to zapisał Samuel Beckett. A pan z Liberą sporo tych Beckettów zrobił. Jak pan to wytrzymał?

– Po pierwsze, Antoniego znam wiele lat. Po drugie, Beckett nie jest chętnie robiony przez młodych ludzi, którzy lubią rozwalać teksty, majstrować, dekonstruować. A Beckett jest trudny do „rozwałki".

eprasa.pl 1cd478a4a0

Bo wtedy nic już nie zostaje…

– No właśnie. On jest taki matematyczny, a więc warto go słuchać. Antek – jak żartobliwie mawiam – ma ciągle bezpośredni telefon do Becketta, jest na łączach z nim, był jakiś czas temu jego asystentem, i on wie, co i jak Beckett chciał powiedzieć. Nie wszyscy wprawdzie tak uważają, ale Antoni Libera jest na pewno o tym przekonany. Ja lubię taką matematykę. Trochę mnie tylko dziwi, że Antoni robi tak dużo tych samych przedstawień. Teraz znowu z Andrzejem Sewerynem robił „Krappa". Widzę na fotografiach, że jest dokładnie tak samo jak wcześniej z Tadeuszem Łomnickim.

Trochę to inne przedstawienie…

– Tak? Mnie jednak dziwi, że wciąż mu się chce robić to samo przedstawienie. On twierdzi, że tak samo jest z dyrygentami, którzy np. robią z jedną orkiestrą V symfonię i z drugą orkiestrą V symfonię itd., że prowadzą ten sam utwór z różnymi wykonawcami. Libera uważa, że z Beckettem jest jak z muzyką. Może tak jest. Lubiłem grać w jego reżyserii, rozumiałem, co do mnie mówi. Natomiast sam Beckett był do tego stopnia trudny, że „Końcówkę" (1997) musiałem przestać grać, mimo że publiczność chciała na nią przychodzić. Po spektaklu bardzo trudno mi było wrócić do cywila. To znaczy wychodziłem z teatru i nie do końca pozbywałem się roli – i ten garb był coraz bardziej dokuczliwy. I coraz bardziej czułem to na sobie. W końcu podjąłem decyzję, że przerwę to granie, bo wydało mi się to dla mnie zbyt ryzykowne. Myślałem, że może skończyć się w szpitalu bez klamek, a nie byłem na to gotowy.

Opowieści afrykańskie

To, co robisz w teatrze, ma być efektowne. Nie efekciarskie, ale efektowne.

Trzy siostry

Aktor to zawód dużego ryzyka. Tego uczył pana Tadeusz Łomnicki? Czuje się pan jego uczniem? Może spadkobiercą?

– Prawdę powiedziawszy, nigdy się tak nie czułem – ani uczniem, ani tym bardziej spadkobiercą, bo nie miałem takich plenipotencji z jego strony. Miałem kilku nauczycieli i on oczywiście był bardzo ważny, był pierwszy i dosyć bliski. Pierwszy teatr, w którym pracowałem, Teatr na Woli, był przecież jego sceną, przez niego stworzoną, więc to był bardzo ścisły związek. Ale młody człowiek nie bardzo to zauważa. Jeślibym sobie zadał pytanie: „No dobrze, ale co z tego Łomnickiego można znaleźć w moim aktorstwie?", nie umiałbym tego nazwać. Ja go przypominam w jakimś stopniu przez to, że wyglądam, jak wyglądam, że jestem niski i kwadratowy. On też nie na darmo nosił pseudonim „Szkatuła", tak go cichcem nazywano z racji wyglądu, jak również bogatego wnętrza. Szkatuła, wiadomo…

…ma dużo szufladek…

– …i kryje skarby. Możemy podejrzewać, że tam są schowane jakieś precjoza. Nie umiem jednak powiedzieć, co z niego noszę. Bardzo energiczną moją profesorką była Ola Śląska. Dziś bardzo trudno to precyzyjnie nazwać, po przeszło 40 latach. Jedno zdanie, które mi powiedział Łomnicki, a nie powiedział tego żadnemu innemu studentowi, bo to było niepedagogiczne, utkwiło mi w pamięci. Nie wiem, czy to pan wydrukuje, bo to naprawdę bardzo niepedagogiczne: „Gówno mnie obchodzi, o czym ty myślisz, ma być efektownie". Zdanie bardzo niewychowawcze, bo wymyka się intelektowi, podważa procesy analizy roli, wymyka się metodom, ale w jakimś sensie jest to bardzo prawdziwe zdanie i bardzo pomocne. To, co robisz w teatrze, ma być efektowne. Nie efekciarskie, ale efektowne. Łomnicki lubił efekt. To zdanie pomaga podejść na nowo do każdej roli, tak jakbyś był debiutantem. Ma być efektownie, a co ja będę myślał, nikogo nie obchodzi. Dzisiaj na próbie Pilcha myślę co innego niż wczoraj i mam nadzieję, że jutro będę myślał co innego niż dziś.

Tomasz Miłkowski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AKPA (2)

eprasa.pl 1cd478a4a0

JUBILEUSZOWE TANGO

Grażyna Barszczewska obchodziła 70. urodziny na scenie Teatru Polskiego

Tomasz Miłkowski

Premierę „Niezatańczonego tanga" według prozy Wiesława Myśliwskiego przygotowała na swoje 70. urodziny Grażyna Barszczewska. Obchodziła je na Scenie Kameralnej warszawskiego Teatru Polskiego, a publiczność przyjęła jubilatkę owacjami na stojąco.

Matka odeszła. Teraz trzeba opróżnić mieszkanie. Wynieść stare meble, zdjąć fotografie, zabrać nikomu już niepotrzebne ubrania, buty, chusty, fajanse. Na koniec dywan i kapryśny adapter, który już właściwie nie działa, ale od czasu do czasu uruchamia się i wydobywa z głośnika dźwięki zapomnianych tang. Bo tango zawsze było skrywaną pasją Matki.

Syn metodycznie sprząta, czasem zatrzymuje się, a w głowie rozgrywa się mu spektakl. Jakaś chusta albo czółenka wywołują wspomnienia. Kartkuje stary zeszyt, w którym znajduje matczyne słowa, ślad minionych lat, a może pierwszych prób literackich.

Gratulacje Jubilatce złożył Andrzej Seweryn.

Matka wciąż w jego pamięci żyje. Narzeka, dunderuje, przemawia z czułością, troszczy się, niepokoi. Peroruje. Wspomina. Jak to matka. Syn nie odpowiada, choć ona wciąż usiłuje nawiązać z nim rozmowę. Tak naprawdę nie wiadomo, kto tu kogo słyszy i widzi. I co dzieje się realnie. Pewne jest tylko jedno – krok po kroku pokój pustoszeje.

Matka usiłuje chronić najcenniejsze pamiątki: starą ślubną fotografię, krwiste szpilki, w których kiedyś tańczyła, i winylową płytę. Wsłuchuje się w tony tanga. Na koniec pozostanie już tylko wypatroszone wnętrze, ale wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy Matka zostanie. Młodsza niż ta, którą była na początku. W miarę bowiem opróżniania wnętrza niemal niezauważalnie zmienia się z utrudzonej życiem starej kobiety w coraz bardziej energiczną i pełną wdzięku, zalotną dziewczynę. Kiedy zabrzmi ostatnie tango, ruszy w tan. Tańczyć będzie nie z Synem, ale z przyszłym mężem, który odszedł wcześniej.

Grażyna Barszczewska portretuje na scenie nieśmiertelną Matkę, która trwa przy swoim dziecku zawsze. Buduje ten portret, korzystając ze słów Wiesława Myśliwskiego. Sama ten kształt ulepiła, tworząc sugestywny spektakl, w którym dochodzą do głosu różne tony, napięcia, nastroje, emocje. I wzruszenia. Nie maluje obrazu cukierkowego – jej Matka jest realistką. Kobietą z marzeniami, ale jednocześnie zaradną panią domu, która owdowiała musi sama stawiać czoła trudom życia. Jej światłem zawsze pozostaje Syn, ale i ukochany mąż, i tango. Jedyne zdanie, jakie Syn w tym spektaklu wypowie, zaczerpnięte z powieści „Widnokrąg", będzie związane z tańcem: „Ludzie taneczni więcej potrafią zrozumieć jedne drugie".

Zaczyna się to tak: Syn upycha do plastikowego, czarnego worka stertę starych ubrań. Te w nieco lepszym stanie układa starannie w tekturowym pudle. Na staromodnym kredensie siedzi Matka. Nogi jej zwisają, wygląda na steraną kobietę. Dziwne to zachowanie, bo niezgodne z ładem świata. Matka siedząca na kredensie? To niemożliwe. A jeśli to duch Matki? Duch może usiąść, gdzie mu się zechce. Cóż to jednak za duch, który za chwilę wybuchnie złością na sklepową, która nie doważy mięsa, z każdej wagi coś uszczknie dla siebie. Zirytowana Matka gramoli się z trudem na podłogę. Świat jej nie rozpieszcza. Grażyna Barszczewska nie szczędzi uwagi, aby każde zachowanie Matki uwiarygodnić, nadać mu właściwe rysy, brzmienie, wyraz oczu. W jej grze obowiązuje ekonomia – środki są używane oszczędnie, ale odpowiednio wzmacniane czy osłabiane nabierają emocjonalnej barwy. W tej roli, tak jak w aktorstwie Barszczewskiej – jak trafnie zauważył Łukasz Maciejewski – „błyszczy inteligencja i dźwięczy niepokój". Kiedy wspominać będzie ostatniego sylwestra z mężem, w jej gestach i spojrzeniu wirować będzie roztańczony parkiet i rozżalenie, że mąż z nią wtedy nie zatańczył.

W tej roli, tak jak w aktorstwie Barszczewskiej, „błyszczy inteligencja i dźwięczy niepokój".

To właściwie jest monodram, z Matką jako bohaterką, ale monodram szczególny, bo z udziałem partnera. Dominik Łoś jako Syn ma niełatwą, niemą rolę. Swoje uczucia, reakcje może tylko pokazać, delikatnie zasugerować. Relacja między bohaterką spektaklu a obecnym na scenie świadkiem pozostaje niejednoznaczna. Prawie do końca nie dojdzie między nimi do bezpośredniego dialogu, nawet dotknięcia ręki. Dopiero pod koniec spektaklu, kiedy Syn, znużony wynoszeniem rzeczy po Matce, na chwilę zaśnie, Matka go obejmie. Przecież ze snów nigdy nie zniknie.

Piękny, mądry spektakl. Ręce same składają się do oklasków.

„Niezatańczone tango", scenariusz Grażyna Barszczewska na podstawie prozy Wiesława Myśliwskiego, reżyseria Leszek Bzdyl, scenografia Maciej Chojnacki, muzyka Paweł Szamburski i Patryk Zakrocki, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, Scena Kameralna im. Sławomira Mrożka, premiera 21 kwietnia 2017

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1cd478a4a0

Małgorzata Major

W roli agenta Coopera zabłysnął Kyle MacLachlan.

KTO ZABIŁ LAURĘ PALMER?

Powrót do Twin Peaks

Ledwie David Lynch i Mark Frost, zwracając się do widzów 3 października 2014 r. słowami: „Drodzy przyjaciele z Twittera, ta guma, którą lubicie, będzie mieć stylowy powrót. #damngoodcoffee", zapowiedzieli nowe odcinki „Miasteczka Twin Peaks", a już za chwilę będziemy mogli zobaczyć efekty ich pracy. Serial miał wrócić w 2016 r., żeby słowom Laury Palmer, że spotkamy się za 25 lat, stało się zadość, jednak prace się wydłużyły. Z pewnością jedną z przyczyn były nieporozumienia Lyncha ze stacją Showtime produkującą trzeci sezon (w Polsce prawa do emisji wykupiło HBO i już 22 maja będziemy mogli powrócić do rozpoczętej ćwierć wieku temu filiżanki kawy oraz nadgryzionego kawałka ciasta z wiśniami). W kwietniu 2015 r. Lynch opublikował nawet oświadczenie, w którym informował, że z powodu braku środków pozwalających zrealizować jego wizję artystyczną nie będzie możliwe kontynuowanie prac nad nowymi odcinkami. Na szczęście konflikt udało się zażegnać i 18 odcinków czeka na emisję.

Zanim ona nastąpi, warto się zastanowić, co właściwie sprawiło, że „Miasteczko Twin Peaks" zyskało status serialu kultowego. Moda na sentymentalne wycieczki do lat 90. zdaje się nie mieć końca, ale serial duetu Lynch i Frost etykietkę kultowości zyskał dawno temu, zanim popularne stały się najntisy, czyli seriale z ostatniej dekady XX w.

MORDERCZY UROK MAŁEGO MIASTECZKA

Serial znany jest na tyle, że nie trzeba go nikomu szczegółowo streszczać, ale warto przypomnieć, że punkt wyjścia stanowi zaginięcie licealistki Laury Palmer (Sheryl Lee). Wkrótce jej ciało zostaje odnalezione („Ona jest martwa. Martwa i owinięta w plastik", mówi Pete Martell, nie mając pojęcia, że swoimi słowami inicjuje nowy rozdział historii amerykańskiej telewizji), a my stajemy się świadkami fascynującego śledztwa prowadzonego przez agenta FBI Dale'a Coopera (w tej roli niezapomniany Kyle MacLachlan). Cooper przyjeżdża do Twin Peaks i od razu zakochuje się w lokalnej kawie oraz serwującej ją jadłodajni. Co ciekawe, słabość Lyncha do kawy nie ograniczyła się do tego, że w serialu oddaje jej najwyższy hołd. W ostatnich latach wypuścił na rynek limitowaną serię kawy sygnowanej własnym nazwiskiem, można ją kupić w kilku nieprzypadkowych miejscach, takich jak sklep w amsterdamskim muzeum filmowym EYE.

Szczęśliwe amerykańskie rodziny to najczęściej miejska legenda.

W „Miasteczku Twin Peaks" pojawia się zestaw motywów i gadżetów uwielbianych przez serialową widownię. Jest sielskie miasteczko, doskonale usytuowane, żyjące w zgodzie z naturą (w czołówce widzimy małego drozda, wodospady, daglezjowe lasy). Znajdziemy tam wszystko, co potrzebne do zaspokojenia popkulturowych pragnień, jak lokalna knajpa z dobrym śniadaniem, życzliwi sąsiedzi, proszone kolacje, rozterki emocjonalne uczniów *high school*, pastelowe wnętrza uroczych domków, ale są także tajemnica, pamiętniki zamordowanej nastolatki, zagrożenie czające się tuż za rogiem, poczucie grozy i desperacka próba znalezienia wentylu bezpieczeństwa.

Czekając na nową część, staramy się nie pamiętać, że drugi sezon „Miasteczka" nie był zbyt udany. Z pracy nad nim zrezygnował Lynch (zrealizował jedynie pierwszych sześć odcinków serialu), a twórcy pracujący dla ABC zrobili wszystko, żeby zagmatwać wątki w sposób czasami wręcz niedorzeczny. Nie można też zapomnieć, że sam Lynch od dawna nie zrealizował niczego godnego uwagi ani na małym, ani na dużym ekranie. Tuż przed premierą nie wiemy zupełnie nic o tym, co czeka nas w nowych odcinkach. Produkcja se-

eprasa.pl 1cd478a4a0

rialu zadbała, żeby do mediów nie przedostały się informacje na temat tego, w jakim kierunku rozwijany był scenariusz ani czego możemy się spodziewać po bohaterach ostatni raz widzianych w 1991 r. Zwiastuny wypuszczone do sieci przez Showtime także niczego nie zdradzają. „Miasteczko Twin Peaks" to jedna wielka niewiadoma, pozostaje mieć nadzieję, że będziemy pozytywnie zaskoczeni, chociaż wśród zagorzałych fanów, nauczonych przykładem „Z archiwum X", jest wielu sceptyków, wychodzących z założenia, że nie warto psuć czegoś, co dzisiaj uchodzi za ikoniczne.

DAMA Z PIEŃKIEM NA CZELE

Rzadko który serial może się pochwalić postaciami tak barwnymi, niecodziennymi, ekscentrycznymi, pielęgnującymi rytuały i dziwactwa.

W nowym sezonie ponownie zobaczymy Davida Duchovnego.

Tacy właśnie są mieszkańcy Twin Peaks. Przyjezdny, czyli Dale Cooper, to z kolei wzór telewizyjnej postaci agenta federalnego. Olśniewająca powierzchowność, czarny garnitur, prochowiec, słabość do kawy i ciasta wiśniowego przeszły do historii. Podobnie jak jego złote myśli i rozmaite spostrzeżenia, nie zawsze adekwatne do sytuacji. Do dzisiaj nie wiemy, kim była Diane, dla której Cooper nagrywał wiadomości na dyktafonie, ale istnieje szansa, że w tym roku ją poznamy.

Niestety, nie wszystkie wątki doczekają się rozwiązania, bo serial nie powróci razem z całą, oryginalną obsadą. Kilku aktorów zmarło – niektórzy przedwcześnie (Catherine Coulson – Dama z Pieńkiem, Frank Silva – Bob, Jack Nance – Pete Martell, Don S. Davis – Garland Briggs, Dan O'Herlihy – Andrew Packard i John Boylan – Dwayne Milford), a niektórzy, jak Michael Ontkean (czyli szeryf Harry S. Truman), zakończyli kariery i nie chcą wracać do zamkniętych projektów.

Ważnymi bohaterami drugiego planu były także pączki, dżinsowe komplety, motocykle oraz muzyka przełomu lat 80. i 90. Jednak „Twin Peaks" to przede wszystkim opowieść o dwóch nieustannie zwalczających się siłach. Zło wizualizowane w postaci Boba unicestwia wszelkie przejawy dobra, a ludzka natura nie może wyzwolić się z tej walki w żaden sposób. Osadzenie tej dychotomii w amerykańskiej rodzinie to doskonałe rozprawienie się z mitem sielskiego życia za białym płotem. Twórcy serialu zdają się mówić, że szczęśliwe amerykańskie rodziny to najczęściej miejska legenda. Leland Palmer, ojciec zamordowanej Laury, pozornie jest idealnym mężem i wzorowym biznesmenem, ale im lepiej go poznajemy, tym wyraźniej widzimy, jak wiele masek nakłada.

„Ona jest martwa. Martwa i owinięta w plastik" – te słowa otworzyły nowy rozdział historii telewizji.

„Miasteczko Twin Peaks" nie stroni także od eksponowania przemocy i toksycznych relacji. Mimo że porusza tak wiele trudnych społecznie tematów, umiejętnie łączy to z groteską i surrealizmem, dzięki czemu łatwiej nam znieść potworność opowiadanej historii.

Frost i Lynch doskonale równoważą wątki trudne lekkostrawnymi. W serialu pojawia się David Duchovny w brawurowej roli Denise, agentki DEA, i trzeba przyznać, że do dzisiaj to jedna z jego najciekawszych ról telewizyjnych. Na szczęście w nowych odcinkach także go zobaczymy. Duchovny po mistrzowsku zakpił ze swojego wizerunku, czyli heteroseksualnego idola damskiej widowni początku lat 90.

KTO CZEKA NA POWRÓT?

Na powrót serialu czekają nie tylko widzowie, którzy w latach 90. byli dorośli. Równie niecierpliwie czekają urodzeni w latach 80., oglądający serial przez szparę w drzwiach. Zafascynowani tajemniczą historią Laury mimo sprzeciwu rodziców za wszelką cenę chcieli się dowiedzieć, jaki los ją spotkał. Z pewnością nie do końca wtedy rozumieli, o co właściwie chodzi, ale intrygowała ich aura tajemnicy i wielowymiarowość serialowego świata. Uwodził surowy klimat miasteczka, malownicze krajobrazy, a także wspaniała muzyka Angela Badalamentiego. Ścieżka dźwiękowa serialu do dziś jest jedną z najpopularniejszych w historii telewizji. Trudno nie rozpoznać od pierwszych dźwięków tej melancholijnej opowieści, zapraszającej do onirycznej krainy, w której możemy spotkać zarówno Damę z Pieńkiem, jak i agenta FBI, gotowego oddać wszystko za filiżankę kawy. Do zobaczenia w Twin Peaks! ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE HBO

eprasa.pl 1cd478a4a0

KURTYNA W GÓRĘ

OJCIEC ODCHODZI

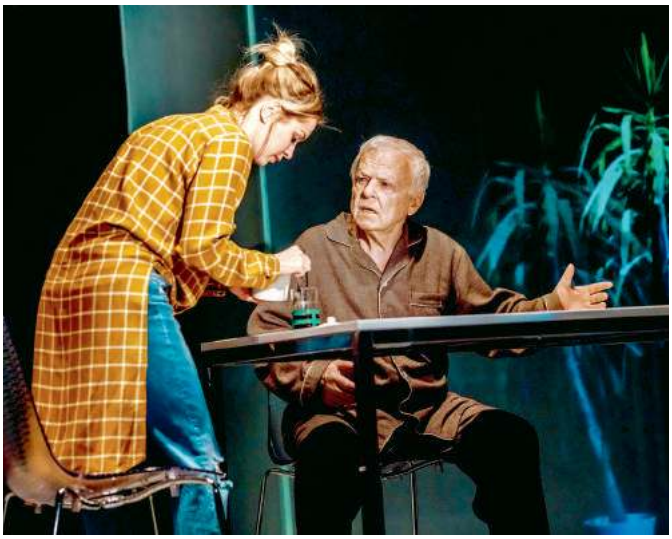

Europa się starzeje. Po raz kolejny na afiszu stołecznego teatru pojawia się sztuka traktująca o demencji. Na deskach Ateneum grany jest „Ojciec" Floriana Zellera, gdzie z procesem starczej degradacji zmaga się tytułowy bohater (Marian Opania). Scena przedstawia sterylne wnętrze, w którym z boku stoi fotel okupowany przez Ojca, bliżej centrum są stół i krzesła, w tle widać fragment kuchni i korytarz. Z czasem meble zaczynają znikać, tak jak kurczy się pamięć Ojca, z coraz większym trudem odróżniającego rzeczywistość od majaków. Obserwujemy w napięciu, jak bohater traci orientację w świecie, jak kurczy się jego zdolność rozpoznawania osób i miejsca. Sprawia to ból jego otoczeniu, a zwłaszcza kochającej córce (Magdalena Schejbal), zabiegającej o stworzenie staremu ojcu bezpiecznych warunków egzystencji. Staje się to jednak coraz mniej możliwe.

Marian Opania z biegłością mistrza ukazuje stopniowy zanik umiejętności poznawczych, pojawiające się poczucie zagrożenia i trwogi, a na koniec dojmującej tęsknoty za utraconym bezpieczeństwem. Postać, którą buduje aktor, tchnie prawdą. We wcześniejszej fazie choroby, kiedy bohaterowi zdarzają się chwile, w których panuje nad sytuacją, potrafi tworzyć rozmaite drobne intrygi, sypać komplementami albo zadziwiać dociekliwością. Wciąż poszukuje zegarka i czyni z tego ceremonię. Z czasem pogrąża się bezpowrotnie w mrokach niepamięci. Bezradny, zagubiony, tragiczny w swojej bezbronności budzi żywe współczucie i lęk.

Tomasz Miłkowski

Florian Zeller, „Ojciec", tłumaczenie Bogusława Frosztęga, reżyseria i opracowanie muzyczne Iwona Kempa, Teatr Ateneum, prapremiera polska 8 kwietnia 2017

KULTURALNE DZIECI

PIĄTKA JUŻ NIE STRASZY

Jeden z najlepszych spektakli dla dzieci minionego roku. Wyróżnia go pozytywne, antywykluczeniowe przesłanie, którym stara się zainteresować młodego widza od lat siedmiu wzwyż. Bohaterami są zwierzęta powszechnie uważane za odrażające – szczur, ropucha, pająk, nietoperz, hiena, sęp, gąsienica – razem siódemka, choć w tytule mowa jest o piątce. Przedstawienie stara się zaszczepić pogląd, że – po pierwsze – każdy ma jakieś talenty, które pozwalają czuć się potrzebnym. Po drugie, że rozmaite przesądy i stereotypy (nietoperze zaplątują się we włosy, szczury roznoszą zarazki itp.) są raczej podyktowane niechęcią, a nie rzetelną wiedzą. Wreszcie po trzecie, że można działać wspólnie i zgodnie. Atutem spektaklu jest też to, że ma dwie części, pierwszą kukiełkową, a w drugiej role tych samych „przepoczwarzonych" zwierząt grają aktorzy; grają także w sensie dosłownym, np. hiena na saksofonie, nietoperz na akordeonie, szczur na gitarze itd. Przedstawienie nie przesadza z dydaktyką i kończy się wspólną wesołą zabawą.

Bronisław Tumiłowicz

Marta Guśniowska, „Straszna piątka", reżyseria Maria Żynel, Białostocki Teatr Lalek, przedstawienie w ramach Małych Warszawskich Spotkań Teatralnych

NA ŻYWO

DEBORAH BROWN QUARTET + SYLWESTER OSTROWSKI

Deborah Brown, wokalistka z Kansas City, „królowa swingu", podkreśla, że muzycy stamtąd mają własny rytm, a w „Kansas City Here I Come" śpiewa, że to *crazy way*, zwariowany styl. Jak brzmi on w połączeniu z tym, co gra w polskiej duszy? Koncertowo – w Warszawie w radiowej Trójce, Poznaniu (15.05, klub Blue Note), Baniewicach (17.05, winnica Turnau), Legnicy (2.08, Legnickie Centrum Kultury), Kołobrzegu (4.08, RCK Jazz Festiwal) i Szczecinie (7.08, na żaglowcu „Kruzensztern", w ramach finału The Tall Ship Races). Trasa promuje znakomitą płytę nagraną m.in. z saksofonistą Sylwestrem Ostrowskim i orkiestrą kameralną NFM Leopoldinum z Wrocławia, wydaną przez Agorę. Jazz pełen energii, radości, w świeżych interpretacjach.

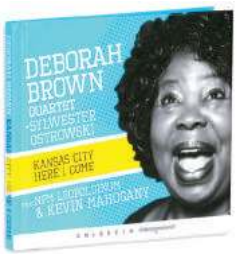

WARSZAWA, STUDIO POLSKIEGO RADIA IM. AGNIESZKI OSIECKIEJ, 14 MAJA

eprasa.pl 1cd478a4a0

NA POWAŻNIE

NA JOWISZA!

Po raz pierwszy w Polsce można obejrzeć operę Händla „Semele". Wspaniała muzyka twórcy „Mesjasza", tym razem w świeckim, by nie powiedzieć pogańskim wydaniu. Końcowy hymn „Happy, happy" przypomina jednak słynne „Alleluja". Na scenie prócz ojca bogów Jupitera pojawia się jego żona Junona, są Apollo i Bachus, tytułowa Semele zaś (dobra rola Aleksandry Hanus) spełnia się jako kochanka Jupitera. Tym samym świat ukazany w spektaklu preferuje podległą rolę kobiety jako obiektu seksualnego. Ale te etyczne zadry są obracane w żart, bo wykonawcy opery to wyłącznie studenci. Objawił się tutaj młody, dobry tenor Piotr Pastuszka w roli Jupitera-Jowisza, otaczające go nimfy są prawdziwie urocze – to też uczennice. Opera, choć dawna (rok 1744), wcale nie nuży, bo jest ciekawie zainscenizowana i atrakcyjna wizualnie. Zabrakło tylko umieszczonych w libretcie dwóch smoków.

Bronisław Tumiłowicz

Georg Friedrich Händel, „Semele", kierownictwo muzyczne Marcin Wolniewski, reżyseria Eva Buchmann, koprodukcja Teatru Wielkiego, Akademii Muzycznej, Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Feliksa Parnella i Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, premiera 21 kwietnia 2017

MIĘDZY OKŁADKAMI

Alex Marwood
NAJMROCZNIEJSZY SEKRET

tłum. Rafał Lisowski
Albatros, Warszawa 2017

Trzylatka znika podczas kilkudniowej imprezy urodzinowej ojca, bogatego zadufka, który świętował do upadłego w towarzystwie drugiej żony, kochanki, kolesiów i – co za uciążliwość – dzieci całego tego uroczego towarzystwa. W sumie o nieszczęście aż się prosiło, pytanie, co się stało: porwanie, zatuszowany wypadek czy stare, dobre morderstwo? Po 12 latach śmierć ojca przypomina o niewyjaśnionej sprawie. A zgodnie z tym, że był egoistycznym draniem, w zasadzie wokół niego – jego życia, jego kobiet, sprzecznych uczuć, jakie wzbudzał – koncentruje się akcja. Na szczęście nie wszystko tu jest złem. Nawiasem mówiąc, naturalnym elementem scenerii stała się obecność w Wielkiej Brytanii Polaków. Przynajmniej miejsca w literaturze Brexit nie odbierze polskim budowlańcom, a z portretu autorstwa Alex Marwood nie byliby chyba tacy niezadowoleni.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

W SIECI

reż. Kim Ki-duk, prod. Korea Południowa, już w kinach

Koreę Północną od Korei Południowej dzieli wiele, ale na pewno nie obsesja na punkcie wrogów – wynika z filmu Kim Ki-duka („Wiosna, lato, jesień, zima… i wiosna", „Pieta"). W jego „W sieci" rybakowi Nam Chul-woo psuje się motor w łodzi. Prąd znosi go na wody Korei Południowej, skąd przechwytują go służby odpowiedzialne za demaskowanie agentów z Północy. Ci podzieleni są na najprostsze typy: życzliwego żółtodzioba, furiata widzącego w każdym wroga i szefa skupionego na karierze. Reżyser nie bawi się w niuanse, bo nie o to w jego filmie chodzi. Celem jest pokazanie lustrzanego odbicia upokorzeń oraz psychicznych i fizycznych tortur, których Nam Chul-woo doznaje także w ojczyźnie, po tym jak zostaje do niej odesłany. W niej typy ludzi reprezentujących system podzielone są tak samo. W tym przypadku symetria jest zaletą. Wystarcza, by oszczędny w środkach Kim Ki-duk osiągnął zamierzony efekt, a końcowa scena, w której pokorny dotąd bohater decyduje się na bunt, wybrzmiała z całą mocą.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała Agata Gog olkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MAGDA HUECKEL, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1cd478a4a0

NAJTRUDNIEJSZY BIEG TOMASZA GOLLOBA

Pierwszy krok będzie największym zwycięstwem żużlowego mistrza

Jerzy Andrzejczak

Przed nim droga trudniejsza niż wszystkie łuki na torze, które pokonywał przez ostatnie 29 lat. Jego kariera roztrzaskała się na motokrosowym pagórku. Teraz czas ciężkiej rehabilitacji. Tą ścieżką do końca dochodzą tylko najbardziej zdeterminowani.

– Jednym z nich będzie Tomek – przekonuje Jacek Gollob, brat. – On jest niezniszczalny! Zawsze miał monstrualną siłę przetrwania i szczęście w nieszczęściu!

„DIABEŁ" ZE ZŁOTYM KRZYŻYKIEM

Był maj 1990 r. 19-letni Tomek zaprosił mnie do swojego pierwszego mieszkania w Bydgoszczy. Nie było w nim nic oprócz dwóch materaców. Rozmawialiśmy kilka godzin. Odpowiadał krótko, urywanymi słowami. Był zamknięty w sobie, skryty, ale miły. – Na tych ścianach zabraknie miejsca – wtrącił nagle buńczucznie – na medale, puchary i dyplomy, które wywalczę na żużlowym torze!

Taki szybki i zaskakujący potrafił być jeszcze tylko podczas startów. Puszczał sprzęgło i mknął przed siebie. Wtedy też „wypalił" i uciekł przed siebie. Na pytania odpowiadał za niego Władysław Gollob, ojciec, który przyniósł mu zapiekankę, bo chłopak nie miał nawet paru złotych na bilet autobusowy. Tomek wyglądał wtedy na duże dziecko. Nie palił papierosów, nie pił alkoholu, nie mówiąc o innych używkach. I tak jest do dziś. Nie przyznał się, że w dzieciństwie był łobuziakiem, a na podwórku miał ksywę „Diabeł". Kiedyś ojciec połamał nawet na nim wieszak. – Kilka razy dostałem po krzyżu – przyznał syn po latach – ale sprawiedliwie.

Z rodzinnego domu wyniósł głęboką wiarę. Mama goniła go na religię i do kościoła. Do dziś Tomasz nosi złoty krzyżyk z Jasnej Góry. – Tomek jest w czepku urodzony – mówi Czesława Gollob, matka. – Tyle wypadków miał, a jednak zawsze wychodził na prostą. A może to dlatego, że jest wierzący?

Gdy się żegnaliśmy te 27 lat temu, zapytał nieśmiało, kiedy ukaże się pierwszy tekst o nim. Artykuł został opublikowany w tygodniku „Mecz", w czerwcu 1990 r., pod tytułem „Tomasz Gollob – Supertalent". Zaczynał się od słów: „Być może od czasów Alfreda Smoczyka nie pojawił się w Polsce taki talent". – Uważam pana za ojca chrzestnego Tomka – powiedział Władysław Gollob w rozmowie telefonicznej po ukazaniu się artykułu.

Po tych kurtuazyjnych słowach Tomek stał mi się bardzo bliski. Z zainteresowaniem śledziłem sportowe postępy jego i starszego o dwa lata brata Jacka. Od najmłodszych lat byli nierozłączni. Gdy ich tata w warsztacie remontował samochody, Jacek i Tomek, zwany „Plackiem", najwięcej czasu spędzali, ganiając za piłką. Tomek był jednym z najlepszych młodzików w Polonii Bydgoszcz. Niespodziewanie zainteresowania chłopców zmieniły się w 1980 r., gdy od ojca dostali motorynki i enerdowskiego simsona.

> Gollob ma genetycznie zakodowaną wolę walki.

Dwa lata później Władysław Gollob, widząc talenty synów, najpierw skończył kurs i został instruktorem sportów motocyklowych, a potem sprzedał dobrze prosperujący warsztat samochodowy. Wszystkie pieniądze zainwestował w motocykle Jacka i Tomka. – Niespełnione młodzieńcze marzenia przeniosłem na synów – opowiadał mi pan Władysław. – Ale powiedziałem im, że to będzie taki zapieprz, że krew z rury wydechowej poleci...

Władysława zawsze najbardziej interesowała motoryzacja, chociaż z wykształcenia jest technikiem budowy okrętów. Kiedy kończył starty na motocyklu o pojemności 500 ccm w wyścigach ulicznych, już zaczął planować sportową przyszłość synów. Najstarszy, Marek, rocznik 1962, przyrodni brat żużlowców, skończył politechnikę, ale nie chciał wsiąść na motocykl. Został rodzinnym mechanikiem.

CZŁOWIEK STWORZONY DO ŻUŻLA

Jacek i Tomek startowali w wyścigach motocyklowych na torze oraz w motokrosie. Błyskawicznie stali się najlepszymi zawodnikami w kraju. Wygrywali na zamówienie i o tym, kto zwycięży, często decydowali jeszcze przed startem. Najbardziej kibicowała im Justyna, córka Władysława Golloba z trzeciego małżeństwa.

Synowie całkowicie podporządkowali się woli ojca, który był dla nich jedynym trenerem, mechanikiem, menedżerem. Wodzem i wyrocznią. Chłopcy słuchali go niemal na baczność. Kiedy Jacek bezmyślnie uszkodził motocykl, za karę musiał go nosić na plecach przez dwa okrążenia.

– To nie było żadne eksperymentowanie – tłumaczy Władysław Gollob. – Podjąłem się za własne pieniądze i na własną odpowiedzialność trudu przygotowania synów do uzyskiwania wybitnych wyników.

Wtedy pojawiły się oskarżenia o prywatę. Przyczyny zawiści były różne: duże pieniądze, najlepszy sprzęt, optymalne warunki do treningów. O wszystkim decydował najstarszy z Gollobów i to on podjął decyzję, że spróbują, jak smakuje żużel.

– Zawarłem z synami niepisaną umowę – zaznacza pan Władysław. – Rozstajemy się, kiedy uznają, że jestem im niepotrzebny.

Już po pierwszych próbach na torze żużlowym widac było, że chłopcy są wielkimi talentami, ale szczególne predyspozycje miał Tomek. Mówiono, że urodził się, żeby jeździć na żużlu.

eprasa.pl 1cd478a4a0

W czasie meczu Polska – reszta świata w kwietniu 2012 r.

NAJBARDZIEJ UTYTUŁOWANY POLSKI ŻUŻLOWIEC W HISTORII

- siedmiokrotny mistrz świata (indywidualnie w 2010 r., drużynowo w latach 1996, 2005, 2007, 2009, 2010, 2011)
- dwukrotny indywidualny wicemistrz świata (1999, 2009)
- zdobywca czterech brązowych medali indywidualnych mistrzostw świata (1997, 1998, 2001, 2008)
- zdobywca czterech srebrnych medali drużynowych mistrzostw świata (1994, 1997, 2001, 2008)
- 30-krotny mistrz Polski (osiem razy indywidualnie, siedem razy drużynowo, 11 razy w parze, trzykrotny młodzieżowy mistrz Polski)

– W Tomku tkwią olbrzymie możliwości – zapewniał w 1989 r. Gerard Sikora, jeden z jego pierwszych trenerów w Wybrzeżu Gdańsk. – On jest wybitnie uzdolniony sportowo, genetycznie ma zakodowaną wolę walki.

DWA TALENTY I KŁOPOTLIWY OJCIEC

Bracia razem uzyskali żużlową licencję – 26 czerwca 1988 r. na torze w Zielonej Górze. Wcześniej Tomek oblał pierwszy egzamin. Chłopcy formalnie stali się zawodnikami sekcji żużlowej bydgoskiej Polonii, gdzie odbyli szkolenie. Klub otrzymał w prezencie dwóch obiecujących zawodników, ale z kłopotliwym ojcem. Pan Władysław od razu domagał się kwoty ubezpieczeniowej w minimalnej wysokości 1 mln zł. Jego jedynym argumentem było stwierdzenie, że synowie są bezcenni.

– Wiedziałem, że żużlowcy mają urywane głowy – tłumaczy – łamane kręgosłupy, więc muszą być zabezpieczeni na wypadek nieszczęśliwego wypadku.

Rzeczywiście synowie mieli na torze liczne wypadki, a Tomek kilka razy ocierał się o śmierć. Pamięta sufit niejednej sali szpitalnej. Makabryczny wypadek zdarzył się mu w 1999 r. na torze we Wrocławiu, gdy przeleciał bandę, uderzył o słupek i na nim zawisł. Zaprzepaścił szanse na zdobycie tytułu mistrza świata. Mógł wtedy zginąć, ale stracił tylko kawałek palca. – Wtedy prawie urwało mi głowę – opowiadał. – Po takim wypadku niełatwo wrócić do równowagi.

Na torze był niepokorny, nie znosił przegrywać. Kibice kochają takich zawodników, ale rywale za nimi nie przepadają. Przez to nie był akceptowany przez starszych konkurentów. Dlatego na torze miał więcej wrogów niż oddanych przyjaciół. Musiał z tym jakoś żyć. – To przez zawiść – tłumaczy Jacek Gollob. – Zazdrościli mu i bali się go.

W 1995 r. Tomek w Londynie na torze w Hackney lekko potrącił Craiga Boyce'a. Australijczyk, nie czekając na decyzję sędziego, postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Podbiegł do Tomka i uderzył go w głowę prawym sierpowym. Tak mocno, że Gollob spadł z motocykla. Długo leżał na torze, jak bokser po ciężkim nokaucie. – Australijczyk uderzył syna w okulary – wspomina pan Władysław. – Rozbił mu oko. Na szczęście nie wybił.

PISTOLET PRZY SKRONI ŻONY

Tomek był zadziorny, chorobliwie ambitny, bezpardonowo zmierzał do celu, którym była meta. Od początku startów jeździł brawurowo, czasami na krawędzi ryzyka. Zawsze był bardzo waleczny – czasami aż nadto – i impulsywny. Miał też wyjątkowego pecha: wypadek samochodowy niedaleko Pniew, a jeszcze później, w 2007 r., podczas lądowania na lotnisku w Tarnowie, gdy leciał awionetką z ojcem pilotem. – Ten wypadek był chyba najgorszy – opowiadał – bo przez kilkanaście długich sekund spadałem i nic nie mogłem zrobić. W powietrzu byłem bezradny. Bardzo się bałem, spodziewałem się najgorszego. Nie będę udawał twardziela...

Ledwo wychodził z jednych kłopotów, zaraz wpadał w następne. Ciężkie wypadki hamowały karierę. Dopiero po ślubie z Brygidą Miszewską w 1997 r. i narodzinach córki Wiktorii w marcu 1998 r. zaczął jeździć spokojniej, bezpieczniej. Obiecał córce, że zawsze będzie wracał do domu. – Córka rozumie, kiedy przegrywam – mówił, nie ukrywając wzruszenia. – Nie wybaczy, jeśli zginę na torze.

Cieszyłem się, że mój „chrześniak" dojrzał, wydoroślał. Zmartwiłem się,

eprasa.pl 1cd478a4a0

gdy w 2010 r., po 15 latach rozpadło się jego małżeństwo. Wtedy pojawiły się plotki, że Tomek miał przystawiać żonie pistolet do skroni i wymusić podpis pod wnioskiem o kredyt. To był początek jego kłopotów rodzinnych.

– Nie czuję się winny – tłumaczył – jestem normalnym człowiekiem. Rodzina jest dla mnie ważna: mama, tato, bracia, córka. Strasznie ich wszystkich kocham.

Uwierzyłem mu. Wiedziałem, że jest bardzo wrażliwym facetem, który zawsze zadba o człowieka w potrzebie. Wiadomo też, że wyróżnia się w gronie sportowców hojnością w pomocy charytatywnej. Od lat finansuje dom dziecka w Bydgoszczy, gdzie spędziła dzieciństwo jego matka.

Liczne wypadki sprawiły, że nauczył się pokory i szacunku dla zdrowia swojego i rywali. W najniebezpieczniejszych sytuacjach hamował. Nigdy jednak w jego myślach nie było strachu, obaw. Inaczej już dawno musiałby zakończyć karierę. – Opatrzność nade mną czuwa – zwierzał się podczas naszego ostatniego spotkania w 2010 r. – Myślę, że tam na górze ktoś pilnuje, by nie stało mi się nic złego. Parę razy balansowałem na granicy życia i śmierci.

Tomasz Gollob z bratem Jackiem po wypadku lotniczym w 2007 r.

TRAGICZNE ZEJŚCIE Z ŻUŻLOWEGO SZCZYTU

To był jego ostatni sezon, miał jeździć tylko w meczach ligowych w Grudziądzu. Obiecał to Marioli, swojej ukochanej, a potwierdził 11 kwietnia, w dniu 46. urodzin. Przed dalszymi startami ostrzegał go też ojciec. Powtarzał: – Jesteś na żużlowym szczycie, ale musisz z niego bezpiecznie zejść jak himalaista, pamiętając, żeby nie zabrakło ci powietrza.

W niedzielny poranek, 23 kwietnia, pojawił się na torze motokrosowym w Chełmnie. Bywał tam od dziecka. Tym razem chciał treningowo pokonać trasę yamahą 250 ccm. O godz. 13 miał wziąć udział w jednym wyścigu. Trasa była sucha. Gollob często startował w motokrosie, szczególnie wczesną wiosną. Zapomniał, że w październiku 2010 r., jeżdżąc na krosie, złamał kość śródstopia. Stało się to cztery dni przed finałem grand prix, na szczęście miał już zapewniony złoty medal. Wtedy próbował jechać w zawodach, ale środki przeciwbólowe działały tylko w pierwszym biegu.

> Córka rozumie, kiedy przegrywam. Nie wybaczy, jeśli zginę na torze.

Upadek zdarzył się na zjeździe z 25-metrowej skarpy, na płaskim terenie, przy minimalnej prędkości. Nie było żadnego świadka. Tomasz nie stracił świadomości, ale nie pamiętał, jak doszło do wypadku. Nie mógł wstać o własnych siłach. Krzyczał, że nie czuje nóg. – Nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, co Tomek czuje – mówi Marek Cieślak, trener żużlowej reprezentacji Polski.

Tomasza przetransportowano śmigłowcem do kliniki neurochirurgicznej w Bydgoszczy. Operacja trwała kilka godzin. Obrażenia okazały się poważne: uszkodzenie rdzenia kręgowego i kręgu TH7, stłuczone płuca. Grozi mu głęboki niedowład. Możliwe jest porażenie ruchowe. Na razie został wybudzony ze śpiączki farmakologicznej. Minął stan zagrożenia życia.

To koniec kariery. Na torze zastąpi go Oskar, syn Jacka, którym opiekuje się jak nim kiedyś ojciec. Tomek jest sparaliżowany i są obawy, że może nie chodzić. Od piersi w dół ciągle nie ma czucia. Gdy zrobi pierwszy krok, będzie to jego najważniejsze zwycięstwo.

Jerzy Andrzejczak

FOT. PRZEMYSŁAW SZYSZKA/SE/EAST NEWS, ROBERT SZWEDOWSKI /EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

Wszystkie dzieci doktora Bachańskiego

Odpowiednia ilość czasu i uwagi poświęcona choremu jest podstawą dobrej diagnozy

Pediatra, neurolog dziecięcy, jako jedyny w Polsce zaczął stosować preparaty z konopi w terapii dzieci z padaczkami opornymi na leki

DR MAREK BACHAŃSKI

Rozmawia
Dorota Mirska-Królikowska

Dlaczego wybrał pan pediatrię? Nie jest to popularna specjalizacja wśród adeptów medycyny. Od lat narzeka się, że w Polsce mamy coraz mniej pediatrów: trudni pacjenci, niewielkie pieniądze…

– Trudni? No fakt. Jeśli dziecko jest małe lub ma jakąś ciężką chorobę neurologiczną, nie powie przecież, co mu dolega ani gdzie go boli. Moją rolą jest dotrzeć do tego małego pacjenta, nawiązać z nim kontakt na takim poziomie, jaki jest możliwy, sprawić, że mi zaufa, pozwoli się zbadać i leczyć. No więc to rzeczywiście nie jest proste. Ale, po pierwsze, lubię takie wyjątkowe wyzwania, a po drugie, podczas pracy w Pracowni EEG w Instytucie Pediatrii Centrum Zdrowia Dziecka przekonałem się, że dzieci są najwdzięczniejszymi pacjentami. Najbardziej podoba mi się w relacji z nimi to, że mają emocje na dłoni, niczego nie udają i nie kłamią.

Na przykład dzisiaj przyszedł do mnie na wizytę chłopczyk z autyzmem. Nie odezwał się słowem, ale od razu widziałem po jego postawie, w jego oczach, że mu się nie podobam. (…) Mówię więc do niego: „Widzę, że mnie nie lubisz i nie chcesz, żebym cię badał. A więc, jak widzisz, odchodzę, siadam i poczekam. Najpierw porozmawiam z twoimi rodzicami, poznamy się. Jeśli nabierzesz do mnie zaufania i zgodzisz się na to, żebym postukał cię w kolano, dopiero wtedy to zrobię, dobrze?”. Jeśli nie ma bezwzględnego przymusu (…), a pacjent broni się przed badaniem, odstępuję od niego. (…)

Wracając do mojego pacjenta. Po pewnym czasie chłopczyk się oswoił i poczuł dobrze w gabinecie. (…) Nie tylko dał się zbadać, ale nawet współpracował. Ku kompletnemu zaskoczeniu rodziców podał mi nawet na pożegnanie rękę. (…) Warto więc o kontakt z dzieckiem zabiegać. Nie wolno się śpieszyć, trzeba poświęcić mu tyle czasu, ile potrzebuje. Zresztą ja też muszę mieć czas (…).

I ile pan tego czasu potrzebuje?

– Na pewno więcej niż tradycyjne 15 minut, jakie się poświęca chorym dzieciom w przychodni. To są pacjenci, którzy przychodzą nie z katarem, tylko z poważnymi schorzeniami neurologicznymi. I jeśli nie dam im maksimum mojej uwagi, mogę nie dostrzec tego, co najważniejsze. Ich rodzice przynoszą ze sobą wielokrotnie dokumentację medyczną grubą jak książka telefoniczna. Ja muszę się z tymi wynikami badań zapoznać, ocenić je. Chcę zresztą dać tym ludziom możliwość zapytania mnie

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

o wszystko, co ich nurtuje. Jeśli nie będą czegoś wiedzieli albo nie będą przekonani do leczenia, które im proponuję, wpłynie to niekorzystnie na proces terapii. Absolutnie nie wolno na to pozwolić. Zawsze trzeba też pamiętać, że oni zmagają się z ciężarem, który przerasta ich siły. Potrzebują wsparcia kogoś, kto ich rozumie. Czasami więc wizyta trwa godzinę, dwie lub dłużej.

W polskich warunkach luksus, na który niewielu lekarzy może sobie pozwolić...

– Niestety, wiem o tym. Dlatego słyszałem tyle skarg ze strony dyrekcji, kiedy jeszcze pracowałem w przychodni szpitalnej, bo wizyty trwały zbyt długo. Ale to nieprawda! One trwały po prostu tyle, ile musiały trwać. Na Zachodzie to oczywiste. Niemiecki neurolog dziecięcy przyjmuje o połowę mniej pacjentów niż polski. (...) Odpowiednia ilość czasu i uwagi poświęcona choremu jest podstawą do postawienia dobrej diagnozy.

Kiedy byłem bardzo młodym lekarzem i przygotowywałem pacjentów do leczenia operacyjnego, na oddział została przyjęta ośmioletnia dziewczynka. Rozpoznanie: padaczka oporna na leki. Ale jej napady wyglądały nietypowo – zaczynały się, kiedy przychodziła pielęgniarka, by podać jej lekarstwa. Dziecko wówczas wpadało w szał, krzyczało, płakało. Wszyscy uważali, że tak wygląda u niej atak. Coś mi jednak nie pasowało. Poprosiłem starszego kolegę, neurologa, i koleżankę z psychiatrii, żeby skonsultowali ten przypadek. Próbowali, kręcili głowami, ale nic nie potrafili doradzić. Tymczasem dziewczynka szalała, cały oddział był postawiony na baczność. Wziąłem książkę z zakresu farmakologii, zacząłem czytać i po przemyśleniu całej sytuacji postanowiłem podać jej znany lek uspokajający. I zapadła cisza, dziewczynka zasnęła. Napady się skończyły. Gdyby to była padaczka, lekarstwo nie przyniosłoby takiego skutku. (...) Wyglądało na to, że ataki wcale nie miały związku z epilepsją, wyglądały raczej jak eksplozja strachu. Zadzwoniłem do lekarki, która przysłała do szpitala pacjentkę na diagnostykę. Po dłuższej rozmowie wyciągnąłem z niej informację, że dziewczynka była świadkiem tego, jak jej matka została wykorzystana seksualnie. Poprosiłem więc tę kobietę o rozmowę na temat córki. Potwierdziła, że taka sytuacja się zdarzyła, że było to traumatyczne przeżycie dla nich obu. Wystarczyło na krótko włączyć leki uspokajające, zapewnić i jej, i mamie wsparcie psychologa w poradzeniu sobie z tą trudną sytuacją i problem minął. (...) Powinniśmy dzieci wprowadzać w dorosłość delikatnie, tłumacząc im świat i jego zawiłości, zapewniać im ochronę, jakiej potrzebują. (...)

Mówiąc: my, ma pan na myśli nas, rodziców?

– Też. Bo naszym zadaniem jako lekarzy jest rodzicom uświadamiać tę prostą zależność, że jeśli lekceważą lub po prostu nie zauważają emocji dzieci, wyrządzają im krzywdę. Stąd bierze się wiele problemów wieku dziecięcego.

Przykładem schorzenia, które bardzo często ma swoje początki w psychice, są tiki. (...) Ocenia się, że nawet 20% dzieci może na nie cierpieć w pewnym okresie życia. Ale ostatnio trafił do mnie chłopiec z wyjątkowo nasilonymi tikami: krzyczał, podskakiwał, prężył się. W pewnym momencie te zupełnie niezależne od jego woli zachowania całkowicie zaczęły zaburzać jego funkcjonowanie. Rodzice byli już z nim u wielu lekarzy, nikt nie potrafił mu pomóc. Rozmawialiśmy blisko dwie godziny. (...) Zasugerowałem w pewnej chwili, że w życiu tego dziecka wydarzyło się coś, co silnie wpłynęło na jego psychikę i doprowadziło do rozwoju tego schorzenia. (...) Omówiliśmy problemy, które mogły doprowadzić do powstania tików. Poradziłem, żeby zapisać syna na zajęcia karate. Zauważyłem bowiem, że jeśli chłopcy z takimi problemami zaczynają uprawiać sporty walki, (...) po pewnym czasie nabierają pewności siebie, zaczynają lepiej funkcjonować w środowisku rówieśników, a męczące objawy się cofają. (...)

Pamiętam też pewnego nastolatka, którego przyprowadzili bardzo zaniepokojeni rodzice. Do niedawna wzorowy uczeń, spokojny, uśmiechnięty, nagle zmienił się nie do poznania. W szkole ma problemy, wdaje się w bójki, w domu też stał się agresywny, krzyczy, nie panuje nad sobą. Zbadałem chłopca neurologicznie, porozmawiałem z nimi i w pewnym momencie poprosiłem rodziców, by zostawili mnie z pacjentem sam na sam. Już na początku wizyty, kiedy matka powiedziała mi, że są z mężem po rozwodzie, domyśliłem się, w czym może tkwić problem (...). Zaczynam delikatnie – pytam o szkołę, o kolegów, o to, jakie przedmioty go interesują, on odpowiada, ale nagle przerywa i zaczyna strasznie płakać. Szlocha, wręcz się zanosi: „Ja nie mogę zrozumieć, dlaczego mama i tata nie są już razem". Pozwoliłem mu się wygadać, wypłakać, poczekałem, aż się uspokoił. Kiedy powiedziałem rodzicom, na czym polega kłopot, byli kompletnie zaskoczeni. (...)

Mówi pan o problemach tych dzieci tak, jak gdyby znał je pan z własnego doświadczenia...

– Bo tak jest. Sam byłem introwertycznym dzieckiem z – jak to oceniam dzisiaj – niewielkimi zaburzeniami emocjonalnymi. Miałem swój świat, w którym lubiłem się zamykać. (...) Myślę, że moi rodzice wielu moich głębokich przeżyć nie dostrzegali. Dzisiaj bardziej to rozumiem. Tata przez tyle lat chorował, a balansowanie na granicy życia i śmierci mogło sprawić, że stał się bardziej surowy, wymagający, chciał, żebyśmy się zahartowali, potrafili sobie w życiu radzić. Mama po jego śmierci została sama z naszą trójką – ja byłem, co prawda, pełnoletni, ale dopiero miałem zdawać po raz drugi na medycynę, a moje rodzeństwo było ode mnie sporo młodsze (...). Mama walczyła więc o to, by zapewnić nam byt. Mimo to bardzo mnie wspierała i wiedziałem, że zawsze mogę na nią

Dzieci są niezwykle wyczulone na osoby, które szanują i akceptują ich emocje.

Pamiętam to uczucie bycia zlekceważonym przez dorosłych. Wiem, jak to boli i do czego może prowadzić.

eprasa.pl 1cd478a4a0

liczyć. Potem dorosłem, z zamkniętego w sobie dziecka zmieniłem się w osobę umiarkowanie otwartą, zdobyłem wielu przyjaciół (...). Ale dobrze sobie zapamiętałem to uczucie bycia niezrozumianym, zlekceważonym przez dorosłych. Wiem, jak to boli i do czego może prowadzić.

Warto o kontakt z dzieckiem zabiegać. Nie wolno się śpieszyć.

Proszę sobie wyobrazić, że pana mama przychodzi do pana-lekarza z takim małym Markiem (...) z prośbą o radę. Co by jej pan powiedział?

– Pewnie to, co mówię wielu rodzicom, którzy trafiają do mojego gabinetu – żeby zdecydowanie większą uwagę zwróciła w stronę emocji tego dziecka. Żeby przyjrzała się temu, czego pragnie, o czym marzy, porozmawiała z nim o tym. Bo może sam nie ma odwagi do najgłębszych uczuć się przyznać.

Kiedyś przyszła do mnie pani z nastoletnią córką chorą na padaczkę. Dziewczyna miała mało napadów, była w dobrej formie, chodziło tylko o dopasowanie leku. Podczas rozmowy zauważyłem, że jest pomiędzy nimi spore napięcie, nie potrafiły się porozumieć. Zapytałem mamę, czy mógłbym przez chwilę sam porozmawiać z córką. Kiedy wyszła z gabinetu, zapytałem dziewczynę, o co chodzi. Okazało się, że marzyła o tym, by mieć konia. (...) Powiedziała o swoim pragnieniu mamie. Tymczasem ona zbyła ją żartem, że na dziesiątym piętrze ciężko byłoby im tego konia trzymać. Pokłóciły się i od tamtej pory nie dogadują się ze sobą. Dziewczyna bardzo to przeżywała. Kiedy poprosiłem na rozmowę mamę, zdziwiła się, o co mi chodzi. Przecież nie mają warunków do tego, by kupić konia. Oczywiście, to jasne! Ale przecież nie o to chodzi. Jeśli ma się świadomość, że twoje dziecko ma wielkie marzenie, to trzeba z nim o tym uczciwie i poważnie porozmawiać. Wytłumaczyć, może poszukać jakichś innych rozwiązań tej sytuacji, np. zaproponować wyjazd na wakacje w siodle. Ważne jest to, żeby utrzymać komunikację z dzieckiem, żeby ono czuło się zrozumiane. (...)

Myślę, że dzieci są niezwykle wyczulone na osoby, które szanują i akceptują ich emocje. Może dlatego moi mali pacjenci nie boją się mnie, mają do mnie zaufanie i tak dobrze się rozumiemy. Wiedzą, że nie ma takiej możliwości, bym ich zawiódł. I mają rację.

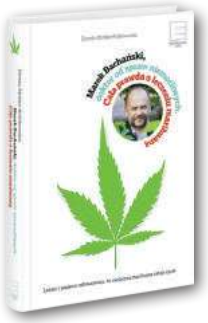

Fragmenty książki Doroty Mirskiej-Królikowskiej *Marek Bachański, doktor od spraw niemożliwych. Cała prawda o leczeniu marihuaną*, Edipresse Książki, Warszawa 2017

eprasa.pl 1cd478a4a0

EMOCJE BEZ RETUSZU

eprasa.pl 1cd478a4a0

BZ WBK PRESSFOTO 2017

1, 2 Wojciech Grzędziński, freelancer – III miejsce w kategorii Wydarzenia (fotoreportaż). Co dwa lata młodzi katolicy z całego świata przyjeżdżają na Światowe Dni Młodzieży, by spotkać się z papieżem. Kraków, 24-31 lipca 2016 r.

3 Beata Zawrzel, Reporter Agencja Fotograficzna – II miejsce w kategorii Wydarzenia (fotoreportaż). W kolejną miesięcznicę pochówku pary prezydenckiej na Wawelu odbyła się demonstracja przeciwko działaniom rządu PiS. Kraków, 18 grudnia 2016 r.

4 Mateusz Włodarczyk, Forum Polska Agencja Fotografów – III miejsce w kategorii Wydarzenia (zdjęcie pojedyncze). Jarosław Kaczyński wita się z prezydentem Andrzejem Dudą podczas rocznicy katastrofy smoleńskiej. Warszawa, 10 kwietnia 2016 r.

5 Łukasz Głowala, freelancer – II miejsce w kategorii Wydarzenia (zdjęcie pojedyncze). Lech Wałęsa wychodzący z konferencji prasowej, podczas której odniósł się do zarzutów współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa w okresie PRL, postawionych mu przez Instytut Pamięci Narodowej. Gdańsk, 29 lutego 2016 r.

6 Przemysław Wierzchowski, „Gazeta Wyborcza" – I miejsce w kategorii Wydarzenia (zdjęcie pojedyncze). Czarny protest przy Teatrze Polskim podczas święta „Tygodnika Solidarność" z udziałem najwyższych władz RP. Warszawa, 3 października 2016 r.

eprasa.pl 1cd478a4a0

DLACZEGO LEWICA WALCZY MIĘDZY SOBĄ?

Nareszcie ktoś bardziej otwartym tekstem napisał, o co chodzi z polską lewicą. Jeśli tylko jakaś prawica, w tym i „Gazeta Wyborcza", zaczyna klasyfikować lewicę, zaczynam się bać, że znowu pod pozorem troski chce ją pogrzebać. Słusznie więc napisał Radosław Czarnecki (PRZEGLĄD nr 15), że odrodzenie nastąpi, kiedy lewicowcy przestaną zwalczać się nawzajem. Szczególnie brzydko pachnie zachowanie Razem. Ale jeżeli chcą coś wartościowego osiągnąć pod czułą opieką „GW", to najwyżej obudzą się z ręką w nocniku. Jaskrawym tego przykładem było wychwalanie Adriana Zandberga przez Adama Michnika przed ostatnimi wyborami. Kto wie, czy nie przyczyniło się to do zwycięstwa PiS… Wydaje mi się też, że ówczesnych rządzących zawiodła zdolność przewidywania, a od ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach powinno się w pierwszym rzędzie tego wymagać. I teraz mają to, na co sobie zapracowali. Lecz kto by tam się zdobył na współdziałanie z lewicą? Nieprawdą jest, że dopiero teraz nastąpił głęboki podział w naszym społeczeństwie. Ten podział wyraźnie się zaznaczył od razu po upadku PRL, robiono jednak wiele, żeby nie stał się zbyt widoczny, bo prawicy potrzebny był większy elektorat.

PO-PiS SZKODLIWY DLA POLSKI

Bardzo nie podoba mi się porównywanie autorytarnych rządów Kaczyńskiego do PRL. Uważam, że jest to niesprawiedliwe i uwłacza ówczesnej Polsce, szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę uwarunkowania tamtych czasów.

W ten sposób dochodzimy do Rosji, uważanej od lewa do prawa za wroga nr 1. Jakie korzyści daje nam bycie państwem frontowym? Państwa, które w ostatnich czasach zgodnie żyły z sąsiadami, są teraz najbogatsze na świecie, a my możemy im tylko zazdrościć. W żaden sposób nie mogę zrozumieć wojennego atawizmu, jaki najwyraziściej artykułuje minister Macierewicz. Wcale nie chodzi mi o to, żebyśmy Rosję kochali. Wystarczy, że będziemy ją szanować jako sąsiednie państwo, którego nie da się przenieść gdzie indziej.

Na koniec zaznaczam, że jeśli doczekam, to pójdę na wybory i zagłosuję na lewicę (SLD). Chowanie się w mysią dziurę jest najgorszym wyjściem.

Edward Kałwiński, Marki

REFORMA SĄDOWNICTWA A REPRESYJNA USTAWA EMERYTALNA

Do Sejmu trafił projekt zmiany ustawy o ustroju sądów powszechnych. Co to oznacza dla osób objętych haniebną, represyjną ustawą emerytalną? Najistotniejszym elementem proponowanych zmian jest przekazanie w ręce ministra sprawiedliwości w zasadzie nieograniczonej władzy nad kształtowaniem personalnego składu sądów. Będzie on mógł powoływać prezesów sądów apelacyjnych, okręgowych i rejonowych (a przez nich pozostałych sędziów) bez konieczności uzyskiwania opinii o kandydatach od zgromadzeń ogólnych tych sądów. Będzie też mógł ich odwoływać w przypadku m.in. „rażącego lub uporczywego niewywiązywania się z obowiązków służbowych, gdy dalsze pełnienie funkcji z innych powodów nie da się pogodzić z dobrem wymiaru sprawiedliwości". W uzasadnieniu projektu doprecyzowano, że „odwołanie prezesa sądu będzie dopuszczalne w razie (…) celowego ignorowania wyraźnych zarządzeń nadzorczych wydawanych w ramach nadzoru zewnętrznego lub wewnętrznego". Jeżeli zatem prezes sądu nie będzie się stosował w orzekaniu własnym i nadzorze nad orzekaniem przez podległych mu sędziów do „zarządzeń nadzorczych" (pojęcie bardzo ogólne, mogące oznaczać np. wytyczne co do kierunku orzekania), tylko zechce postępować zgodnie z własną wiedzą i sumieniem – pożegna się z pełnioną funkcją. Co ciekawe, projekt przewiduje też możliwość dodatkowego nagradzania tych sędziów, którzy owe „zarządzenia nadzorcze" będą gorliwie wykonywać.

Jest wielce prawdopodobne, że nasze odwołania od decyzji obniżających funkcjonariuszom świadczenia emerytalno-rentowe trafią do odpowiednio wyznaczonych składów, które, stosując się do jakiegoś „zarządzenia nadzorczego" ministra sprawiedliwości, przyjmą linię orzeczniczą oznaczającą niekorzystne dla nas wyroki. Wydaje się więc, że w walce z tą niegodziwą ustawą nie będziemy mogli liczyć na krajową drogę prawną. Perspektywa trybunałów europejskich, choć ciągle odległa, staje się w tej sytuacji coraz wyraźniejsza.

Filip Kamiński, Federacja Stowarzyszeń Służb Mundurowych

WIĘCEJ MIASTECZEK SKRYWA ŻYDOWSKIE TAJEMNICE

Miasteczek „skrywających żydowskie tajemnice", jak opisany w PRZEGLĄDZIE (nr 16) Klimontów, jest w Polsce znacznie więcej. Byłem świadkiem, jak w maju 1945 r. do przyszpitalnej kostnicy w Starachowicach przywieziono dwie pełne furmanki zamordowanych Żydów i kilku Polaków, którzy udzielili im schronienia. Pomordowanych pochowano bardzo dyskretnie, bez żadnego ceremoniału, i tylko nieliczni mieszkańcy Starachowic wiedzą o tym bestialskim mordzie. Był on znacznie okrutniejszy od hitlerowskiego, bo został popełniony na nielicznych ocalałych z pogromu Żydach oraz Polakach, którzy zmęczeni okrucieństwem wojny przystąpili do odbudowy zrujnowanego wojną kraju. Tego mordu dokonali, jak dzisiaj o nich się mówi, „bohaterscy żołnierze wyklęci". Dla mnie to nie są żadni „żołnierze wyklęci", tylko przeklęci – najpospolitsi bandyci. O tym wydarzeniu, a także o trzech innych faktach, poinformowałem 18 lipca 2003 r. Instytut Pamięci Narodowej. Śledztwo wszczęto tylko w sprawie starachowickiej, uznając, że to „zabójstwo dokonane przez osoby idące na rękę władzy państwa niemieckiego – z dekretu dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy".

SKRYWANA TAJEMNICA ŻYDOWSKIEGO MIASTECZKA

Zaprotestowałem przeciwko takiej kwalifikacji zbrodni, twierdząc, że w maju 1945 r. Niemców już w Starachowicach nie było, a zbrodni dokonali Polacy. Po dwóch latach zapytałem IPN o wynik śledztwa. Otrzymałem odpowiedź, że nadal jest prowadzone i że poszukiwani są świadkowie w Izraelu i USA (jakby w Starachowicach ich nie było). Po kolejnych trzech latach ponownie zapytałem IPN o wynik śledztwa i 16 kwietnia 2008 r. otrzymałem odpowiedź, że istotnie ustalono, że zamordowanych zostało ośmiu Żydów i czterech Polaków i że „działanie nieustalonych sprawców miało jednoznacznie charakter rabunkowy", a „zbrodnia ta jako pospolite przestępstwo kryminalne przedawniła się po upływie lat dwudziestu". Czy taka odpowiedź nie jest najdobitniejszym dowodem tendencyjności działania IPN? Przecież tylko ktoś wyjątkowo naiwny może uwierzyć w taką bzdurę, że w celach rabunkowych zamordowano aż ośmiu Żydów i czterech Polaków. Oto przykład, jak IPN faktycznych bandytów usiłuje kreować na „bohaterskich żołnierzy wyklętych".

Kazimierz Krzyżak

eprasa.pl 1cd478a4a0

Kadry ponad wszystko

Jak tu być ministrem spraw zagranicznych, kiedy wszyscy, w ministerstwie zwłaszcza, czekają na jego dymisję? I bardziej interesuje ich, kto będzie następcą Waszczykowskiego, niż to, czego minister od nich chce.

Ba! Już nawet jest znane miejsce, gdzie minister W. się uda – to Nowy Jork, siedziba stałego przedstawicielstwa RP przy ONZ. Tam Waszczykowski ma być naszym ambasadorem. A na razie ma w MSZ posprzątać.

Sprzątanie to oczywiście rewolucja kadrowa, która ma być przeprowadzona po przyjęciu ustawy o służbie zagranicznej. No i budowa „nowej dyplomacji". Pisaliśmy już o tej „budowie" parokrotnie i kolejne ruchy kadrowe ministra to potwierdzają. Zasada jest prosta: ściągnąć kogoś z tytułem naukowym, najlepiej z Krakowa. To na ambasadora. A do pomocy dać mu młodzież – taką, która PiS już kocha albo pokocha. Za awans oczywiście.

Potwierdzeniem tej zasady było niedawne przesłuchanie w Sejmie kandydata na ambasadora w Holandii. To Marcin Czepelak z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, z Katedry Prawa Międzynarodowego Prywatnego. Wszystko się zgadza?

Marcin Czepelak wcześniej nie miał nic wspólnego z dyplomacją. Poza tym, że holenderskie MSZ sponsorowało mu stypendium w Hadze, w Akademii Prawa Międzynarodowego. Jego dorobek naukowy dotyczy prawa międzynarodowego prywatnego. Tytuł habilitacji brzmi: „Autonomia woli w prawie prywatnym międzynarodowym Unii Europejskiej"

Niby więc wszystko dobrze się kojarzy – prawo międzynarodowe, Haga, Unia Europejska – ale tak naprawdę ma to niewiele wspólnego z polityką zagraniczną RP i powinnościami ambasadora. Pan Czepelak, który właśnie zmienia zawód, może o tym nie wiedzieć, ale w MSZ taką świadomość chyba mieć powinni.

Nawiasem mówiąc, budowa nowej dyplomacji przez PiS przypomina początek lat 90., kiedy to Skubiszewski z Geremkiem również ściągali do MSZ ludzi z ośrodków akademickich. Różnie to się skończyło. Były strzały w dziesiątkę, ale chyba więcej porażek. I nie ma co się dziwić – dyplomacja wymaga potężnej wiedzy, doświadczenia, umiejętności rozmawiania, kierowania ludźmi – to wszystko wykształca się latami i nie każdemu jest dany w tej dziedzinie sukces. Cóż, polskim politykom wystarcza, że kandydat jest „swój", a poza tym umie jeść widelcem, zna język obcy i nadano mu jakiś tytuł naukowy. To ma świadczyć o jego umiejętnościach i klasie. I już od razu można go wysyłać na szefa placówki! Dla nich dyplomata to nie zawód, ale funkcja. Najwyraźniej mierzą innych swoją miarą…

Nawiasem mówiąc, jeśli rozmawiamy o obsadzie stanowisk w dyplomacji – czy ktoś wyobraża sobie, żeby generałem albo kapitanem statku została osoba, która wcześniej nie miała nic wspólnego z wojskiem lub żeglugą?

Spójrzmy jeszcze inaczej – w publicystyce (zwłaszcza prawicowej) wciąż przewija się pogląd, że Rosja dysponuje szczególnie sprawną, bardzo skuteczną dyplomacją. A najwyraźniej nikt z całego naszego grona „patriotów" nie próbował się zastanowić, dlaczego tak jest i jak Rosja swoją dyplomację kształtuje… O próbach kopiowania systemu nawet nie ma co wspominać.

Attaché

Tak widzą przyszłość. Rdzenni mieszkańcy Brazylii z różnych grup etnicznych podczas corocznego marszu w obronie swoich praw.

FOT. AFP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 1cd478a4a0

JOLKA

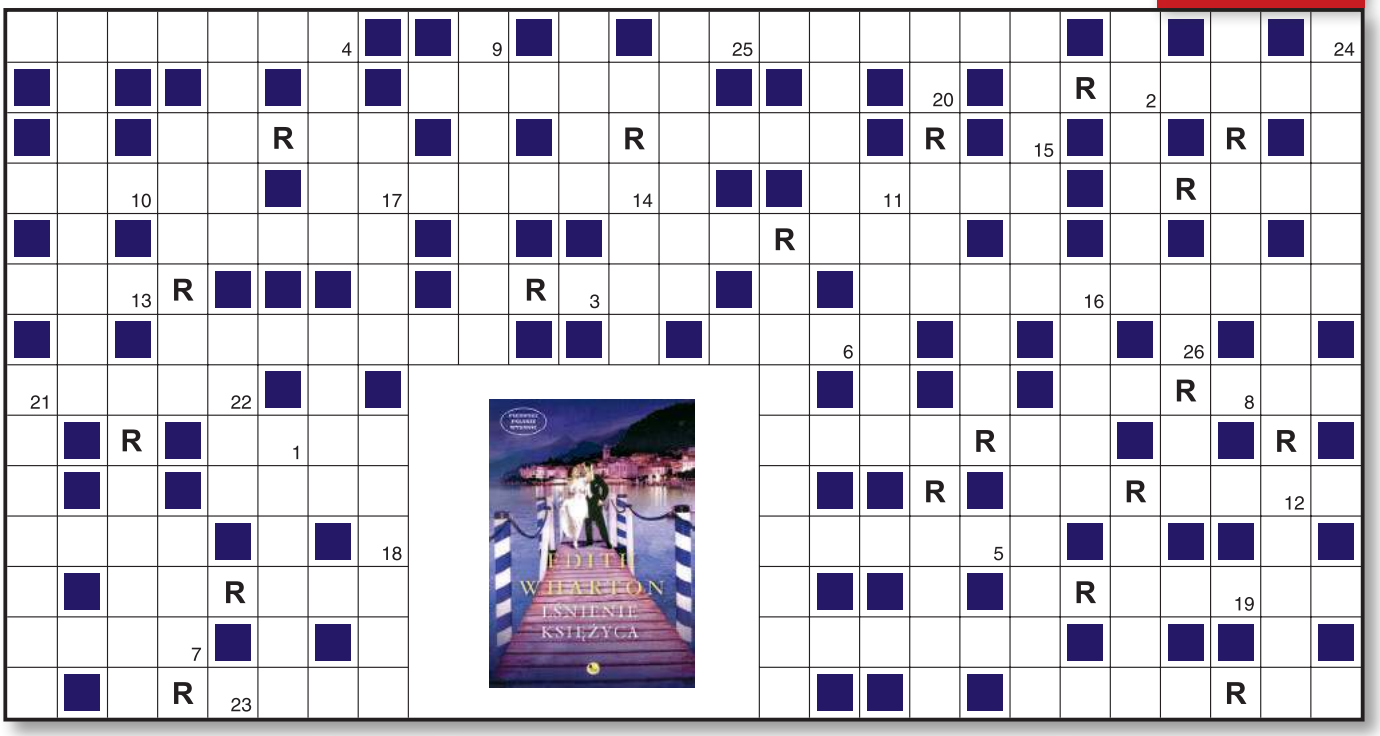

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- bywa w nim popełniane zabójstwo
- gdy się nie chce powiedzieć wprost
- słowo z liter innego
- imię poety Sterna
- odezwa lub zbiórka
- wielkie drzewa z Madagaskaru
- pieprz żuwny
- u Różewicza ten kolor się nie smuci
- wierzch stołu, biurka
- substancja w pokrywach skrzydeł chrząszczy
- ...to pieniądz
- Masłowska lub Segda
- John Boyd od opon pneumatycznych
- ironicznie o gadulstwie
- aktor Hawke lub reżyser Coen
- żerdź w kurniku
- manierka do nieortograficznego upijania się
- służy do przytrzymywania podczas obróbki
- bierność, bezwładność
- witana majowa
- Sarah lub filmowy obywatel
- była nim owca Dolly
- ojciec prosiaków
- bywa w nią pogoda
- ...Wschodnie Rzeczypospolitej
- grafik, plakacista Jan, syn Alfreda
- chudy w satyrze Naruszewicza
- pojemność 1 dm sześc.
- Królewskie z pałacem Na Wyspie
- w nim jak w garncu
- miasto Emile'a Gallé
- uśpienie do operacji
- schodzi pod wodę
- smród
- wiórek z metalu
- odmiana jęczmienia i pszenicy
- ogólnie nazwa góry lub łańcucha górskiego
- o Małyszu: ...z Wisły
- towarzysz Shreka
- gra lub wyzwisko
- miejsce pożegnań na dworcu
- tenisistka Mary, aktor Brosnan
- filmowi z Karaibów
- domowa, pierwsza lub drogowa
- szkolne to np. mapy, bryły
- i leże, i uroczyste pismo osobistości
- pisze, ale nie wiersze
- ulubienica
- ptasi w ziołolecznictwie
- przemyślenia, dociekania
- tasiemiec na ekranie
- poobiednia drzemka
- kawałek krzemienia w dawnej broni palnej
- nagromadzenie, zbiorowisko
- symbol nowego warszawiaka
- albo on używany, albo zszywka
- fugi między kafelkami albo spawy
- pierwiastek w powietrzu
- sportowa zaprawa
- podwórkowy odkurzacz
- piaszczyste wzniesienie usypane przez wiatr
- rozsiewa je maj w piosence

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-805”. Do rozlosowania książki „Lśnienie księżyca” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.805.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 14 maja 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-802” z 17 kwietnia: ***Nikt się mistrzem nie rodzi.***

Nagrody otrzymują: Grażyna Małkiewicz z Koszalina, Olga Obara ze Świebodzina, Zbigniew Popielski z Nadarzyna.

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Odczytaj dwa hasła. Liter na czarnych polach użyj dwa razy.

2. Z twarzy stopniowo znikają szczegóły. Ustaw obrazki w kolejności i odczytaj hasło.

Masz na to minutę.

1

a#	ch	ko	o#	ś#	st	op
mi	ty	,#	Kt	im	u#	ni
Wo	ć#	je	#j	ak	fi	lo
ln	oś	st	#w	m.	fe	zo
	ów	#r	ys	tk	ka	rb
	na	#w	sz	im	#s	om
			a.	at	wi	#ś

2

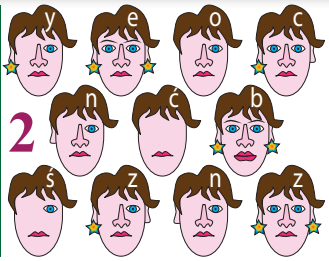

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 1cd478a4a0

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

HANNA SAMSON, PSYCHOLOŻKA, PISARKA

W przypadku przemocy domowej żadne terapie małżeńskie nie pomogą, nawet nie wolno ich stosować. Tu trzeba po prostu ratować kobietę, a często również dzieci. A agresora zamykać w więzieniu, karać, izolować.

Twój STYL

O. WACŁAW OSZAJCA, JEZUITA

Kobieta księdzem katolickim?

– Jako chrześcijanie jesteśmy w tym w Europie prekursorami. Polscy mariawici święcą kobiety na księży od końca XIX w. A w Kościele katolickim? Papież Franciszek mówi, że to niemożliwe. Ale pół wieku temu ludziom się nie śniło, że msza może nie być odprawiana po łacinie. 50 lat temu nie mieściło się w głowie, że papież może chodzić pieszo, że można podać mu rękę, nie padając na kolana i nie całując go w pantofel. Nie do pomyślenia było, żeby ksiądz pokazał się na ulicy bez sutanny.

RES HUMANA

PROF. CHARLES TAYLOR, FILOZOF I POLITOLOG Z QUEBECU

Kluczem do świeckości we współczesnej cywilizacji Zachodu jest to, że władze publiczne nie są nastawione w żadnym kierunku, religijnym bądź antyreligijnym. Ludzie powinni mieć maksimum wolności do realizowania swojej idei, jakakolwiek by ona była. Czy to ateizm, czy chrześcijaństwo, czy żydostwo, czy muzułmanie, czy cokolwiek innego.

POLSKA

WOJCIECH SMARZOWSKI, REŻYSER

Polski Kościół wtrąca się we wszystko, jest w szkole, w polityce, w mediach, na ulicach, w sztuce, w gabinecie ginekologicznym, za ścianą i przez ścianę, głośno mówi, że jest prześladowany, straszy obrazą uczuć religijnych, oczywiście wciąż potrzebuje pieniędzy, sam żyje w zakłamaniu, zamyka oczy na cierpienie i przenosi pedofilów z parafii na parafię.

charaktery magazyn psychologiczny

PROF. HELEN FISHER, ANTROPOLOŻKA, INDIANA UNIVERSITY

Jeśli chcemy żyć ze swoim ukochanym długo i szczęśliwie, to trzeba odrzucić negatywne myślenie, reagować empatycznie, kontrolować swoje emocje, uprawiać seks, który pobudza system dopaminowy w miłości romantycznej. Róbmy nowe rzeczy razem, pozostawajmy w kontakcie.

FOT. AFP PHOTO/EAST NEWS

Oby nie rzucał słów na wiatr – papież Franciszek podczas cotygodniowej audiencji generalnej na placu Świętego Piotra.

Aby język giętki…

WOJCIECH WAGLEWSKI O ANONIMACH

W moim pokoleniu pisanie anonimów było powszechnie uznawane za obrzydliwość. Dziś anonimowe donosicielstwo nazywa się forum dyskusyjnym.

PROF. JAN WOLEŃSKI O PLAGIATACH

Zastąpienie prac licencjackich egzaminem ustnym zredukowałoby zwyczaj przepisywania ich z internetu.

JERZY URBAN O MAGDALENIE OGÓREK

Jako eksponat damskiej pośledniości i głupoty potrzebna jest samczej swołoczy, wszystkim macho i Korwin-Mikkemu na czele.

KATARZYNA BONDA O PACYFIKACJI WSI PRZEZ „BUREGO"

Czytanie akt w IPN jeży włos na karku, po prostu są wstrząsające.

ANNA DYMNA O AGRESJI

Słyszałam: gruba, stara, nie ma co grać, to sobie wymyśliła fundację, by nałapać się szmalu i udawać dobrą.

HENRYK MARTENKA O WACŁAWIE BERCZYŃSKIM

Firmował podkomisję, która nie wykazała się niczym, stając się zbiorową mogiłą zaufania do PiS i jego blagierskiego kultu smoleńskiego.

EDYTA GÓRNIAK O PARTNERACH

Znudziło mi się utrzymywanie mężczyzn.

KRZYSZTOF MAJCHRZAK O BYCIU ARTYSTĄ

Jeśli artysta nie uzyska poruszenia w drugim człowieku, to znaczy, że przegrał.

ARKADIUSZ JAKUBIK O RECEPCIE NA UDANY ZWIĄZEK

Trzeba akceptować drugą osobę ze wszystkimi jej wadami, z całym cholerstwem, które cię doprowadza do szału.

ANNA MARIA JOPEK O SOBIE

Troszkę zhardziałam… na tyle, żeby inni nie mogli mnie tak łatwo zjeść.

OTYLIA JĘDRZEJCZAK O SMS-ie OD PARTNERA PAWŁA

Gdy wyszłam ze studia telewizyjnego, napisał: „Chyba musimy wymienić twoją garderobę, bo to wszystko jest za ciemne".

eprasa.pl 1cd478a4a0

MEMY BEZ ŚCIEMY

MYŚLI

JÓZEF MACIEJ ROŚLICKI

Czy posiadanie rozumu zwalnia nas od jego używania?

•

Czy dialog społeczny to rozmowa z samym sobą?

•

Czy tempo obalania pomników musi być takie szybkie?

•

Chcieli dobrze rządzić, ale nie potrafili. Dlatego znów chcą.

Woleli zmieniać ustrój niż siebie.

•

Prawa obywatelskie dla wszystkich. Profity dla siebie.

•

Tylko zmiany na gorsze mogą być radykalne.

•

Gazety stają się wolne. Od czytelników!

•

Głupota nigdy nie mówi ostatniego słowa.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

NOGI W STOLICY

Lokalny patriotyzm można wyrażać na wiele sposobów. Firma pończosznicza z Łodzi wypuściła na rynek linię rajstop z motywami zabytków architektonicznych miasta, m.in. bramą Manufaktury i fabryczkami. Łódzka Rajtuza, bo tak nazywa się projekt, okazała się sukcesem, więc twórcy poszli krok dalej i stworzyli Rajtuzy Stołeczne. Widnieje na nich warszawska Syrenka. Cóż, ona sama raczej ich nie założy.

KAWA Z HAMBURGEREM

Według badań przeprowadzonych ostatnio przez Instytut Badawczy ACR Rynek i Opinia 46% ankietowanych Polaków wskazuje, że ich ulubioną kawiarnią jest McDonald's. Dalej uplasowały się kawiarnie Grycan, Costa Coffee i Starbucks. 41% odwiedzających bywa w kawiarniach dwa-trzy razy w miesiącu. Chcieliby częściej, ale przeszkodą są niewystarczające fundusze.

IKEA DLA KAŻDEGO

Uniwersalność produktów IKEA nie zaskakuje, ale może zaskoczyć fakt, że niebieska torba na zakupy tej sieci stała się inspiracją dla dyktatorów mody. Znana modowa marka Balenciaga stworzyła torbę łudząco przypominającą tę z IKEA. Są jednak dwie zasadnicze różnice – cena i materiał. Skórzana torba Balenciagi kosztuje 2145 dol. (czyli ok. 8378 zł), a plastikowa z IKEA – tylko 1,99 zł.

ZASTRZEŻONE IMIĘ

David i Victoria Beckhamowie postanowili zastrzec imię i nazwisko pięcioletniej córki jako znak towarowy. Dzięki temu znak „Harper Beckham" będzie mógł zostać wykorzystany na każdym produkcie, który będzie chciała wypromować rodzina Beckhamów. Ponieważ w Biurze Własności Intelektualnej UE zastrzeżono imiona i nazwiska wszystkich dzieci celebryckiej pary, markę Beckham wycenia się już na setki milionów funtów.

PO KREDYT Z KOZĄ

Prezydent Zimbabwe ma pomysł na pobudzenie gospodarki kraju poprzez łatwiejszy dostęp do kredytów. W zaproponowanej przez niego ustawie widnieje zapis, że kredytobiorcy mogliby rejestrować jako zabezpieczenie swój ruchomy majątek w postaci takich dóbr jak kozy, krowy czy owce. Istnieje jednak ryzyko, że majątek ten będzie bardzo podatny na szybkie zmiany wartości.

CAŁUJ I JEDŹ

W Round Rock w Teksasie ogłoszono konkurs na całowanie auta. Jego uczestnicy musieli wytrzymać 50 godzin z ustami na karoserii, po to by

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC Warszawa 101 FM DAB+

RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Wolność jest równa wszystkim skarbom świata. Kto kocha mity, jest w jakimś stopniu filozofem.
2. bezczynność

eprasa.pl 1cd478a4a0

Miliony kwiatów, tysiące wolontariuszy układających wymyślne kompozycje i triumfalny przejazd na trasie 40 km – coroczna Parada Kwiatów w Holandii.

wygrać swój wymarzony samochód. Wytrwało aż siedmiu uczestników, sposród których wylosowano zwycięzcę. Samochód wycałowała Dilini Jayasuraya ze Sri Lanki. Już następnego dnia nagranie ukazujące uczestników całujących auto zostało przez internautów ogłoszone najsmutniejszym filmem ostatniej doby.

PRAWIE JAK MARS

Niektórzy z nas marzą o wyprawie na Księżyc lub na Marsa. Ale zanim zaczniemy turystycznie podbijać kosmos, możemy skorzystać z marsjańskiej osady na środku pustyni. Osada powstała w rezerwacie Wadi Rum w Jordanii i oferuje turystom 20 marsjańskich, luksusowych kopuł mieszkalnych, co ważne – wykonanych przez polską firmę. Dookoła rozpościerają się jedynie czerwone piaski i formacje skalne, a nocą widać niezliczone gwiazdy.

POLECIEĆ SAMOCHODEM

Słowacki *start-up* AeroMobil zaprezentował latający samochód, który ma kosztować 1,2-1,5 mln euro. Chociaż w pierwszej fazie firma zaplanowała produkcję jedynie 500 sztuk, to dostawy do klientów już w 2020 r. brzmią obiecująco. Samochód jest gotowy do lotu w ciągu niespełna trzech minut, ale do startu potrzebuje odpowiedniego pasa startowego, a kierowca oprócz prawa jazdy będzie potrzebował licencji pilota.

FOT. FB.COM.SEKCJAGIMNASTYCZNA (2), MEMNEWS.PL, ABACAPRES.COM/EAST NEWS (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 1cd478a4a0

WYRÓŻNIENIE – Tomasz Wiater za pracę „Polska tarcza antyrakietowa".

II NAGRODA – Paweł Stańczyk za pracę „Skleroza".

III NAGRODA – Dariusz Dąbrowski za pracę bez tytułu.

I NAGRODA – Jacek Frąckiewicz za pracę „Ot manewry".

Cztery pory karykatury

Rysunki roku 2016

W „Czterech porach karykatury" spośród artystów nagrodzonych i wyróżnionych w poszczególnych porach roku wyłonieni zostali laureaci Rogatych Ołówków – nagród za najlepsze rysunki roku 2016. Wystawa pokonkursowa to 76 prac grafików, twórców rysunku satyrycznego, których dzieła komentują najważniejsze wydarzenia ubiegłego roku w Polsce i za granicą, m.in. Euro 2016, Brexit czy wybory prezydenckie w USA. Szczegółowe informacje na temat konkursu „Cztery pory karykatury" znajdują się na stronie internetowej www.muzeumkarykatury.pl.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego Warszawa, ul. Kozia 11 do 21 maja

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1cd478a4a0

ORKIESTRA ZŁOTYCH PRZEBOJÓW

Radio złoteprzeboje

FELICJAN ANDRZEJCZAK

"NOC KOMETY" – BUDKA SUFLERA
"MÓJ JEST TEN KAWAŁEK PODŁOGI" – MR ZOOB

"ALEJA GWIAZD" – ZDZISŁAWA SOŚNICKA
"I'AM EVERY WOMAN" – CHAKA KHAN

NATASZA URBAŃSKA

MAŁGORZATA OSTROWSKA

"MISTER OF AMERICA"
"SEX BOMB" – TOM JONES

"HOW DO YOU DO" – ROXETTE
"DON'T STOP ME NOW" – QUEEN

MATEUSZ ZIÓŁKO

9 WRZEŚNIA 2017 / **OPOLE** / AMFITEATR
23 WRZEŚNIA 2017 / **POZNAŃ** / HALA ARENA
7 PAŹDZIERNIKA 2017 / **GDAŃSK** / ERGO ARENA
8 PAŹDZIERNIKA 2017 / **WARSZAWA** / HALA TORWAR

14 PAŹDZIERNIKA 2017 / **KATOWICE** / HALA SPODEK
22 PAŹDZIERNIKA 2017 / **ŁÓDŹ** / ATLAS ARENA
10 LISTOPADA 2017 / **SZCZECIN** / ARENA AZOTY
26 LISTOPADA 2017 / **WROCŁAW** / HALA STULECIA

Patroni medialni:

Radio złoteprzeboje, Życie na gorąco, TeleTydzień, Kobieta i życie, Przegląd, Tygodnik Angora

Bilety dostępne na:

TICKETPRO www.ticketpro.pl
bilet in www.biletin.pl
bilety fm www.bilety.fm
eBilet.pl www.ebilet.pl

Producent trasy: WAGART www.wagart.eu

eprasa.pl 1cd478a4a0

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Zygmunt Hübner

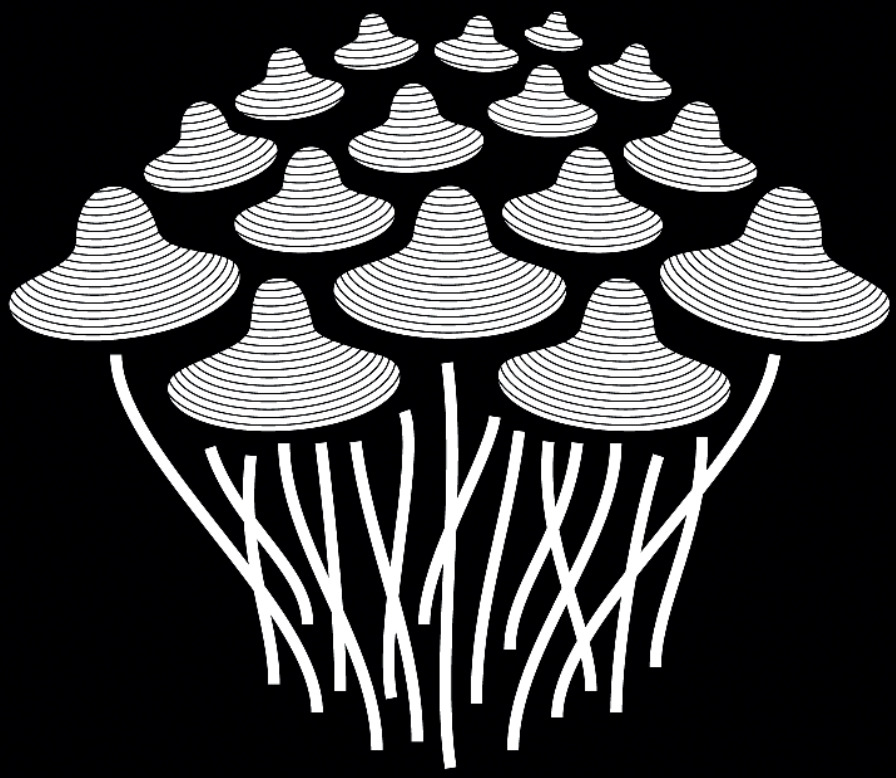

Chłopi

wg Władysława Stanisława Reymonta

Krzysztof Garbaczewski

premiera 13.05.2017

kolejne spektakle 14, 16, 17.05.2017

Każdy dostanie to, w co wierzy 5 / 6 / 7.05 Oskar i Ruth 14.05 Park-Opera 20 / 21.05
Kuroń. Pasja według św. Jacka 23 / 24.05 Klątwa 26 / 27 / 28 / 29 / 30 / 31.05
Dziewczyny do wzięcia 27 / 29 / 30.05 Calineczka dla dorosłych 31.05

eprasa.pl 1cd478a4a0